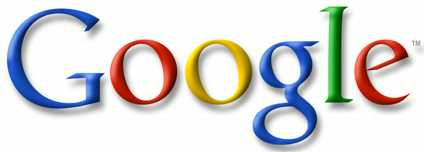
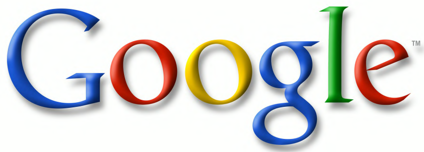



Google


VE
RI
TAS

KRASICKI.

ŻYCIE I DZIEŁA.

KARTKA Z DZIEJÓW LITERATURY

XVIII wieku

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

A cnéj pisania sztuki z dowcipem i gustem,
Tyś pierwsze dał przykłady pod naszym Augustem.

Trembecki.
Gość w Heilsbergu.

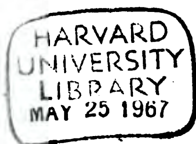


WARSZAWA.
Nakładem Gebethnera i Wolffa.

Kraków. G. Gebethner i Spółka.
1879.



Keller fd.



Kraków. — Drukiem Wł. L. Anczyca i Spółki.

ALEKSANDROWI Z SIECINA

HRABIEMU KRASICKIEMU

W DOWÓD PRAWDZIWEGO SZACUNKU

przesyła

Dnia 15 października 1878 r.
Drezno.

Autor.

Wśród dość licznego szeregu pastelowych wizerunków znakomitości dworu Stanisława Augusta, któremi Marteau unieśmiertelnił gości obiadów czwartkowych, zwraca uwagę piękna twarz, wypogodzona, lekko uśmiechnięta, z oczyma iskrzącemi dowcipem, rysów regularnych i arystokratycznych. Suknia, krzyż na łańcuchu u piersi zwieszony, każą nam się domyślać, że to jest wysoki dostojnik w hierarchii kościoła, chociaż twarz się niemal wyrazem swym z powagą ubioru kłóci. Stworzoną się być zdaje do wytwornego stroju XVIII wieku, do szytych fraków i koronkowych mankietów, do igrania słowy brylantowemi przy toaletach pięknych pań. Lecz jest w niéj zarazem jakaś poważna, spokojna rezygnacya potomka wielkiego rodu, który wszędzie się na miejscu czuje i z każdym pogodzić umié.

Ten bystro patrzący duchowny, przy którego oblicza blasku gasną pospolitsze otaczające go twarze, to pisarz co czas swój uosabia, co przoduje epoce, co ją, mimowoli, w tém co ona najlepszego miała, wyraża, to książę Biskup Warmiński, Ignacy hr. Krasicki.

Wyjąwszy jednego króla, wszyscy współbiesiadnicy ks. Biskupa zdają się pochodzić i istotnie wyszli z innéj towarzyskiéj sfery, krwią i duchem do innego świata należą, są tu gośćmi, Krasicki na królewskich pokojach jest w domu. Tu jego miejsce.

W Trembeckim wyżytym, skwaszonym, chmurnym, którego twarz nie obudza współczucia, a rysy wyrażają energią wyczerpaną, zmienioną w tetryczność dworaczą, widać człowieka co żyć nie umiał, a życie nad wszystko przenosił, czuć w nim szambelana co przyrósł do jarzma dworskiego dla jego wygódek i, dotrwawszy wiernym karmicielowi do ostatniéj godziny, poszedł potém do największego nieprzyjaciela królewskiego szukać ciepłego kąta i schronienia okupionego bodaj poematem.

W Naruszewiczu widać surową naturę litwina, co na żubra leśnego z oszczepem stanąć gotów z równą odwagą, jak z piórem na zagmatwane dzieje, dzielną krew nie ostudzoną fioletami, zburzoną naciskiem sukni za ciasnéj, jest w nim coś wykapturzonego mnicha. W Węgierskim widać francuza XVIII wieku, sceptyka co przestawszy wierzyć chciałby się śmiać a nudzi się i gniewa, chwali cynizmem i pobrzękuje cnotą, a dla zwrócenia oczu do krwi szczypie i kąsa. Samolub to, dla którego poezya schodkami do znaczenia i dostatku.

Poczciwa, zasępiona, rozlana twarz Bohomolca nie mówi wiele, choć nie jest pozbawioną wyrazu.

W Karpińskim domyślamy się biednéj ofiary, co z duszą wrażliwą wpadła w świat, po którego ślizkim gruncie chodzić nie umiała i wyjść z niego musiała prędko w głuchą lasów ciszę, nie wiedząc co zrobić z życiem. Śpiew jego tęskny, jak krzyk czajki, wiecznym żalem przejęty się rozlega. Kniaźnin, poeta namiętniejszy niż jego pieśni, zafrasowany zda się sobą, zrzucił i on kaptur mniszy, a w sukni nowéj chodzi jak w płonącéj szacie. W Zabłockim znać dowcipnego człowieka, który własném słowem karmi się i jest sytym. Piramowicz, spokojny pedagog i proboszcz, nie patrzy wyżéj nad granice powszedniego obowiązku, cicha i szczęśliwa natùra człowieka do plebanii stworzonego.

Na wszystkich niemal tych czołach myśl jest jakby w walce z sobą; nie wié jak z pod nich wynijść, jak się ubrać, czém wypowiedzieć, skryć czy objawić, okazać całą czy cząstkową; — u jednego Krasickiego zupełna panuje zgoda wewnętrznéj myśli ze słowem, które ją w świat poniesie. Znać to na obliczu gładkiém i uspokojoném, wesołém i pewném siebie.

Z twarzy okalających odgadywać można, że prawie każdy z tych ludzi skończy gdzieś rozbitkiem, narzekaniem, zawodem, nie potrafiwszy życiu sterować i pragnień pogodzić z siłą, a siły użyć w sferze dla niéj dostępnéj. Trembecki zemrze w brudnéj izbie oficyny Tulczynieckiego pa-

łacu na łasce magnata, chowając wróble, zapomniawszy własnych pieśni; Karpiński — na nudném wygnaniu w białowieżskiéj puszczy; Węgierski, zwiędły przed czasem, — na spaloném Marsylskiém wybrzeżu; Kniaźnin — w obłąkaniu miłosném; Naruszewicz — zdziczały z grabiami na sianożęciach Janowskich. W Krasickiego twarzy czytasz, że potrafi wśród najcięższych czasów wyjść cało, czysto i nie straciwszy na szacunku, zyskując na sławie, nie poślubiając namiętności, godząc się zawsze z nieunikniouém — wesoło dogadzając fantazyom serca, ducha i pańskiego obyczaju. Zna on swe posłannictwo, wié co mu powierzoném było, pomija wszystko coby mu przeszkodzić mogło do spełnienia go — idzie do celu z pewném lekceważeniem tego co ludzie powiedzą. Potrzebuje wczasu i ciszy, okupuje ją odosobnieniem. Mógłżeby tyle uczynić, wypowiedzieć tyle, gdyby sobie nie usłał na uboczu wygodnego gniazda? Twarz ta mówi, że go nie uniesie ani namiętność gwałtowna, ani złamie wielkie cierpienie, że potrafi być panem siebie, zastosować się do warunków, które mu niepokonana siła czasu narzuci, i dokona dzieła poczętego bajkami i Monitorem w 1776 r. — prymasowskiém „Co tydzień" 1798 roku.

Tego mało zblizka, a szeroko i rozgłośnie z dzieł znanego człowieka, chcemy dać poznać bliżéj jako

człowieka, jako postać wybitną téj epoki, jako moralistę i pisarza.

Nie naderemnie przyznano mu, że był najznakomitszym przedstawicielem swojego czasu; był nim z wielu i ze wszystkich względów, jako człowiek, jako duchowny, jako pisarz nadewszystko. Jako Biskup koronował obrazy, bierzmował tysiące w dniu jednym, był chrześcijaninem, ale nie wzdragał się przyjaźnić z człowiekiem, co suknią duchowną zrzucił, a wziął żonę; napisał Monachomachyą i szydził z zawiłych sporów teologicznych; jako człowiek był najlepszym bratem, najserdeczniejszym rodziny opiekunem, najprzyjemniejszym współbiesiadnikiem, najmilszym gospodarzem domu, najdowcipniejszym gościem w salonach.

Jako pisarz z niezmiernym taktem, z wielką miarą rozbijał co obalać było potrzeba, co zachowania godném osłaniał troskliwie, językowi przywrócił choć część życia i blasku, które mu poprzednie pokolenia wydarły.

Instynkt ogółu, *vox Dei*, nie myli się nigdy. Krytyka może słabe wykazać strony; czas smak i pojęcia odmienia; lecz siła, jaką pisarz na współczesnych działał, świadczy o sobie, że istniała. Tak samo dziwimy się prostym narzędziom, jakiemi Egypt kuł olbrzymie obeliski. Tę siłę potężną, co działa na masy, miał Krasicki, i dla tego wśród licznego zastępu współczesnych mu pracowników, on głównie zwraca na siebie oczy.

Po długich wiekach, w których nie mieliśmy żadnego popularnego pisarza, którego głosu słuchałyby chciwie tłumy, on był u nas pierwszym, ukochanym i uznanym. Przy nim inni nikną i maleją.

Ze wszystkich okresów piśmiennictwa naszego, nie ma na pozór żadnego, którybyśmy lepiéj znali i jaśniéj widzieli nad epokę Stanisławowską. Mówię, na pozór, gdyż, jak cała historya literatury, była ona dotąd powierzchownie ujętą, pozostała głębiéj niebadana, jako moment dziejowy nierozjaśnioną. Oznaczono fakty, postawiono słupy, rozmierzono miejsca, które zajmują gruzy i pozostałości zrzucone na nich, wszystko to czeka badacza i archeologa.

Przyczyną tego zaniedbania, niedostateczności studyów, jest w ogóle niejasne pojęcie zadania, jakie ma przed sobą wszelka historya literatury. Chociaż powszechnie przyjęto wszędzie, na określenie dziejów ducha ludzkiego nazwę historyi literatury, która jest działalności tego ducha najostateczniejszym i najwybitniejszym wyrazem — właśnie może w téj definicyi leży powód, dla którego ściśle się jéj trzymając, pisarze pracujący nad tym przedmiotem nie wyszli po za ciasne szranki krytyki ułamkowéj i sprawozdań bibliograficznych.

Odziedziczyliśmy nazwanie literatury i jéj dziejów po wiekach, które w mniéj więcéj systematycznem wydzielaniu szukały ułatwienia dla pracy około historyi.

Jako metoda przygotowawcza to wydzielanie dogodném było, ale dziś, czas wielki wejrzéć w to, że literatura życia oddzielnego nie ma i oddzielnéj téż historyi mieć nie może.

Jest ona w nierozerwanym związku z całym żywotem narodu, idzie z nim w parze, odbija go wiernie i tłómaczy się fenomenami częstokroć po za obrębem właściwéj literatury leżącemi.

Literatura jest tylko częścią życia duchowego narodu, jedném ze zjawisk jego, ale nie jedyném. Po za tém, co jest pisane i spisane, leży to, co równém prawem do historyi ducha należy, co myślaném, mówioném i działaném było z ducha.

Do dziejów nietylko te zaschłe kwiaty piśmiennictwa należą, ale i to, z czego one rosły i żyły. Poznanie kwiatów bez znajomości gruntu, tła i otoczenia, atmosfery w któréj żyły, jest wprost niemożliwém. Stworzyć można zielnik zeschłych prób i zblakłych, ułamkowych życia egzemplarzy, ale one zestawione razem pełnego obrazu życia nie dadzą.

Z tych zasad wychodząc, choćby ogólny chcąc skreślić obraz odradzającéj się literatury przez jednego z głównych jéj przedstawicieli, sięgnąć

musimy najprzód stanu społeczeństwa, którego ona była wyrazem...

Chociaż zadaniem historyczném Polski zdaje się być zlanie w niéj dwu światów i dwu wpływów zachodu i wschodu, a przejednanie ich z sobą, choć widoczne są ślady, iż pojmowano to posłannictwo i usiłowano je spełnić w różnych życia sferach — niemniéj wpływ zachodu od początku dziejów naszych przemaga.

Ze krwi słowian pochodząc, których przeważna część uległa wschodniemu wpływowi i nie dopuściła do siebie szybciéj rozwijającéj się cywilizacyi zachodniéj, Polska należy od Xgo wieku do grupy narodów zostającéj pod wpływem kultury latyńskiéj. Jéj ona winna całe rozwinięcie się, wszystkie światło i ukształtowanie się społeczne. Ani się godzi żadnemu narodowi wyrzucać tego, że z ogólnéj skarbnicy ludzkiéj czerpał pokarm ten na własną krew przerabiając i soki.

Resztkami cywilizacyi Grecyi i Rzymu zasiliło się i na nich wszczepiło, przyswajając je sobie chrześciaństwo. Ci co najbliżéj byli źródła, czerpali zeń najobficiéj, od nich brali z drugiéj ręki ci, co sami doń sięgnąć nie mogli. W średnich wiekach najprzód cała Europa chrześciańska miała jednę wspólną literaturę. Różnice narodowości odbijały się może w sposobie obrobienia materyału,

nawet w skażeniu powszechnie używanego łacińskiego języka — ale literatura była jedną dla wszystkich. Z klasztorów Irlandyi, Anglii, Francyi, Włoch, Niemiec, Szwajcaryi rozpływały się po Europie poemata, rozprawy, pieśni i traktaty i rozchodziły po świecie całym, zostającym pod wpływem cywilizacyi latyńskiéj. Kościół był tą wielką spójnią żywota duchowego, która w swém łonie łączyła wszystkie narody. Jedyną szkołą była naówczas szkoła biskupia i kościelna, jedynym nauczycielem — duchowieństwo. Można téż powiedzieć, że długo w zaciszu klasztorném całe się życie duchowe skupiało.

Drugim jego żywiołem było to, co narody same zachowały ze swych prastarych podań, co o własnéj sile wyrobiły z nich przed przyjęciem chrześciaństwa. Jak w pierwszém tak w drugiém z tych ognisk łączyły się religijne pojęcia, nierozdzielne od innych objawów ducha, których dźwignią były. Podaniami religijnemi przesiąkły: pieśń, powieść, przysłowie, zagadka.

Chrześciaństwo, jak wszędzie tak i u nas, chcąc odrodzić i nawracać, nie mogło zużytkować żywiołu dawnego, chyba w części bardzo skromnéj, musiało z nim walczyć, tępić i zaciérać.

Zadaniem jego było zniszczyć, co stworzyły narody same przez się, a dać w miejscu téj spuścizny wieków jednę naukę wspólną, mającą świat cały uczynić jakby jedną rodziną Chrystusową.

Dwa prądy, z których jeden potajemnie przebiega najniższe warstwy i ścieka podziemnemi szpary, drugi bieżący górą, nie łączyły się prawie z sobą. Kościół w ostateczności Światowida przerabiał na Świętego Wita, święta pogańskie chrzcił imiony chrześciańskiemi, zatykał krzyże, gdzie stały bałwany, a obrzędom nadawał nowy charakter i znaczenie.

Oświata szła bardzo powoli, a zadaniem jéj w średnich wiekach nie było wcale rozlewać się na masy. Duchowieństwo wyznaczone było do kierowania duchowym rozwojem społeczności, i w jego rękach szafarstwo światła zostać miało. Dzielić się niém ani chciało, ni widziało potrzeby. Kto przejrzał jaśniéj, ten suknię mniszą wdziewał i społeczeństwa, z którego wyszedł, się wyrzekał. Jak w Rzymie koncentrowała się władza duchowna, tak w podległéj mu milicyi Chrystusowéj, zlewało się światło świata. Szkoły przez czas bardzo długi widzimy wyłącznie dla stanu duchownego przeznaczone, o ludowych nie ma mowy: lub w nich wydziela się szczupło, co konieczném jest dla posługi kościoła. Masom starczy żywe słowo.

Pomimo tak ścisłéj kontroli nad światłem, te same klasztory i szkoły, które służyły kościołowi, pierwsze są nasiennikami herezyi i reform. Od XIII w. lub wcześniéj jeszcze w pisemkach klasztornych widzimy zarody krytyki, zamachy na

władzę, karność i dogmata kościoła, różnice zdań, dzielenie się ogółu na grupy i odcienia. Ruch ten zawcześnie rozbudzony szerzy się powoli i, jak wszelka fermentacya nowego życia, tworzy zawiązki.

W Polsce, któréj pierwsi nauczyciele, duchowieństwo przychodziło z Czech, z Niemiec, Włoch i Francyi, stosunki z zachodem były tak nieprzerwane, iż się tu odbija każde drgnięcie, jakie wstrząsło Europą zachodnią. Nie pozostaje ona nigdy, aż do XVII wieku, obcą wpływom i nieczułą na nie; ulega im do zbytku, ale przez to łączy się jak najściśléj z życiem narodów cywilizowanych; odbija je najwierniéj w sobie, dając mu tylko często pewien właściwy wyraz swój, domowy.

O literaturze polskiéj własnéj aż do XVI wieku mowy nie ma, jeśli jéj tylko na papiérze szukać będziemy. Język się kształci i przerabia pod wpływem łaciny na przekładach pisma świętego i pisarzy łacińskich, zawczasu téż do religijnych obrzędów będąc używanym. Lud, pomimo surowych zakazów, zachowuje swe tradycyjne pieśni, swe baśnie rodzime, zagadki odwieczne, przysłowia prastare. Pierwiastek ten zepchnięty, odcięty, osaczony, opadły na dno, w mrokach spoczywa, ale się zachowuje, przetrawia w sobie, zdzicza nie mogąc rosnąć. Warunków życia mu brak, powietrza, światła, jawności, rozgłosu, uznania — wszy-

stko to mianuje się jako nacechowane barbarzyństwem i zakazane.

Wyższe życie wyraża się powszechnym językiem świata — łaciną. Łacinę tę polską zabarwia czasem żywioł rodzimy, lecz zmuszona się z nim stykać, stara się zetrzeć jego ślady. Z łaciną, jako narzędziem jedném do wyspowiadania się z wyższych myśli, dochodzimy do początku XVI wieku.

Chwila, w któréj długo gromadzące się idee reformy religijnéj miały do nowego życia powołać narody, dla całéj Europy i dla nas nadchodzi jednocześnie.

Umysły są wszędzie zarówno przygotowane, rola uprawna jednako — rzucone nasiona wschodzą. Tłómaczono zawczasu pieśni o Wiklefie po polsku, tak samo w XVI w. zrodzony w Niemczech prąd reformatorski, u nas natychmiast odbił się i przebiegł umysły.

Że w pierwszéj chwili nikt nie myślał zrywać i oddzielać się od powszechnego kościoła, a wszyscy pragnęli tylko jego poprawy, któréj granic i zadania nikt ściśle określić nie umiał — nie ulega wątpliwości. Kościół rzymski, nie mogąc czy nie chcąc czynić ustępstw, zmusił reformatorów do stworzenia osobnego społeczeństwa kacerskiego. Jedność kościoła powszechnego, już rozdziałem wschodniego nadwerężona, przez reformę silniéj jeszcze została dotkniętą. Reforma mimowolnie stała się przyczyną emancypacyi i równouprawnie-

nia języków, zerwania z łaciną, jak zerwano z Rzymem. Centralizacya w stolicy świata miejsca ustąpiła rozdzieleniu narodów i piśmiennictw. Z językami, które z łaciną wystąpiły do walki, wchodził żywioł nowy, narzędzia myślenia, mające ideom nieznane trzebić drogi.

Wszystko, co języki te dochowały w sobie, co z sobą przeszłości niesie słowo, co zawiera pieśń, zwolna poczęło przyswajać się piśmiennictwu i dorabiać samopoznania. Co było dotąd zdrętwiałém, jakby nieżywém, w skarbcu zakopaném, wyszło na światło dzienne.

Z jednéj ogólnéj literatury europejskiéj, poczęły się tworzyć liczne narodowe, odrębne, każda nacechowana krwią własną.

Znane są dzieje tego cudownego rozkwitu polskiego języka i piśmiennictwa, któremu przodują Rej i Kochanowski, pierwszy z mową całą z żywego życia ujętą, drugi z klasyczném ukształceniem ogładzoną.

Kochanowskiemu należy najwyższa cześć za to, że doskonale pisząc po łacinie i mogąc zarobić na europejską sławę, czuł się w obowiązku śpiewać domowi i ludowi własnemu „słowieńskim muzom.“

Rodzi się pod jego piórem język, jak Minerwa z głowy Jowisza, wychodząc zbrojnym od stóp do głowy, zdolnym wyrazić wszystko, wspaniałym,

poważnym, świetnym, dźwięcznym, klasycznie pięknych rysów oblicza.

Nie potrzebuje się on już mozolnie dorabiać przyszłości — cały jest skończony, pełny. Poeta genialném dotknięciem nadaje mu odrazu to, co innym zwolna przynosiły wieki, mozolnie je kształtując do potrzeb i pojęć swoich. Współcześni Kochanowskiemu poeci francuscy, nierównie daléj językiem swym stoją od dzisiejszych, niż my od Kochanowskiego.

Język, otrzymawszy prawo obywatelstwa, używa go i staje do walki z łaciną. Niełacno jednak sprostać powadze nauczyciela i srebrnéj jego siwiźnie.

Polska zamiast jednéj ma razem dwie literatury, nie licząc mieszańca, który się z nich zrodził, już w wierszu makaronicznym Kochanowskiego wyśmianego. Spotęgowują się siły żywotne, bo język każdy niewidomie przynosi je z sobą. Każdy przesiąkły jest myślami, które tylko w nim mogły urosnąć, któremi nabrzękł, gdy jeszcze pełzał po ziemi.

Świetny okres literatury polskiéj zaczyna się z wiekiem XVI, trwa do pierwszéj śmierci XVII wieku.

Łacina, wyrugowana chwilowo, usiłuje odzyskać swe prawa, zapanowuje znowu, razem z nowym systemem wychowania i szkołami, które kościół broniący się reformie zaprowadza, milicyę Lojoli rozsyłając po świecie.

Od średnich wieków do téj epoki walki i zgniecenia u nas reformy, światło się rozszerzyło, raczéj naturą swą, drogi mimowolnemi, niż wolą tych, co je w ręku mieli. Szkoła już nie służy dla samych duchownych, ale i dla rycerstwa, dla szlachty idącéj posłusznie pod sztandarami kościoła. Od wieku XVI, szlachta u nas w ogóle umié już pisać i czytać, oświéca się więcéj praktycznie, lecz oświatę pojmuje nie celem dla siebie saméj, ale środkiem pomocniczym do różnych wiodącym pożytków.

Dla ludu szkoła jest jeszcze albo zamkniętą lub wielce ograniczoną. Nie mając samoistnego życia lud, wedle pojęć ówczesnych, światła nie potrzebuje, inni go prowadzą. Oświeconemi klasami narodu są wyższe duchowieństwo, magnaci i zamożniejsza szlachta. Światło udzielane spływa na pewne sfery tylko; krzewi się poznaniem rzymskiego świata starożytnych praw, instytucyi, kościelnéj literatury popularnéj, trochą poezyi łacińskiéj i polskiéj. Nauki przyrodzone, matematyka są albo zaniedbane i pominięte, lub ograniczają się zastarzałemi pojęciami, powtarzanemi bez krytyki. Bazyliszek i moki istnieją do końca XVIII wieku.

Uprawa nauk filozoficznych, zamknięta w ściśle oznaczonych orthodoksią granicach, nie mogła rozwijać się swobodnie. Reforma na chwilę rozkiełznała ducha, tak, że u nas posunięto się do krań-

cowéj krytyki i doktryn takich jak anabaptystów i antytrinitaryuszów; ale już w XVII w. wielki ten ruch umysłowy stłumiony został i sparaliżowany. Tak zwani „bracia polscy“ do Czech, do Holandyi wynieśli swą naukę i księgi.

Pewna suma wiedzy jednak, przez wieki sącząc się zwolna z góry na dół, przeniknęła aż do warstw najniższych. Cywilizacya ta, co się obcowaniem szczepi, światło, co się z żywem rozchodzi słowem, rozlały się u nas szeroko. Duchowieństwo było liczne, żyło ono ciągle w najściślejszym stosunku ze społecznością i mimowoli dzieliło się tém, co miało. Rodziły się z tych kradzionych promyków i fałszywe idee, lecz pobudzały do myślenia, siały ziarno.

Szlachta niemal cała oświecała się raczéj życia praktyką, niż nauką szkolną. Pisano źle, niepoprawnie, a z kobiet mało która pisać umiała; lecz pojęć i wiadomości w obiegu było bardzo wiele, a dwory szlacheckie, przy swéj oryginalności i formach dziwnych, nie mogły się nazywać zbyt zacofanemi, gdy je porównamy ze współczesnemi w Niemczech i Francyi.

Rozwinięciu się bujniejszemu języka i literatury narodowéj, brakło głównie ogniska, dworu królów jak we Francyi. Począwszy od Walezyusza i Batorego, królowie w większéj części byli cudzoziemcy, językiem dworu była łacina lub obce, w stolicy téż panowali cudzoziemcy, a ukocha-

liśmy ich do zbytku, słuchali nadto, korzyli się im z pokorą przesadzoną.

Za Zygmuntów, obok powagi łaciny łączącéj z Europą, polski język panował, dwór przeważnie z Polaków się składał, myślano i mówiono po swojemu, za Batorego musiano się posługiwać łaciną, na dworze Zygmunta III krzewiła się niemczyzna, Władysław IV miał słabość do niéj, a Kazimierz otaczał się cudzoziemcami. Za Wazów, kancelarya była łacińska, teatr włoski, rozmowa często niemiecka, czasem francuska, polski język ledwie z ambony się dał słyszeć.

Dwory panów kształtowały się na wzór królewskich. Język téż wprędce psuć się zaczął i koszlawić, szpikowano go łaciną, wyręczając się nią, popisując z umiejętnością jéj ze szkół wyniesioną.

Same dzieje narodu otwartego najazdom, zajętego wojnami, mieniającego stolice, a najczęściéj w obozie je mieścić zmuszonego, tłómaczą stan piśmiennictwa, które się tylko czasu pokoju i bezpieczeństwa rozwijać może dzielniéj. Nie było spoczynku nigdzie i częściéj płacz się niż śpiew rozlegał.

W zapasach z nieprzyjaciołmi wyrosło owo rycerstwo, szlachta, które sądzić potrzeba jako żołnierzy z pobłażaniem. Psuły je i uczyły próżniactwa obozy, ciągnienia, stacye, życie nieregularne, które ziemianina w ruchu, w zwadzie trzymało, spocząć mu nie dając. Nawykłszy do téj walki,

gdy się rąbać nie mógł, szlachcic się procesował; aby wojnę prowadzić.

Od Wazów, obcych nam, choć przyswojonych, idziemy tak kolejami dla kraju coraz smutniejszemi aż do Sasów.

Nie obwiniajmy instytucyj, choć i w nich tkwi wiele przyczyn upadku; daleko silniejszą ruiny dźwignią było obyczajów zepsucie, które wypłynęło z samego życia rodzaju. Wojna i obóz były stanem normalnym, nikt bezkarnie nie odrywa się od domu i rodziny, nie może wytrwać długo w tym ukropie, który się szkołą rycerską nazywa. Poczobut, autor świeżo wydanego pamiętnika, w siedmnastym roku idzie do wojska, cały żywot mu upływa pomiędzy wioską a obozem, na służbie targającéj nim, która rodzi potém niepokój o mienie i prywatę.

Bić się i procesować umié tylko szlachcic. Wołają go na potrzebę nieustannie, powraca z niéj bronić własnego zagonu i zajazdy sąsiadów odbijać. W tym stanie szlacheckim skupia się całe życie narodowe, on nadaje charakter całości.

Rycerstwo to butne a bujne, jest wszędzie sobą, na sejmiku, na sejmie, na naradach, w domu. Gorączka go trawi nieustanna, dom niepokoi, ratuje się jak może.

W tak ciągle zagrożonym kraju, gdzie i władza królewska musiała ulegać tym, którymi się posługiwała, co dziwnego, że każdy myślał o sobie,

pragnął się zabezpieczyć. Instynkt zachowawczy zrodził prywatę, do poczwarnych potém rozrosłą rozmiarów. Nikł z oczów interes ogółu, zapomniano o owém porównaniu Skargi — państwa do okrętu, każdy myślał o własnych manatkach. Zakrólowała prywata już za Sobieskiego, nią wszystko zjedzone jak rdzą zostało, pod jéj naciskiem pękły instytucye.

Historycy zwykli, nie bez przyczyny zapewne, szczególną zwracać uwagę na instytucye, prawa, organizacyę społeczeństwa i formy jego martwe; mniéj na obyczaj i usposobienia, które jednak instytucye wypaczają, wynaturzają je, burzą lub podgryzają nieznacznie. W Polsce z temi samemi instytucyami, pod innemi wpływy, z ludźmi innymi, wcale różnieby się działo.

Wyszpocano prawa dla prywaty, nadawano im znaczenie fałszywe, martwém zostawiano w nich co zawadzało, inne artykuły naciągano gwałtownie, aby z nich korzystać.

Idea swobody, najfałszywiéj pojęta, królowała ponad wszystkiém. Pojmowano ją tak ciasno, że jéj chciano jako przywileju dla jednéj klasy, a tak szeroko z drugiéj strony, że niczém ograniczyć jéj nie dopuszczano. Swoboda wybujała w samowolę, a kończyła się prawem silniejszego, który dokazywał co chciał.

Stan ten społeczny odbijał się w literaturze. Na uprawę jéj nikt nie miał czasu i swobody,

oprócz duchowieństwa, które karmiąc się na łacinie, a żyjąc z panów i szlachty, im panegiryki pisało. Szlachcic potrzebawał wymowy tylko na sejmiku, na godach, w obozie, przy kielichu, w palestrze, a więc się retoryki uczył przedewszystkiém, statutów i prawa, które z praktyki i rozmowy studyował. Prejudykaty zastępowały samo prawo. Literaturą szlachecką była Swada, głos w sądzie, domowa pieśń pobożna jéjmości, obozowa śpiewka swawolna, którą czasem w tańcu podchmiolony i przy niewiastach zanucił.

Osamotnione w domu żony czytały książki pobożne, śpiewały pieśni najczęściéj także kantyczkowe, na folwarku tylko rozlegała się stara wieśniacza.

W księgę pamiątek, Silva rerum, wpisywano akta publiczne, listy uszczypliwe panów Senatorów, mowy zręczne sławnych oratorów, rzadko wierszyk jaki lub złośliwe epigramma. Na rozkoszowanie się dłuższemi utworami nie było ni czasu, ni myśli wolnéj.

Poeci, garstka maluczka, albo opiewali czyny wojenne lub świętych żywoty, niekiedy ból natchnął satyrą, naśladownictwo starożytnych sielanką z niebywałego świata. Pod wiecznym strachem najazdu i burzy cóż więcéj zrodzić się mogło?

Z tém dochodzimy do panowania dwu Sasów, Augusta drugiego i trzeciego. Wszystko złe, które dotąd nieśmiało kiełkowało, teraz się pod wpływem wypadków bujno rozrasta. Są to królowie dla siebie nie dla narodu, którym wcale nie idzie o losy kraju, ale o wyzyskanie go we własnych widokach. Nie mówiąc o wpływie ich na polityczne znaczenie Rzeczypospolitéj, stosunki jéj i potęgę; samę społeczność polską już nadpsutą dwa te panowania przetworzyły ostatecznie, popychając ją do rozkładu, do rozstroju, do wewnętrznego samożarcia.

Rzeczpospolitę tworzyły długie wieki, wpływy zachodu i wschodu, które się tu zbiegały, walczyły i w części jednały. Społeczeństwo nie było jednolite. Między Litwą, Rusią, Wielkopolską, Ukrainą, Mazowszem i Krakowskiém zachodziły wielkie różnice charakteru i fizyognomii. Życie ziemianina — żołnierza, miast, stolic, zamków pańskich, dworu królów, składały żywioły różne, z których pod działaniem sejmów, obozów, kół i zjazdów zwolna się coś jednolitego wytwarzało.

To zjednoczenie Sasi znaleźli już o tyle dokonaném, o ile się ono spełnić mogło. Duchowieństwo, wyjąwszy ruskie, wszędzie było jedno, panowie nieco kosmopolici podobni byli do siebie, szlachta, z małemi odcieniami miejscowości, na jedno się wyrobiła kopyto. Wspólne życie, jedne wady, o których mówiliśmy, zrodziło. Prywata już

za Sobieskiego o niczém myśleć nie dawała, oprócz krescytywy dla siebie i dla rodziny. Na to usposobienie ogólne do ciągnienia korzyści samolubnych ze wszystkiego dla siebie, przyszli Sasi. Tym szło tylko o własną sprawę; gotowych do sprzedania się znaleźli, a kupując ich, do reszty upodlili.

Zepsuta społeczność popsutą żywiła się literaturą, w któréj się odbija, co ją kalało. Z ostatnich lat panowania Sasów mamy już tylko pamflety, panegiryki, na obrzydliwéj bibule szkaradne druki, których zewnętrzna szata ubóstwu myśli odpowiada.

Gdzie się życie skupiało całe?

Było ono czynem nie słowem, a czyn polegał na salwowaniu siebie i rodziny, zużytkowaniu instytucyi i konjunktur dla siebie. Rwał każdy w swą stronę i chwytał co było można. Cośmy mówili o braku ogniska dla literatury, za Sasów jeszcze ściślejsze znajduje zastosowanie. Miasta uniwersyteckie ogniskami temi nie były. Tu średniowieczna, sztywna, martwa nauk forma panowała, na któréj kwitł panegiryk niesmaczny. Piśmiennictwo tego czasu fotograficznie odźwierciadla stan ducha. W Wilnie, Krakowie, Zamościu wychodzą teologiczne dzieła, najczęściéj przedruki, kalendarze z prognostykami, pochwalne hymny na cześć magnatów, protektorów, i dobroczyńców.

Łacina znowu idzie górą a staje się coraz stra-

szniejszą, już nie kuchenna, ale ze śmiecisk zda się zbiérana. Po Kochanowskich, Janickich, Sarbiewskich, Acernach, nieznani centoniści i plagjatory.

Po klasztorach, po dworach nie miała przytułku literatura, biblioteki stare butwiały, nowych zbiérać nie było czasu, któż zresztą mógł ją uprawiać?

Za Augusta drugiego wojny i burze domowe nie dały tchnąć, — miasto innych zabaw przywożono do Warszawy operę włoską, miłostki francuskie i opilstwo niemieckie. Szlachta popuszczała pasa. Za Augusta trzeciego zostały święcie poszanowane tradycye ojca dworu, z tą różnicą, że kosztowne metresy zastąpiły łowy; samopas, urwij podaj szło wszystko pod rządami Brühla, każdy w swą stronę rwał i dla siebie. Sprzedawano się — kto da więcéj?

Znikczemnienie dochodziło do ostatniego kresu. Mamy doskonały obraz tego wszetecznego gospodarstwa, skréślony w całéj jego okropności, naiwném piórem współczesnego Matusewicza.

Nic dodać, nic ująć. Autor nie był jednym z najgorszych, *ab uno disce omnes.*

Rozprzężenie obyczajów nigdy na korzyść życia duchowego nie wychodzi. Gdy społeczność straci z oczów wszelki cel wyższy a prywatą się po nocy kieruje, umysł téż jéj drętwieje i staje się bezpłodnym. Cały z niego użytek, aby dobrze obrachował, co się lepiéj opłaci: trzymać z Brühlem czy z Czartoryskimi?

Między takim dworem, jakim był Augusta trze-

ciego a krajem, jakiż mógł być węzeł, jaka spójnia? interes tylko. Miłości nawet nie było, zjadano się wzajemnie. Monarcha wyzyskiwał poddanych, oni jego, oboje razem ssał Brühl. Na taki stan kraju przypada wybór Stanisława Augusta.

Wśród tego zepsucia ogólnego, zepsucie smaku było nieuchronném następstwem zgnilizny, pojęcie piękna wszelkiego było spaczone i krzywe. W wymowie szukano go w stylu nadętym, niezrozumianym, w konceptach niedołężnych, w smażonych a zapożyczanych frazesach, w mnogich cytatach, które mozaiką czyniły robotę. Natchnienie w niéj zastępowała łatanina, erudycyą pokrywano czczość myśli, a skarbczyki gotowe uczoność każdemu czyniły dostępną.

Widzimy to zarówno na ambonie w kazaniach, na Sejmach, w mowach, których nadużywano w życiu prywatném, przy wszelkich okolicznościach, assumpt do nich podać mogących.

Ex promptu powiedzieć mówkę, należało do towarzyskich przymiotów dobrze wychowanego młodzieniaszka; prawiono je przy kielichu, powitaniu, żegnaniu, winszując, z kondolencyą na pogrzebie, na weselu przy oddawaniu marcepanów, darów, wprowadzaniu do łożnicy, ze strony rodziców, od pana młodego, od przyjaciół itp. Szukano zręczności do tego słów wylewu, popisywano się chętnie

ze Swadą, wpisywano do ksiąg domowych osobliwe tego rodzaju elukubracye. Już za czasów Paska widzimy rozkwitłą tę manią oratorską, która późniéj wybujała jeszcze, prawdziwie poczwarne wydając owoce.

Główną literatury ówczesnéj część stanowi Swada, tak czcza, tak bezmyślna, tak bezbarwna, ani z głowy ni z serca płynąca, iż uholewać przychodzi nad społecznością, co się tém próchnem żywić musiała.

Kazanie jest w tymże rodzaju, całe z cytat, wymuszone, bez prostoty i natchnienia. Umysły zdają się uśpione, wyczerpane, nic ich do żywszego poruszenia się obudzić nie może.

W tém życiu rozprzężoném, obozowem, w którém ognisk brakło, narodowy teatr nawet zrodzić się nie mógł. W kolegiach jezuickich grywano dyalogi alegoryczne po łacinie, po dworach nieśmiało próbowano francuskich przekładów niektórych sztuk, lud się bawił w jasełka, rodzaj komedii *del' arte*, improwizowanéj na tle podań dawnych.

Przy takich szkołach i uniwersytetach, jakie za sasów istniały, mogłoż być inaczéj? Są to zastygłe i wygasłe ogniska, od których wychodzą ludzie z kilką schematami wyuczonemi, nierozbudzeni do życia, przytępieni, chwyciwszy ledwo tyle, co niezbędnie potrzebne do palestry, kancelaryi pańskiéj lub gospodarstwa i Sejmiku.

Najuczeńsi nawet są tylko erudytami, myśl ich

spowita boi się skrzydeł rozwinąć, aby ją po za sfery orthodoxyi nie uniosły.

Nauczono ich, że ona niewszędzie sięgać ma prawo, z obawy przekroczenia woli się trzymać u poziomu. Sparaliżowanie to ducha widoczne we wszystkiém, w walce o życie i byt dobry całe zachody i troski. Jéjmość bieduję z dziećmi i włodarzem domu, szlachcic gościem u ogniska swego, a gdy przybędzie to nie sam, wiodąc gości i wrzawę z sobą.

Znajdują się obrońcy i zakonu Lojoli i wychowania, które on u nas prowadził; lecz jakże obronić się przeciwko faktom? Ze strachu herezyi zabito życie, było to:

Propter vitam vivendi perdere causas.

Jak ci doktorowie, co ujmując życia chcą osłabić chorobę, wychowanie jezuickie wycieńczyło naród, zdrętwiło w nim ducha.

Szlachta, to jest większość w pół ukształcona, miała tylko tyle, co z ich szkół wyniosła. Panowie, których wychowanie było nieco różném, mieli coś więcéj. Tu już od Sobieskiego czasów, a raczéj od Jana Kazimierza, stosunki z Francyą wniosły jéj język, zamiłowanie obyczaju i literatury francuskiéj. Panowie wszyscy obok łaciny umieli dobrze po francusku; język ten oddziaływał na nich, bo nikt bezkarnie z żadnym się językiem nie żeni, a nawet czasowo z nim nie braci.

U góry wpływ był dwoisty i farba téż inna. Co

umiało i mówiło po francusku, miało się za cóś wyższego i lepszego, a było w istocie więcéj ogładzoném i mocniéj popsutém.

Tak ci, co się kształcili na łacinie, jak drudzy, co ssali piersi francuskie, języka własnego nie uczyli się prawidłowo. *Vernaculo sermone* mówiono i pisano jak Bóg dał, jak niańka nauczyła, jak łacina wskazała, z potrzeby go używając nie z zamiłowania.

W początku XVIII w. język już tak został zaniedbany, połamany, popsuty, iż z niego zostały tylko szczęty. Nie tyle go makaronizmy nadwerężały, bo to były wstawki nieprzyrastające doń, zawsze się dające wydzielić, jak raczéj utrata poczucia natury mowy własnéj. W ustach ludu język ten był żywym jeszcze; u innych klas wykształceńszych martwemi tylko jego członkami się posługiwano.

Najdobitniéj się to w stylu czuć daje, a najwyraźniéj tam, gdzie myśl znałogowana do form francuskich, posługiwała się wyrazy polskiemi. W użyciu języka, czuć, że żywa tradycya jego zatracona została, że to, co z nim wiązało, pękło. Układają się wyrazy dziwnie, niezgodnie z duchem jego, opacznie, koszlawo, poczwarnie. Częstokroć nawet użycie ich zdradza nieświadomość prawdziwego znaczenia; ktokolwiek się wychował w francuszczyznie, przez całe życie nosi od niéj znaki jak od ospy.

Zgoła język polski kona za Sasów, zdaje się blizkim zupełnego zniedołężnienia.

To co do formy; treść téż wszystkiego co wydaje piśmiennictwo ówczesne, uboga, biédna. Myśl wybiedz nie pragnie, boi się — za płotem stoi hereżya i czyha na nią. Ciekawość pierwszym stopniem do piekła, toć szkolna maxyma.

Tymczasem na zachodzie, w Anglii, we Francyi, duch krytyki i sceptycyzmu budzi się na nowo. Tam życie, stosunkowo swobodniejsze, dozwoliło się rozwinąć filozofii; Locke, Hume, Bayle, Shaftesbury i Bolingbroke, Condillac przygotowują zwrót nowy, epokę Rousseau i Voltaire'a.

Nie idzie tu już, jak w XVI w. o reformę kościoła, ale o wyzwolenie się ze wszelkiego dogmatu z góry narzuconego, o swobodę myśli, jak niegdyś o swobodę sumienia. Szkoła ta nowa nie ma siły, aby coś nowego zbudowała, ale ma burzącą potęgę, tém większą, że kościół stoi jak opoka i na opoce, która opiéra się wszelkiemu nowemu jéj ukształtowaniu.

Prąd ten nowy nie rychło dochodzi do nas, ale wielkiego wpływu jego na późniéjsze losy piśmiennictwa i kraju zaprzeć niepodobna.

Długo od wszelkiego zetknięcia się z nim osłonięci, obwarowani odosobnieniem, zamknięci w sobie, ulegamy mu tém silniéj, iż na odłogującą długo rolę przychodzi.

Spojrzmy jeszcze choć pobieżnie na organizm tego społeczeństwa, które nam w spuściźnie, po dwu panowaniach Sasów zostało.

Składało się ono, wedle ówczesnéj klasyfikacyi, naprzód z duchowieństwa, w którém dwie warstwy odróżnić potrzeba, wyższe i niższe.

Do tego prawie całe zakonne się wlicza. Za niém idą możni, senatorskie rody i szlachta z niemi skoligacona, rozpadająca się na młodszą i starszą, na zamożniéjszą i zubożałą a służebną. Naostatek, stoi po za niemi lud bezwolny i zbiédzony.

Nie zaliczamy tu mieszczan, gdyż ci stanowili odrębną jakąś masę, w większéj części z obcych żywiołów złożoną, nie spójną, nie dorosłą do życia, prawami do niego nie obdarzoną, nie liczym wojska, bo tego ze szlachty wydzielać nie ma potrzeby.

Dwór obu królów saskich, przebywających tylko chwilowo w Polsce, był francusko-niemiecko-kosmopolitycznym. Nic tam narodowego rozwinąć się przy nim nie mogło. Cierpiano kontusze, ale w żywym związku nikt nic był z niemi. Szlachta do panów swych potrzebowała drogmana. Co bliżéj z królmi zjednoczyć się chciało, musiało się wynarodowić i przybrać ton francuski, dworu Ludwika XIV, który saska dynastya przyswoić sobie chciała.

Wyższego duchowieństwa część najznaczniéjsza kończyła swe wychowanie w Rzymie. Przeznaczeni na stolice biskupie potomkowie rodzin możniéjszych w domowém wychowaniu, przygotowującém do pe-

regrynacyi za góry, już cechy rodowe zaciérali, stając się kosmopolitami.

Mało biskupów dochodziło dostojeństw prawem zdolności i talentów; większość szła do stanu duchownego z rodów znacznych dla mitr i dostatków, jakie do nich były przywiązane. Z biskupstwem krakowskiém szło księztwo Siewierskie i milionowe dochody; prymasowstwo wyposażone było równie bogato; Warmia dawała tytuł książęcy i książęce proventa. Duchowni w Senacie Rzeczypospolitéj, w Radzie króla, u jego boku zajmowali stanowisko przeważne. Ubogie pacholę cudem chyba mogło się tam docisnąć.

Na takich dworach biskupich, choć wspaniale było i gwarno, język narodowy w przedpokoju się tylko słyszéć dawał, cudzoziemskiemi mówiono na sali. U Sołtyka na teatrze grywano tylko francuskie sztuki, kancelarye pisały po łacinie i po francusku. Polski język służył do zbliżenia się z niższém duchowieństwem. Jeżeli Biskup uczonym był i lubił uczonych, otaczał się jak Załuski niemcami, a pisał po łacinie.

Niższe parafialne duchowieństwo, proboszcze i wikaryusze, jak świadczą zgodnie pomniki współczesne, wielkiego wykształcenia nie mieli. Żyli z ludem, często jak ten lud, ubogo. A że znaczna część probostw miała grunta i gospodarstwa, byli zarazem rolnikami i to ich zaprzątało. Z klas niższych rekrutujący się ten żołnierz prosty, niespo-

dziewający się awansu, bo kanonie i beneficya brała szlachta tylko; przychodził z seminarjum tyle umiejąc, aby skromnym wymaganiom mniéj jeszcze oświeconych parafian mógł zadość uczynić.

Z zakonów dwa stały na czele. Jezuicki, którego celem głównym było, od założenia go, walka z herezyą i zapobieganie emancypacyi ducha i Pijarski, *Scholarum Piarum*, który odrazu opozycyjne zajął stanowisko. Nadto znaném jest co charakteryzuje zakon Jezuitów, abyśmy to powtarzać potrzebowali. Spełnili oni powierzone sobie posłannictwo, przechodząc zakres jego, ze ślepém posłuszeństwem żołnierzy, z ofiarnością niezrównaną, z obawy pożaru gasili wszelkie światło. Świecili natomiast próchnem i przy tém słabém światełku uczyli żyć, skromnie się niém obchodząc.

Zakon szkół pobożnych odrazu sobie założył rzecz do wykonania niemożliwą, choć na ów okres i w danéj chwili, w części urzeczywistnioną, i już wielce pożyteczną. Pomiędzy nauką szkół jezuickich a żywym światem nie było związku; pijarowie chcieli religią przejednać z postępem, naukę chrześciańską połączyć z praktyką życia. Do szkół swych wprowadzili nowe formy w nauczaniu, pozbywając się przestarzałych; w plan nauk wciągnęli nauki doświadczalne, w rachunek nawet szły talenta towarzyskie i co tylko do życia przygotowywać mogło. W duchu ich szkół była reforma a postęp razem z wiekiem. To zadanie

właśnie szkopułem było, bo kościół ustępstw światu czynić nie chciał, a ścisła logika orthodoxyi była przy Jezuitach. Rodzaj odstępstwa tkwił w zadaniu szkół pobożnych, chciały iść naprzód, gdy kościoła dogmatem była nieruchomość. Walka dwu zakonów stawała się nieuchronną; pijarowie mieli za sobą ducha wieku, z kościołem jednak na téj drodze zwolna rozbratać się musieli. W samym ich zakonie, z wyjątkiem niewielu ludzi znakomitszych, wyższych umysłem, godzących wiarę z nauką — walka przeciw excessom fanatyzmu i zastałości przerodziła się w indyferentyzm i sceptyczność. Raz na pochyłość rzucone umysły, w dalszym pochodzie zatrzymać się nie mogły.

Obok tych dwu zakonów, postawmy i najpopularniéjsze w kraju zakony żebracze, reguły ś. Franciszka, ktore nie jaśniały nauką, ale z życiem się zrosły, pojmowały je i praktyką skromną cnót chrześciańskich, zastosowaniem się do obyczajów, przejęciem moralnością ewangelii, tolerancyą nareszcie się odznaczały. Prostoduszny braciszek, jeżdżący po kweście, z opłatkami, z obrazkami dla dzieci, znajdował w sobie natchnione słowa, w których go żaden kaznodzieja ani najsławniéjszy teolog nie prześcignął. Z ludu powstałe zakony te ubogie, z ludem i szlachtą w najściślejszym były związku. Wyrozumieli, łagodni, pobłażający, nawracali więcéj sercem niż wymową. Bernardyn, z którego się czasem śmiano, odcinał się

zręcznie, był wszędzie miłym gościem domu, ale światła doń nie przyniósł wiele, bo go nie miał.

O możnych rozszerzać się nie potrzebujemy. Na tych wyżynach społecznych zwykle i wszędzie wykwita i co ma najświetniejszego naród i co ma najzepsutszego. Drzewa i narody usychają od wierzchołków, a od pni nowe puszczają wyrosty.

Zachowały się w końcu XVIII w. idealne, patriarchalne pańskie dwory w Polsce, ale wyjątkowo. Pod wpływem saskiego dworu, który z nich wybiérał haracz Denhofowych, Lubomirskich, Pociejowych i tylu innych, kobiéty się popsuły, a przez matki pokolenia. Faworyty i przyjaciółki Augusta mocnego nie mogły dzieci na Spartanów wychować. Żądza używania, błyszczenia, panowania oślepiały na wszystko.

Polor francuski z obyczaju narodowego pozostawiał tyle tylko, ile było potrzeba, aby szlachtę sejmikową módz pociągnąć ku sobie. Każdy niemal panicz odbywał podróż na zachód dla dokończenia wychowania i powracał do domu znudzonym kosmopolitą, pogardzającym barbarzyńskim krajem własnym. Wielkie panie żyć nie mogły w domu, musiały jeździć choć odetchnąć za granicę.

Magnaci stykali się ze szlachtą tylko, gdy dla swych widoków potrzebowali się nią posłużyć. Mało kto wyżył na wsi, a zmuszony, jak stary Hetman Branicki męczyć się w Białymstoku, two-

rzył sobie sztuczną atmosferę wersalską, aby módz oddychać.

Jeden z Sapiehów, za Augusta III starą bibliotekę polsko-łacińską wyrzucić kazał precz, aby miejsce po niéj francuskiemi romansami i teatrem zapełnić. Panie przechodziły w tém mężów.

Pod wpływem rozmaitych żargonów wyuczonych w podróżach, po polsku mówiło się i pisało poczwarnie.

Dość spojrzéć w listy, francuzczyzną przetykane i bez ortografii. W ortografii zresztą nie był mocnym i polyglotta Poniatowski, ni żadna z pań co doń listy pisywały. Nie troszczono się o nią wielce.

O polskiéj literaturze u panów ówczesnych, ani słychu nie było. Jeżeli się co z niéj zawieruszyło w domu, poszło do fraucymeru, na folwark, do plebanii.

Szlachta zamożna, spokojniéjsza, zwłaszcza po niektórych kraju zakątach, dawała właściwie z całego tego organizmu, jedyny przytułek narodowym tradycyom i piśmiennym pamiątkom. Tu nic nie wsiąkało oprócz łaciny, a ta tak bardzo szkodliwą nie była, bo duch jéj dawno z naturą języka się spoił. Tu żyła miłość rzeczy własnych, wspomnień, podań, tu się spisywały silwy, dyaryusze, zachowywały kroniki i śpiewały pieśni stare. Zamożniejszy szlachcic posuwał wyżej syna w naukowych zakładach, choćby dla krescytywy. Chciał, żeby on coś umiał, i wykształcenie możnéj szlachty

często gruntowniejszém było, niż paniczów, co zbyt wcześnie żyć zaczynali. Z tych sfer zasilała się palestra, w któréj, bądź co bądź, słowo miało swą wartość, myśl szacunek.

Poniżéj wśród tłumów rozdrobionéj, ubogiéj, ocierającéj się już o lud szlachty, nie ma co szukać oprócz widoku upadku i demoralizacyi. Ciżba to posłuszna panom, pragnąca chleba, gotowa siec i zabijać byle coś zarobić, biédna, ślepa, zepsuta, upadła a dumna przywilejem, który na sejmikach sprzedawała. Być może, iż i tu znajdowały się typy piękne, szlachetne, nieposzlakowane, ale wiemy jakim był ogół. Pamiętniki współczesne świadczą.

Stan ludu, włościan był smutny. Rycerstwo, wedle dawnych pojęć, posługiwało się nimi, aby samo mogło się dla obrony kraju poświęcać. Były wsie, gdzie lud niemal do rodziny pańskiéj należał, będąc z nią w związku serca i ducha; ale była i niewola uprawniona zwyczajem, nałogiem wiekowym. O oświacie tego ludu nikt nie myślał, owszem uważano ją za zgubną, odwracającą od pracy, zasiewającą nasiona nieposłuszeństwa i buntu. Był to domowy zwierz roboczy, niestety, z którym się obchodzono po ludzku, ale praw ludzkich przyznać mu nie chciano.

W chacie literaturę stanowiła baśń prastara, pieśń dziewicza, śpiew pobożny, modlitwa, co się

odziedziczyło po dziadach i wzięło z kruchty kościelnéj.

Spadek, który XVIII wiekowi z przeszłości pozostał, dość był liczbowo obfity; ale wśród niego to, co było, że się tak wyrazimy, assymilacyjném, mogącém przejść w krew i życie, ogranicza się szczupłą dzieł ilością. Piśmiennictwo nasze, jak każde inne, na mnogie rozpada się działy i rodzaje, lecz *per excellentiam*, to głównie wchodzi w rachubę historyi ducha, co dla jak największéj liczby było dostępném.

Książka, któréj nikt nie czyta, jest jakby w niezrozumiałym pisana języku. W samych początkach, Rej, Kochanowski, Bielski, Górnicki, późniéjsi nawet poeci i popularniéjsi pisarze, Grochowski, Klonowicz, Twardowski, Kochowski mówili do ogółu; czytało ich co czytać umiało, karmiono się nimi. Co oni wyśpiewali i wypowiedzieli rozumiał każdy, odczuwał i łatwo przyswajał.

Wszyscy nasi pisarze łacińscy już dla wybranych tylko byli przeznaczeni. Górnicki swe dzieje, Bielski kronikę spisują przystępnie, jakby opowiadali; Sulikowski swój komentarz, Kochowski klimaktery układają po łacinie.

Z całéj téj przeszłości zostaje trochę dziejów i wiele pieśni, które naród spożył i nakarmił się niemi, popularnych prozaików prawie nie mamy.

Szukać ich chyba w broszurach i pisemkach urywkowych, a i tych większość rymuje i w poezyą stroić się rada. Obok dziejów wpływowymi są pisarze duchowni, Skarga w żywotach swych i kazaniach, i inni idący w jego ślady.

Do pewnego stopnia popularność i wpływ książek mierzyć się może dzisiéjszą ich rzadkością, książki nabożnéj całéj dziś nie znajdziesz, kronik zostały karty odarte, broszur, poematów, fraszek tylko strzępki. Niektóre pisma dawne znamy tylko z tytułów. Pierwsze wydania Kochanowskiego są nie do znalezienia. Grochowski nawet i Kochowski są stosunkowo rzadcy, gdy uczone foljanty, teologiczne traktaty, łacińskie kroniki łatwiéj się trafiają.

Kochanowskiego pieśni przepisywano do XVIII w., psalmy śpiewano po kościołach, pieśni po domach, Nie było nad niego z dawnych popularniéjszego poety. Ten twórca języka trafił do serca narodu i zamieszkał w nim.

Z końca panowania Augusta IIIgo, przebiérając owe Silvy, w których się mieści niemal cała literatura ówczesna, śladu w nich już prawie nie ma prastarych pozostałości — oprócz pieśni Kochanowskiego.

To co je zastąpiło, nędzne i liche. Smutniéjsza jeszcze rzecz, że tacy poeci jak Morsztyn, Kochowski, Potocki, w których było poczucie piękna, pewien kunszt słowa, czasem myśl piękna i na-

tchnienie prawdziwe, przebrzmieli bez uznania i rozgłosu.

Oratorska swada zabijała poezyą, w końcu trafił się li wiersz co szerzéj się rozchodził, była to Satyra, epigramat złośliwy, niezręczny opis wypadku, lub piosenka i powiastka swawolna.

Wacława Potockiego, ostatniego wielkiego poety, wspaniały poemat o chocimskiéj wojnie, nawet druku się nie doczekał.

Polska więc literatura w połowie XVIII w. cała była w spuściznie przeszłości. Utrzymywała też kraj w pojęciach wieków poprzedzających i przyczyniała się do zastałości. Gdy nic nowego nie podsycało życia, nie karmiło go sokami żywotnemi; duch zapasami staremi żywiony musiał nabiérać ich charakteru. U nas téż prowincye, odległéjsze zwłaszcza, w tym czasie jeszcze były bez żadnéj niemal zmiany takiemi, jakiemi je stworzyło ruchawsze panowanie Jana Kazimierza. Ani w nich postępu, ni przetwarzania koniecznego tam, gdzie jest życie normalne, nie widać.

Powtarzało się wszystko stare, idee, formy, pojęcia teraźniéjszości, na sejmach, w kościele, po domach. Nic nie przybywało, nic się nie tworzyło, a że prawem jest, że co nie rośnie to niszczeje, więc i pojmowanie przeszłości ścieśniało się, paczyło, tradycye wietrzały, suche z nich pozostawały formy.

Przez ciąg panowania Sasów skazani jesteśmy

na to wyjadanie spiżarni staréj, w któréj zapasy coraz maleją, albo ludzie nie wiedzą już jak z nich korzystać.

Znany jest stan Rzeczypospolitéj w chwili zgonu Augusta III. Nie władała ona już sobą, anarchia ją obezwładniła; coraz silniejsze były wpływy dworów obcych. August II marzył już o podziale jéj i przyłączeniu pozostałéj części do dziedzicznego swego państwa.

Za słabym był tylko by się ważyć na to, nawet z pomocą zapłaconego brandeburgczyka. Dotąd współzawodnictwo ościennych dworów żadnemu z nich wyłączniéj zawładnąć Rzeezpospolitą nie dopuszczało. Od chwili, gdy jeden z nich uzyskał w Polsce przewagę, mógł już marzyć o jéj opanowaniu. Mówiono jeszcze, że Polska bezrządem stała, gdy właśnie nim upaść miała.

W téj chwili groźnéj już dla staréj, nadwątlonéj budowy, nieumiejącéj odrodzić się o własnych siłach, wstąpić miał na tron Stanisław Poniatowski, wsparty opieką najsilniejszego z sąsiadów.

Poniatowski pochodził sam z rodziny świeżo dopiero przez ojca jego, niepospolitych zdolności człowieka, wychodzącéj z łona drobnéj i nieznanéj szlachty, ale matkę miał ks. Czartoryską, kobietę wielkiego charakteru i wykształcenia, a po za nim stali dwaj ks. Czartoryscy, wujowie jego, którzy

pod opieką Rosyi, odrodzić Rzeczpospolitę i zreformować ją, do życia zdolną uczynić pragnęli.

Stolnik litewski wychowany jak nadzieja rodziny ze staraniem największém, od dzieciństwa już kształcił się trybem kosmopolity i panicza. Natura dała mu zdolności wielkie, niezmierną łatwość pojęcia i władzę odczuwania wszystkiego, dowcip, dar przypodobania się ludziom i zastosowania do nich, pewien rodzaj zalotności niemal niewieściéj i żądzę zyskania sobie serc wielu, ale odmówiła mu energii siły, charakteru i surowszego pojęcia życia. Przez cały ciąg panowania Poniatowski takim pozostał, wrażliwym, usiłującym podobać się, uniknąć walki, przejednać ze wszystkimi, kupić sobie pokój, bodaj poświęcając mu godność własną.

Nigdy nie rozumiał potrzeby oporu, śmiałego wystąpienia, walki z opinią, bo czuł, że mu na sile do niéj zbywało.

Dorobkowicz z talentem, cudownie utorowawszy sobie drogę do tronu, chciał nią iść daléj, jednając serca. Ukształcenie odebrał w znacznéj części francuskie, otoczenie, w którém żył, podróże dały mu poznać świetny stan innych krajów, ich dobrobyt i rozwinięcie szczęśliwe. W porównaniu do nich własny kraj wydawać mu się musiał dzikim i barbarzyńskim. Wielbiciel wszystkiego, co było modne, co miało cechę postępu, co uderzało i świeciło; bałwochwalca dowcipu, był także

czcicielem Voltair'a. Wchodząc na tron miał na sercu, jako najważniejsze zadanie, kraj zacofany, opóźniony, zdziczały, na zupełnie nowe wprowadzić drogi.

Cywilizować chciał, chociaż naówczas ani on, ani może nikt nie zdawał sobie sprawy jasno z tego, co od wieków zwało się „naprawą" Rzeczypospolitéj.

Ile w téj naprawie miało i mogło pozostać starego obyczaju, spuścizny przeszłości, co wejść nowego — nikt nie określał, pragniono instynktowo światła, wiedzy, ogłady, sztuki, jako środka łagodzącego obyczaje; pozbycia się tego, co zwano ogólném mianem przesądów, reform politycznych, społecznych, zatém i piśmiennictwa jako dźwigni co pobudzać miała.

Od czasów Sobieskiego, którego dwór acz polski, nie miał zadania naprawy innéj, jak rycerskiéj, a w narodowym duchu szedł raczéj z musu niż woli i rozmysłu, po raz pierwszy na tronie zjawiał się Piast, ziomek, na którego dworze polskie mogło zakwitnąć życie.

Poniatowski rozumiał dobrze, jaką siłą było piśmiennictwo, jakim cywilizacajnym środkiem była cześć piękna, sam z natury swéj artysta, miłośnik sztuki, po troszę literat, *bel esprit*, czuł, co z pomocą ludzi utalentowanych dokonać może...

Wszystko było do zrobienia; gotowego nie znalazł nic, musiał wyszukać te narzędzia, tworzyć

szkoły, rozbudzać uśpione siły, reformować akademie, zachęcać do nauk, nad wszystko pragnienie światła i ruchu rozkrzewić.

W pierwszych latach panowania widzimy go pojmującego gorąco to zadanie, zdobywającego ludzi, starającego się ich łaskami przywiązać do siebie, dobierającego po swéj myśli tych apostołów, mających krzewić wiarę nową. Ta wiara nowa nie mogła być inną, jak najświeższéj francuskiéj fabryki.

W kraju katolickim do szpiku kości, król szanować musiał religią, do któréj naród był przywiązany, z którą od wieków się zrósł i żywotem całym ją przejął. Król więc tylko, jak pijarowie szkoły, mógł kraj oczyszczać i na sposób najnowszy przerabiać, nie tykając świętości jego. Nie rozumiano dobrze granicy, gdzie się przesąd kończył, a dogmat zaczynał, trochę na oślep stąpano pociemku, mówiąc sobie, iż praktyka uczy miary. Kontusze, wygolone głowy, stary obyczaj rycersko-szlachecki, liczył się na dworze Stanisława Augusta do oznak zastałości i zacofania. Na gwałt zrzucano odzieże stare i uczono francuszczyzny, aby się stać podobnemi do reszty Europy.

Dla tych, co po francusku nie umieli, potrzeba było ludzi, którzyby cywilizacyą przekładali na język polski. Ztąd konieczność zastępu literatów, których król powoli około siebie zgromadzać począł. Widzimy z mów i listów króla, że jego zna-

jomość języka polskiego była bardzo słabą. Władał nim zupełnie tak jak innemi, któremi mówił, jak na króla, gładko i dosyć poprawnie. Najlepiéj jednak i najłatwiéj wyrażał się i pisał najchętniéj po francusku. Równie prawie dobrze mówił po angielsku, po włosku i po niemiecku. Nie była mu obcą łacina, ale téż nie zbyt poufałą.

W polskich jego pismach czuć myśl francuską, zwroty obce, użycie wyrazów często nieśmiałe i opaczne, brak wprawy i obeznania z pięknemi wzory XVI wieku. Wszyscy poeci i literaci jego czasu, co się więcéj na łacinie ukształcili, jak Naruszewicz i Trembecki, przez nią bliżsi byli ducha XVI w., inni, jak Krasicki, Węgierski, Niemcewicz wyrażali się z pewnego rodżaju nieśmiałym i mniéj więcéj szczęśliwym neologizmem.

Chciał król dla narodu oświaty, tak jak warunki jéj pojąć umiał, w gruncie raczéj ogłady dla ogółu, a wyjątkowo uczonych ku potrzebie reform gospodarstwa państwowego, wojskowości, przemysłu, wszystkich niemal gałęzi życia. Sprowadzano cudzoziemców na nauczycieli.

Aż do r. 1772, to jest do zniesienia zakonu jezuitów, plany i programmata są niejasne, zawichrzenia téż krajowe nie dozwalają się zająć czynnie ich urzeczywistnieniem. Konfederacya barska, wskrzeszająca uczucia religijne i rycerskie, ma téż swą literaturę, zaprawdę ciekawą i charakterystyczną. Śpiewa ona językiem Sasów, w którego

stare stężałe członki nowe soki wpłynęły. Pieśni jéj mają uczucia wiele, a zbywa im na formie. Znać w nich, że ci co je śpiewają, tyle tylko umieją, co ich przestarzała domowa tradycya nauczyła. Język to palestry i jezuickiéj szkoły. Poetom nie zbywa na talencie, na polocie, ale język ich ma związane skrzydła.

Od koronacyi Stanisława Augusta do smutnego końca konfederacyi barskiéj i pierwszego rozbioru, nie ma jeszcze mowy o odrodzeniu się literatury. Kraj pokonany, musi odzyskać życia warunki, nim rozpocznie się przetwarzać. Z pierwszym rozbiorem schodzi się fakt niezmiernéj wagi, zniesienie zakonu jezuitów, na którego bogatą spuściznę rzuca się łakoma, chciwa łupu prywata. Z cynizmem strasznym padają krucy na pastwę, ale kraj téż dopomina się o spadek i udział w dziedzictwie. Ogromne dobra i fundusze pojezuickie, nadane instytucyom naukowym dla szerzenia oświaty, przechodzą pod zarząd komisyi edukacyjnéj. Pierwsza podobno w Europie Rzeczpospolita, odbiera w swe ręce z rąk duchowieństwa, wysekularyzowane wychowanie publiczne, krok to w duchu wieku, śmiały i stanowczy. Duchowieństwo zostaje przypuszczoném do oświecania, lecz kierunek jego odbiera państwo, ono bierze na siebie organizacyą nową uniwersytetów, szkół i szkółek, całą oświatę narodu. W najsmutniejszéj dziejów godzinie jestto największa zdobycz, która wiele

strat nagrodzić może. Rzeczpospolita raz poświęciwszy część swych prowincyj dla uzyskania pokoju do wewnętrznego odrodzenia się niezbędnego, rozpoczyna jakby życie nowe. Po téj ofierze bolesnéj, zdaje się wszystkim, iż to co pozostało, co rychléj z choroby wieków leczyć należy. Rozumie to król, pojmuje doskonale komisya edukacyjna, a choć w jéj łonie zasiadają ludzie charakterów wielce niepewnych, niedostępni poczuciu obowiązków — wstyd nie dopuszcza im źle czynić.

Lecz od tych uwag ogólnych, które nas zbyt daleko uniosły, zwróćmy się jeszcze nazad ku czasom, panowanie to poprzedzającym.

Śledząc genezę tego ruchu reformatorskiego, którego ster dostaje się w ręce Stanisława Augusta, musielibyśmy znijść aż do XVII wieku, w którym pierwsze się głosy odezwały, domagające naprawy Rzeczypospolitéj. Skarga, Modrzewski, Starowolski widzą złe, czują, że się wszystko rozprzęga, wołają o ład i nową organizacyą, ale to są głosy rozlegające się na pustyni. Za Sasów, gdy już zło uwydatniło się tak, iż reforma radykalna instytucyi, stała się życia warunkiem, odezwał się za nią nieśmiało król Wygnaniec Stanisław Leszczyński.

Za nim, kreśląc obraz jaskrawy stanu nieszczęśliwego kraju, wystąpił pokrewny mu z ciała

i ducha Jabłonowski w swym Skrupule bez skrupułu.

W téj szkole Leszczyńskiego pierwszą myśl reform powziął Konarski, jest jéj uczniem i spadkobiercą.

Krasicki napisał Konarskiemu na grobie:

Ten co pierwszy zdziczałe ciął gałęzie wzniosłe,
I śmiał ścieżki odkrywać wiekami zarosłe,
Co nauki, co miłość kraju wzniósł i krzepił,
W cieniu laurów spoczywa, które sam zaszczepił.

Na medalu, na cześć jego wybitym, napisano:

SAPERE AUSO.

Medal i nagrobek zarówno świadczą, jak zasługi Konarskiego „w odkryciu ścieżek wiekami zarosłych“ cenić umiano.

Dziś, gdyśmy skutkiem zwykłego w przekonaniach ludzkich obrotu, przyszli znowu do rehabilitacyi zakonu jezuitów i zaparcia się postępu, dlatego, że zapalone umysły za daleko się, szukając go, zapędziły — dziś, nietylko zasługi Konarskiego zmniejszyć usiłują, ale chcą im zaprzeczyć. Jest to moment słabości ludzkiéj, który nas od bezstronnego osądzenia dzieła, które Konarski rozpoczął, nie może powstrzymać.

Potomek możnéj i znacznéj rodziny, z powołania wdziawszy suknię zakonną, Konarski odbył dla wykształcenia się podróż po Europie i mógł

najlepiéj ocenić przez porównanie, jak stan oświaty w Polsce był opłakanym.

Było to za panowania jeszcze Augusta III. Prawdopodobnie całéj rozciągłości tych reform, do których miał z kolei dać pobudkę, nie rozmierzył odrazu. Począł w r. 1741 od wydania po łacinie dzieła, o naprawie błędów wymowy. *(De emendandis eloquentiae vitijs)*. Instynktowo rozpoczynał od reformy napuszonego, bezmyślnego oratorstwa, dlaczego? Cudowne poczucie go wiodło. Czuł w tych słowach, gromadzonych dziwacznie, symptom czczości, znikczemnienia, wygniwania ducha i życia.

Słowo nie jest nigdy przypadkowém, forma nigdy obojętną i bez znaczenia, w nich bije puls życia. Czuć w stylu każdéj epoki gorączkę lub osłabienie, wyżycie się lub zdrowie, a wad wymowy inaczéj poprawić nie można, jak zmieniając, przetwarzając całą naturę człowieka.

Jaka mowa, taka myśl; niedołężne jedno, zniedołężniałe i drugie; jaka myśl, taka dusza, z któréj się ona wylewa; jaka społeczność, takie wychowanie, co tę duszę wykształciło.

Słowo jest ostatnim wyrazem i wypadkiem życia.

Naprawić chcąc wymowę, nie dosyć było wykazać jéj śmieszności i bezmyślność, należało sięgnąć do tego, z czego się rodziły chwasty. To téż, po pierwszym tym wysiłku oddziałania na słowo, wykazaniem jego wad i czczości, w 1755

Konarski przedsiębierze dzieło, mające społeczność samę odżywić, rozbudzić, zmienić — poczyna wielką reformę wychowania.

Szkoły martwe, według dawnéj urządzone metody, wszystko zasadzającéj na gimnastyce filologicznéj łacińskiéj, ciasno pojętéj, Konarski usiłuje z gruntu przetworzyć, wprowadzając do nich, obok łacińskiego języka, naukę nowożytnych i nauki przygotowawcze do poznania otaczającéj natury, a żywego świata. Widzi reformator, iż ruch i postęp jest niezbędnym, że nauka stanęła nie rachując się z ogólnym pochodem ku światłu, że życie jest w niezgodzie ze szkołą, a ona tamuje je nie przygotowując do niego. Szkołę więc nową zamierza uczynić istotną propedeutyką żywota i wlać w nią siły nowe.

Cel postawiony dość jasno — nie tak środki i drogi. Gdzie tylko burzyć potrzeba, aby budować, istnieje zawsze niebezpieczeństwo obalenia za wiele. Gorączka reformatorska tak jest niebezpieczną, jak zapał wojenny; w bitwie ślepnie i głuchnie człowiek. W walce z zakonem reprezentującym orthodoxyą i nieruchomość, łatwo było popaść w radykalizm i indyferentyzm religijny. Nie poszedł tak daleko Konarski, ale następcy jego nieraz u skraju stanęli.

W walce z łaciną średniowieczną, do innych źródeł potrzeba było się udać dla zdobycia nowych zasobów; Konarski nie miał innych nad

francuskie, a wpływ ducha francuskiego raz ustalony wiódł do poślubienia wszystkich jego aberracyi krańcowych, szczególniéj w kraju tak ślepo ulegającym urokowi zachodu, jak my zawsze byliśmy.

Oprócz reformy wychowania i dzieła o poprawie wymowy, zasłużył się wielce Konarski wydaniem całkowitego zbioru rozpierzchłych praw Rzeczypospolitéj, a tegoż zgromadzenia zakonnik Dogiel rozpoczął druk pierwszego kodeksu dyplomatycznego. I to nie było bez znaczenia głębokiego, bo poznanie krytyczne dziejów i instytucyj musiało być bodźcem do reform w samym organizmie państwowym.

Wpływu jednak i znaczenia Konarskiego nie w samych pismach jego szukać należy, zawierają one tylko cząstkę działalności, świadectwo jéj. Konarski przez stosunki swe, wychowanie, osobiste wpływy działał słowem, przykładem, czynem, więcéj niż wydanemi dziełami.

Szkoły pijarskie były reform jego machiną główną, przez nie dźwignął się zakon. Widzimy, że pod koniec panowania Augusta III, z Konarskim i jego wpływem, polityka się liczyć musi. Czartoryscy w swych planach ulepszeń i odmian schodzą się z nim.

W r. 1760 Konarski wydaje pismo wielkiéj politycznéj doniosłości, targa się na owę źrenicę wolności polskiéj, na *liberum veto;* zapowiada nowy

porządek obrad sejmowych i wskazuje już, jak je należy urządzić, aby owoc wydać mogły. Jest to dzieło „O skutecznym rad sposobie,“ które w kraju ogromne uczyniło wrażenie. Potrzeba było odwagi wielkiéj, aby się targnąć na to, co za najdroższe uważano, a co najzgubniejszém było. Usprawiedliwiał reformatora cały szereg pozrywanych marnie sejmów, niedoszłych praw, owych opłacanych przez różne partye „nie pozwalam“ i manifestów, odbierających *activitatem* izbom, dla fantazyi jednego przekupionego człowieka.

Nie można się było spodziewać, aby to pierwsze słowo skuteczném być miało, ale był to wyłom w twierdzy, był to jakby gwałtownie oderwany plaster, okrywający ranę krwawą. Widzieli ją teraz wszyscy, przyszłość leczyć miała.

Wydał jeszcze Konarski rzecz o religii poczciwych ludzi (1767), pismo przeciwko deistom, które szerzącemu się indeferyntyzmowi religijnemu zapobiedz miało, lecz mniéj zyskało rozgłosu. Oprócz tego w rękopismach po nim zostały, piękną polszczyzną pisane dramatyczne próby, które wyższą wartość mają niż współczesne.

Cała działalność Konarskiego, dla nas dziś niejasna, gdy same pisma na wagę weźmiemy, uznaniem powszechném za panowania Stanisława Augusta potwierdza się i wyświeca. Był to mąż czynu, a skutki prac jego świadczą o nich najlepiéj.

Zdało się nam niezbędném tym wstępem i ogólnym obrazem poprzedzić życiorys naszego pisarza, który przychodzi razem z królem Stanisławem Augustem, posiłkując swém piórem i dowcipem wielkiemu reformy dziełu.

Zbliżmy się teraz do niego.

Stara szlachecka rodzina Siecińskich Rogalów, która obyczajem naszym, od Krasic póżniéj pisać się poczęła Krasickimi, już w XVI w. u Paprockiego rozrodzona i wielkiego znaczenia się okazuje.

Jak wiele innych szlachecko-pańskich rodów, wyrosła, rozrodziła się, służyła krwią i mieniem krajowi, aż ofiarami i podziałem majętności z dawnego swojego stanowiska, które ją na równi z pierwszemi w Polsce domami kładło, schodzić poczęła w XVIII wieku.

Rogale z Siecina, Murzynowa i Krasic, wielkich majętności na Rusi posiadacze, zawczasu koligacyami połączyli się z najznaczniejszemi domami w Polsce. Znajdujemy ich w genealogii Sanguszków, Fredrów, Ossolińskich, Lipskich, Czartoryskich, Sapiehów, Rzewuskich, Cetnerów, Czetwertyńskich, a członków rodziny na senatorskich krzesłach wojewodami i kasztelanami, w poselstwach do obcych dworów, czynnych w sprawach Rzeczypospolitéj.

Marcin wojewoda podolski, syn kasztelana przemyślskiego, na dworze arcyksiążęcia Karola au-

stryackiego spędziwszy młodość, w poselstwie za Zygmunta III do Ferdynanda II cesarza wysłany, tytuł hrabiego państwa rzymskiego dla siebie i starszego brata swojego Jerzego pozyskał w r. 1631. Że ród swój sam Biskup Warmiński stawił wysoko, widać to z ustępu w czwartéj pieśni Monachomachii, gdzie pisze:

Ostrogskich książąt, Pinczowskich margrabiów,
Górków, Tarnowskich i Krasickich hrabiów.

Z tym obcym tytułem hrabiowskim, który w Polsce raczéj tolerowanym był niż uznanym, bo równości szlacheckiéj stał solą w oku; młody kanonik miał przybyć do Warszawy i jawnie go głosił. Było to za Augusta III, gdy z niemieckim obyczajem tytuły u nas zagęszczać się zaczęły, a Niemcy niemi każdego bogatego szlachcica obdarzali, nic więc dziwnego, że nosił go Krasicki.

Adama z ks. Sanguszkównéj syn, Karol kasztelan chełmski, z dwu żon, Czetwertyńskiéj i Rzewuskiéj, liczne zostawił potomstwo, na które znaczne się majętności rozpadły. Z dzieci jego Jan kasztelan chełmski (z Rzewuskiéj) żonaty z Anną Starzechowską [1]),

---

[1]) Anna Starzechowska, herbu Nieczuja, Stolnikówna Żydaczewska.
Synowie: Ignacy Arcyb. Gnieźnieński, Marcin, Karol, Ksawery, wszyscy trzéj kanonicy Warmińscy, i Antoni, dziedzic na Dubiecku żonaty z Różą Charczewską.
Córki: Marya za Rościszewskim, Brygida za Starzeńskim, potém za Morskim kasztel. lwowskim.

rodziny swéj ostatnią, był ojcem Ignacego, najstarszego z potomstwa. Urodzony d. 3 lutego 1735 roku w Dubiecku, ochrzczonym był przez ks. Gabryela Drzewickiego imionami Ignacego, Franciszka i Błażeja.

Znaczne jeszcze dobra były w posiadaniu téj latorośli domu, ale już uszczuplone rozrodzeniem, podziałami i w ostatnich czasach, wśród powszechnego nieładu, obciążone długami. To zapewne spowodowało matkę, troskliwą o przyszłość rodziny, że widząc w najstarszym synu objawiające się zdolności wielkie do stanu duchownego go przeznaczyła. Imię, stosunki i dary umysłu zapewniały Krasickiemu w duchownéj hierarchii wysokie stanowisko, wielkie beneficya. Majętności więc nietylko uszczuplić nie mógł, ale mu łatwo ich było przyczynić i ród stary podnieść do dawnego znaczenia. Tak naówczas postępowały i inne rodziny, dbałe o to, ażeby się na stanowisku swém w Rzeczypospolitéj utrzymać mogły.

Solidarność wszystkich członków jednego rodu była jeszcze nienaruszoną i członkowie ich poświę-

---

Ojciec chrzestny Ignacego Załuski był kasztel. Wojnickim, potém Wojewodą Czerniechowskim.

Matka chrzestna Teofila Wapowska, cioteczna siostra Anny ze Starzechowskich Krasickiéj, za mężem naprzód Kopciem, 2. Rosnowska, 3. Załuska Wdz. Płocka, 4. Podoska Wdz. Płocka.

Obraz w kościele w Dubiecku wyobraża matkę z siedmiorgiem potomstwa. Młody Ignacy uderza na obrazie żywą i pełną inteligencyi twarzyczką.

cali się chętnie dla utrzymania znaczenia — *domu*. Rody te i domy powiązane z sobą koligacyami, przymierzami odpornemi i zaczepnemi, władały Rzeczpospolitą. Z téj solidarności rosła siła, nieraz może szkodliwa, ale wielekroć téż pożyteczną dźwignią będąca, siła — któréj jednostki rozbite, samopas chodząc, mieć nie mogły.

Ród stanowił potęgę, która najmniéjszą jego cząstkę czyniła pożyteczną i znaczącą; maleńcy rośli przez to, nie odpadało nic, wszystko było zużytkowane. Najuboższym krewniakiem opiekował się dom, ale się nim wysługiwał. Nieposłuszny tylko od téj jedności odpadał.

Dla utrzymania znaczenia rodu, jednostki szły na ofiarę. Ztąd układane zawczasu małżeństwa jak przymierza państw, ztąd do stanu duchownego wydzielanie córek i synów, innych do wojska itp. Dom był za owych czasów stowarzyszeniem, na członków swych wkładającém obowiązek ślepego posłuszeństwa.

Najstarszy lub najzdolniéjszy wyznaczonym bywał głową i wodzem rodziny, ten szeregowemi swemi rozporządzał, śląc jednych bodaj na stracenie, drugich, gdzie ich zdolności różne powoływały. Szły do klasztorów ofiary z niewiast, aby ocalić dobra od obciążenia i podziałów, szli młodzi do nowicyatów, aby starszemu dać majętności i utrzymać jego znaczenie, trzymano się za ręce. W wielkich wypadkach, zwykle kilka razy do roku,

do głowy rodu zjeżdżała się familia cała na radę, po rozkazy. Słano młodzież do upatrzonych dziedziczek, pannom starano się o mężów dla przymierza i wpływu potrzebnych, łączono się do spraw wspólnych, pilnowano u dworu; a stojący u steru odbierał raporta o wszystkiém, co się tyczyło domu. W złym razie pomagali wszyscy, zdobytym wpływem dzieliła się rodzina.

Brak majoratów i ordynacyj, które u nas wyjątkowo tylko i z trudnością się utrzymywały, zmuszał rodziny do pamiętania o sobie i salwowania bytu swojego dobrowolnemi ofiary. A zaprawdę, patrząc jak instytucya majoratów oddziaływała wszędzie na zmuszenie młodszych, wydziedziczonych do pracy, do szukania chleba o własnéj sile, dziś niemal żałować przychodzi, iż dla sprawiedliwszego pozornie podziału własności, u nas się ich wyrzeczono. Ocaliłyby one wiele pamiątek, majętności, tradycyj, a w szeregi pracowników popchnęły młodzież wykształceńszą, zmuszając do szukania drogi, chleba i miejsca w społeczeństwie.

Że przeznaczenie do stanu duchownego najstarszego z synów, młodzieńca nadzwyczaj piękněj i sympatycznéj powierzchowności, już od dzieciństwa dającego poznać zdolności niezwykłe, dowcip, pojętność, bystrość — nie było dziełem powołania ale rodzicielskiéj rachuby, zdaje się nie ulegać wątpliwości. Chciano na głowie jednego skupić rozpadające się mienie domu, przywrócić dawną

świetność. Do podniesienia go w znaczeniu i majątkowo, nikt nad młodzieńca tak szczęśliwie obdarzonego zdolniejszym nie był.

Z tych samych powodów, późniéj kilku młodych Krasickich obrało także stan duchowny, nie z powołania również, ale dla rodziny, karyery i krescytywy. Na duchownego nie miał młody Ignacy Krasicki tych przymiotów, które tworzą apostołów, ascetów, filary kościoła; ale jako senator duchowny Rzeczypospolitéj mógł się spodziewać tego, do czego doszedł, to jest, choćby najwyższéj Prymasowskiéj godności. Że to było gwiazdą przewodnią dla wchodzącego na drogę, dowodzić nie potrzebujemy.

Rozumna matka, przeciwko temu obyczajowi, (o którym mówi ks. Biskup w Podstolim), że panu Bogu ułomnych i krzywych na usługę oddawano, wybrała właśnie najzdolniejszego do duchownego stanu, do senatorskiego krzesła, które go minąć nie mogło. Spokojniejszego ducha, brat Antoni wyznaczony był na głowę rodziny i wiejskiego gospodarza. Jemu się miało dostać stare Dubieckie zamczysko.

Pisze Bartoszewicz (Encyklop.), iż w siedmiu leciech już młody Ignaś pobożne pieśni składał dla matki. Wiemy, iż nauki pierwiastkowo odbył w Collegium Jezuitów we Lwowie, zapewne nie bez pomocy prywatnych nauczycieli, bo znajomość obcych języków i władanie swobodne francuskim,

wątpimy, by [1]) szkołom publicznym mógł zawdzięczać.

W r. 1750, na rok przed śmiercią ojca, młodziuchny, piętnastoletni Ks. Ignacy już będąc kanonikiem kijowskim (co musiał Załuskiemn zawdzięczać), dnia 7 stycznia mianowany był kanonikiem przemyślskim [2]).

Po śmierci ojca, w r. 1751 przypadłéj, opiekować się młodzieńcem miał Ks. Biskup Kunicki, który był krewnym Krasickich [3]). Rychło więc potém mógł się spodziewać znaczniejszych promocyj, zawczasu dając się poznać z ambony jako kaznodzieja, a w towarzystwach lwowskich, krakowskich i warszawskich, jako jeden z najmilszych i najdowcipniejszych ludzi — wszyscy się nim zachwycali. Młody kanonik słynął już naówczas z łatwéj wymowy, i widzimy go aż do roku 1766 wzywanego do kazań i przemówień przy różnych uroczystościach.

W Białéj, w dzień św. Józefata, przy wielkim natłoku i zjeździe „*eruditissimo sermone*“ daje się

---

[1]) Razem z Ignacym chodzili do szkół bracia jego Antoni, przeznaczony na gospodarza i Karol późniéj kanonik Warmiński.

[2]) Bartoszewicz mówi oprócz tego o najwcześniéj nadanéj Kanonii Poznańskiéj przez Ks. Bisk. Czartoryskiego, o któréj zkądinąd nie wiemy.

[3]) Ks. Michał Kunicki, Biskup Arsynoeński, Sufragan Krakowski, był bratem przyrodnim babki Ignacego. Jeździł on do Rzymu z oznajmieniem urzędowém o śmierci Augusta II. Zmarł w r. 1751.

słyszeć, mówi od Collegium Nobilium Pijarów uproszony przy katafalku Marszałkowéj Bielińskiéj itp. Jedna sobie uznanie wszystkich i wszystkim podobać umie.

Dar ten podobania się posiadał Krasicki w najwyższym stopniu, czarował nim i zyskiwał kogo chciał. Zobaczymy późniéj jak nim zachwycony był poważny Jan Śniadecki i jakie na nim uczynił wrażenie. W złośliwych pamfletach późniejszych przezywano go „Umizgalskim“ i nie sądzimy, ażeby epitet ten koniecznie miał oznaczać chęć podobania się płci pięknéj. Było w charakterze Krasickiego chcieć sobie zjednać miłość wszystkich, mało téż miał nieprzyjaciół, a wielkie grono wielbicieli. Bardzo pięknéj twarzy, jak z młodego portretu jego widzieć można, rysów pełnych życia i intelligencyi, temperamentu żywego, pojęcia bystrego, galant, dowcipny, wymowny, pozyskiwał sobie łatwo ludzi. W tym rysie jego charakteru wielkie widzimy podobieństwo do Stanisława Augusta, ale ściślejsza analiza wskazuje téż różnice. Król chwilowo dawał się ogarnąć wrażeniom, wylewał się cały i łatwo mógł być ujętym przez każdego, choć najgorętsza sympatya jego nigdy nie ręczyła za jutro. Krasicki miłym był dla wszystkich, ale się nie poddawał nikomu i wewnętrzne jego przekonania o ludziach wcale się nie zmieniały. W królu była wrażliwość i słabość, w biskupie filozoficzna wyrozumiałość i pobłażanie.

Temi przymiotami zapewne młody Krasicki zjednać sobie musiał przychylność Biskupa Kijowskiego Załuskiego i obdarzony przez niego został koadjutorstwem Opactwa Wąchockiego. Oprócz tego w r. 1758 już w czasie pobytu zagranicą za prezentą Stanisława Augusta Poniatowskiego Starosty Przemyślskiego, Wodzicki Biskup Przemyślski dał mu probostwo przemyślskie [1]).

Na wszystkie strony, jak widzimy, rodzina starała się otworzyć mu wrota do dalszych i wyższych stopni w hierarchii duchownéj, nie marząc jeszcze, by znajomość ze Stolnikiem litewskim pchnęła odrazu Proboszcza Przemyślskiego na księstwo Warmińskie, ode Lwowa do Heilsberga.

Młody Opat Wąchocki nie wyrzekł się, jak widać, przypadającego nań działu z dóbr ojczystych, z których dostał Lubowicze, Zumle w Polesiu kijowskiém, z trzecią wsią i dopłatą od brata około czterech tysięcy złotych wynoszącą. Za wysoko jednak obliczają jego dochód ówczesny na 30,000 złotych. Majątki nań z działu przypadłe były najmniéj intratne, a w czasie pobytu zagranicą widzimy go ciągle w kłopotach pieniężnych, zmuszonego uciekać się o pomoc do brata.

W najpierwszym z listów jego do matki pisa-

[1]) Probostwo Przemyślskie wedle Bartoszewicza miał otrzymać po śmierci Stadnickiego Proboszcza Wojnickiego, kan. krak., nadane sobie przez Sierakowskiego, d. 24 września 1758 r.

nych, jakie się nam dostały[1]), z r. 1757 w grudniu, widać już w dwudziestokilkoletnim kanoniku człowieka wyemancypowanego, zajętego sprawami domowemi i publicznemi bardzo żywo.

W liście nie brak nowin politycznych. Wspomnienie w nim o Stolniku litewskim Poniatowskim, pośle do Moskwy, właśnie nazad rewokowanym, przekonywa, że stosunki z nim nie były jeszcze zawiązane. „Feldmarszałek Apraxyn, pisze Krasicki, ma odebraną komendę, która dana jest jenerałowi Fermerowi (Apraxyna obwiniano o niedbałość). Wiadomości z Petersburga otrzymano zapewniające o czynném utrzymaniu aljansu z królem polskim przeciw Prusom.“

Kanonik, jak widzimy, już jest wtajemniczony w sprawy krajowe.

W parę lat późniéj Krasicki jest już w Rzymie.

Podróż ta, z góry na lat parę obrachowana, mogła téż być pomysłem matki, troskliwéj o to, aby przyszły dygnitarz nabrał poloru zagranicą. Mógł téż doradzać ją zmarły Biskup Kunicki, który Rzym znał i wpływ stosunków zawiązanych

---

1) Cytowaną przez nas korespondencyą, któréj do téj pracy użyliśmy, winniśmy niezrównanéj uprzejmości Alek. hr. Krasickiego z Dubiecka, który po Biskupie nietylko jego rękopisma, ale cały dowcip i ujmujący charakter odziedziczył. Składamy mu najserdeczniejsze dzięki za jego uczynność.

w Watykanie ocenić umiał. Wszyscy młodzi panowie kończyli wychowanie swe taką peregrynacyą, która w kraju nadawała powagę, a kto obcych państw i obyczajów nie znał, nie łatwo zyskiwał posłuch między swymi.

W Rzymie téż zawarte stosunki, jeżeli wprost beneficjów nie dawały tak zwanym dawniéj „corteggianom," wielce dopomódz mogły do ich pozyskania. Niezbędną była ta podróż dla przyszłego dostojnika kościoła, potrzebną dla człowieka, nie zbyteczną dla pisarza, choć w tych czasach w żadnym z listów swych Krasicki nie zdradza najmniejszéj chętki do pióra i autorstwa.

W liście, z r. 1760 (maj) pisanym z Rzymu do brata Antoniego, kapitana wojsk polskich, powtarza Krasicki, że nad lat dwa bawić nie zamyśla i że wracając zamierza podróż na Paryż obrócić. Powietrze włoskie nie bardzo mu służyło.

Nie zbywało na pieniężnych kłopotach. Na ekspedycyę koadjutoryi Opactwa Wąchockiego, o któréj wspomnieliśmy, potrzeba było dwieście czerwonych złotych, a w ogóle najmniéj trzysta, o te prosił brata, aby w sekrecie dług dlań zaciągnąwszy, przesłał mu je co najrychléj przez Ks. Orłowskiego, asystenta polskiego do Rzymu.

Z listu widać przyjazne stosunki z Wojewodą Kijowskim Franciszkiem Salezym Potockim, królikiem Rusi. Krasicki na niego rachował, lecz pomoc pieniężna, spokrewnionego z rodziną Kra-

sickich magnata, jak widać z następnych listów do rodziny i do Wojewody, nie była wcale tak skuteczną, aby młodego duchownego od troski uwolnić mogła. Krasicki miał sobie polecone rozmaite sprawy Potockiego w Rzymie, i więcéj na nie niż dla niego naznaczono mu pewne subsydya. Jak one były niewystarczające, korespondencya do rodziny dowodzi. Opieka Wojewody, jeżeli ją tak nazwać można, więcéj była obiecującą dla przyszłości, niż skuteczną w kłopotach finansowych, na jakie Krasickiego stosunki jego i chęć widzenia ludzi i kraju naraziła.

Wypłacał Potocki jakieś kwartałowe subsidium czasu pobytu w Rzymie Krasickiemu [1]), ale było ono tylko małém wywdzięczeniem się za starania około powierzonyeh mu interesów. Zalecał przy tém oszczędność i karcił go epigrammatem:

Hałasując na prałata,
Że expensuje do kata.

Na to Krasicki odpisał dnia 18 października 1760 r., tłómacząc się i „łaskawy żart“ Wojewody przyjmując jako „zbawienne napomnienie.“ Z listu tego mamy tylko na nieszczęście okruchy, ale z nich widać, iż dumnemu panu z pokorą wielką musiał się młody prałat akomodować. Brakło mu

---

[1]) Zobacz artykuły w Kłosach. 1878. T. XXVII. Nr. 648 i 690.

śmiałości na tłumaczenie się (obwinionemu o rozrzutność), jak skoro Potocki ujrzał go nagany godnym. Przyrzekał za powrotem odmienić się i dowieść, że nie jest rozproszycielem, a tém samém, że pozostanie zawsze godnym jego *hojnych* dobrodziejstw."

Tym czasem tak one były nie hojne, że, jak poniżéj zobaczymy, Krasicki na wyjazd z Rzymu zapożyczać się musiał.

Z tych samych okruchów listów do Wojewody Potockiego [1]) dowiadujemy się, iż czas zamierzony miał Krasicki dla pobytu w Rzymie, i że od starszych potrzebował dyspensy na to, aby módz cokolwiek rychléj powrócić, czując się osłabionym, szczególniéj upałami jesiennemi tego roku (wrzesień 1760).

Sprawa Potockiego w Rzymie, powierzona Krasickiemu, którą on zajmował się „więcéj niż własnemi" — tyczyła się zakładanéj przez Wojewodę Missyi w Mohylewie nad Dniestrem. Staraniem Krasickiego kongregacya propagandy we wrześniu (1760 r.) mianowała Rektorem Missyi Ks. Jakuba Cassini. Na ręce umocowanego wydano następnie patent dla Rektora, nadający mu rozległe prawa i list polecający do Ks. Biskupa Łuckiego Wołłowicza.

O całym przebiegu powierzonéj mu sprawy téj,

---

[1]) Loco citato — Kłosy.

donosił Krasicki w listach do Wojewody, ciesząc się, że się stało wszystko „wedle woli opiekuna.“ O wysłanym dekrecie Potocki urzędowym listem Kardynała Spinelli był uwiadomiony.

Oprócz tego przeznaczone przez Benadykta XIV dla Potockiego relikwie, z woli Papieża, oddane być miały Krasickiemu przez Kardynała Valenti. Zmuszony przeciągnąć pobyt swój w Rzymie, szukał on kogoś pewnego dla „zaprowadzenia tego świętego ciała,“ a nie znalazłszy, komuby zaufać mógł i „powierzyć depozyt święty“ zatrzymał relikwie przy sobie, sam je chcąc złożyć za powrotem Wojewodzie. W listach żalił się na nieznośne upały i umęczenie; spieszno mu było do Dubiecka, zkąd „jako doznany sługa“ zaraz do Krystynopola obiecywał zjechać, „bo dobrodziejstwa, jakiemi go Wojewoda obsypywał (?) nie padły na niewdzięczną rolę,“ (list d. 10 września) i „jeżeli dozwolą sukcessa, złoży skutecznie u nóg dobroczynnych Wojewody nie jeden snopek dozgonnéj wdzięczności.“

Było to w stylu epoki i takim, do jakiego Potocki był nawykły, nie należy jednak dobrodziejstw tych brać dosłownie, więcéj ich oczekiwał Krasicki, niż otrzymał.

Wojewoda nie szczędził rad i przestróg o „większe baczenie“ w wydatkach, ale pieniędzy na nie brat i rodzina dostarczać musiała.

W październiku pisze jeszcze Krasicki do Wo-

jewody, że wyjazd (jak się spodziewał) lada chwilę nastąpi, „zatém czas pożądany, w którym, jak tylko dopadnę waszych nóg, bez słów i wymowy się usprawiedliwię, pochlebiając sobie kontynuacyę drogiéj *protekcyi*, którą cieszę moją biedę teraz, cieszyłem dawniéj i jako jedyną pociechę widzę dla siebie *w przyszłości*“ [1]).

Z tego widać jakie były z Wojewodą stosunki.

W tym roku właśnię brat Antoni ożenił się z panną Różą Charczewską, Kasztelanką Słońską, czego mu Opat winszował. Pisze żartobliwie do niego:

„Niech mi Jejmość będzie zdrowa a skrzętna i gospodarna, to ją moją gospodynią za czasem mogę zrobić i tak idąc po stopniach może i Wąchockiego piwa zakosztuje. Kucharza dobrego przyjąć, żeby Jéjmość smacznie jadła, wygody jéj wszystkie były. Kawę dobrą kazać gotować, bo to damy lubią. O kawiarce téż pomyśleć, żeby była nie koczkodan. Kareta niech lekko nosi dla wygody przyszłych synowców i synowic. Zabawki dla Jejmości wymyślać, żeby nie tęskniła. W czasie prezentować Imci, żeby się z swojemi popoznawała i z niemi cieszyła. Ja tu pokupuję dla Imci fraszek białogłowskich, kwiatów, bukietów. Niech napisze czego chcè i wiele. Jeśli macie skrzypka

---

1) Kłosy, loco citato.

w domu, tém lepiéj kiedy państwo nie stare, na końcu téż o mnie pamiętać i mnie kochać.“

Daléj w poufnym tym liście do brata, w pół żartem, pół seryo kreśli podział pracy w familii, która cała myśleć powinna i starać się o utrzymanie *domu* świetności, jakeśmy to wyżéj określili.

„Najpewniejszego chwytać się trzeba, pisze, tak jednak, żeby téż nie zakopywać się zupełnie. Nadto byłoby dla nas, gdybyśmy obydwa exponować się na dworszczyznę mieli. A tak dobry będzie podział, gdy W. Pan za ekonomikę pieniędzy przysposobisz, ja — szarletaństwem dworskiém, o promocyi myśleć będę, i choć się jedna z dwóch dróg uda, może *dom* uszczęśliwić. Jedną zaś idąc może nic nie zyskawszy wielebyśmy stracili.“

Myśl ta o *domu* i *rodzinie* nigdy potém Biskupa nie opuszczała, starał się nawet dla najdalszych krewnych i powinowatych być pożytecznym. Tymczasem brat Antoni potrzebne na miejscu utrzymywał stosunki, o których wzmiankę w listach znajdujemy, z Wojewodą Kijowskim, z Antonim Starzeńskim Podstolim Sanockim, który z siostrą Krasickiego Brygitą był żonaty, z Wacławem Duninem Wąsowiczem, Starostą Kiślackim (żonatym ze Starzechowską), z ks. Michałem Witosławskim proboszczem Dubieckim, (który zmarł 1769 r. jako Sufragan Przemyślski Biskup Belineński) itp.

Przykrzył się już pobyt w Rzymie, i w Lipcu (6) nalegał na brata o przysłanie pieniędzy, by

mógł wyjechać. „Nie tak, żeby mi się tu znudzić miało, jako pragnąc *patrios salutare paenates*“.

W październiku wyrywał się już koniecznie do Polski, domagając sukursu na podróż i na gościńce. Nie wiadomo kto, może pan Starosta Kiślacki zażądał dziwacznéj rzeczy, aby z Włoch psy przywiózł, na co odpowiada: „Piesków ztąd wywozić trudno, gdyż mało pięknych a drogie bardzo i w podróży nieskończona z nich niewygoda. Za czém tego rodzaju gościńców, lub nic lub mało wywiozę, bez tego sam *niebardzo* jestem myśliwy.“

Trochę nim jednak był przyszły Biskup i, choć sam za strzelbę nie bierał, czasu polowania chętnie się mu w lesie przysłuchiwał i przypatrywał.

W tym tonie ciągną się i daléj listy Rzymskie, wesołe zawsze, choć w nich tęsknota za domem zawsze się czuć daje mocno. O zajęciach swoich w Rzymie, o kraju, ludziach, stosunkach w nich cicho. Człowiek ten wesół, serdeczny, otwarty na pozór, z wydaniem najskrytszych swych myśli jest wielce oględnym. O pracach, o zajęciach, o tém, jak czas spędzał, nie mówi wcale.

Widać tylko, że na dni kilka (11 Lipca) wyjeżdżał gdzieś z Rzymu, nie pisze dokąd.

W témże piśmie cieszy się z wesela brata i dziękuje mu za opisanie jego: „Proszę kontynuować te miłe do mnie odezwy, ile mi tu są z nieskończoną satysfakcyą, jako oddalonemu.

Wyrazić W. Panu trudno, co to jest oddalenie

od kraju swojego, i mimo wszelkie tych krajów pieszczoty, których u nas nie masz, *milszy polski niedostatek, niż włoska obfitość.*"

Do bratowéj przypisek. „Niech szczęśliwie płodzi, a ja będę chrzcił, i tak-oboje będziemy do usług W. Pana."

W mnóstwie listów z téj epoki kończącego się panowania Augusta III, które mieliśmy w ręku, Krasickiego są jedyne może pisane czysto po polsku, bez francuskich dodatków i z pewném o styl staraniem. Wyróżnia to je i jest uderzającém tembardziéj, że Biskup, jak wiemy, pięknie i łatwo mówił po francusku.

Kończy się list zaleceniem, aby go przypomniano w Krystynopolu, gdyż wówczas jeszcze wiele rachowano na stosunki z Potockimi.

Powrót do kraju i dla tęsknoty, która go trapiła i z powodu odebranego listu i wezwania „od mojego księcia" Józefa Załuskiego, Biskupa Kijowskiego, Opata Wąchockiego (przy którym był koadjutorem) — stawał się koniecznością.

Biskup żądał powrotu śpiesznego, „Biskup każe mi jak najprędzéj rozłączać się z tym najprzewielebnieszym Rzymem. Nie wiem, jeśli który rozkaz w świecie lepiéj przyjęty był i punktualniéj wypełniony będzie."

Biskup Załuski polecał wyjechać w Październiku, Krasicki radby był wyruszyć we Wrześniu, a około Bożego Narodzenia być już w domu. Ale

szło o pieniądze, o pieniądze, których przesyłka z kraju, przy ówczesnych stosunkach niełatwą była. „Ale że i w filozofii, pisze, po kwestyi: *Cur, quomodo quando,* przykładają, *quibus auxilijs*, piszę do W. Pana Dobr., prosząc o sposób ruszenia się z miejsca.“ Długu nie chciał robić, a subsidja nie przychodziły. Nowy list wyprawił przez ks. Orłowskiego pijara, tymczasem dla familii odpusty wyrabiał w Rzymie (Dla stryjenki Teressy z Drohojowskich, żony Jaska na Koszarach i Boratynie Krasickiéj). Z domowych wiadomości cieszył się znów powtórném zamężciem siostry Brygidy, która wyszła za Antoniego Morskiego, Kasztelana Lwowskiego.

Napróżno wołając o wyzwolenie, w sierpniu jeszcze (16), gdyż koniecznie chciał zdążyć na Trzy Króle na kapitułę do Przemyśla, siedział przykuty ruszyć nie mogąc.

„Rok w Rzymie żyć samą industryą, na mnie dosyć“, dodaje nagląc, aby pieniądze przez Teppera wysłano. Był już zmuszony z powodu Wąchockiéj expedycyi dwieście czerwonych złotych zaciągnąć. Męczyło go to widocznie.

Mimo ciągłego wybierania się rok ten 1760 miał skończyć w Rzymie i dopiéro w styczniu lub lutym na pewno się powrócić spodziéwał (List 25 paźdz. 1760).

W tym czasie odbył wycieczkę do Neapolu o któ-

réj tyle tylko wzmiankuje, że mu się tam „dosyć dobrze zabawić przyszło.“

W Listopadzie widział (2 listop. 1760), iż rezydencya mimowoli miała się przeciągnąć do marca. Naglił ciągle brata Antoniego o pieniądze, które z funduszów Pnikuckich (do dóbr kapituły Przemyślskiéj należących) miał zwrócić.

Ale doczekał w Rzymie i roku 1761 : marca (28) „siódmy list porzucając na los poczty“ a nagląc jeszcze o wyzwolenie.

W tym téż roku powrócił do kraju, a w 1762 już go znajdujemy w Warszawie.

Nietylko listy poufne pisane z Rzymu, ale pisma Krasickiego przerzucając i szukając w nich śladów wrażeń, jakie na nim stolica świata uczyniła, znajdujemy ich bardzo mało. Ze wszystkiego widać, że pobyt nie był dlań przyjemnym i wspomnień po sobie miłych nie zostawił.

W jednym tylko późniejszym znacznie liście do G. K. — nieco obszerniéj mówi o Rzymie:

„Przez czas bytności mojéj w Rzymie najulubieńszą przechadzką moją było to miejsce, które teraz zowią polem krów, a było Forum Romanum. Wznosiło to, rozrzewniało umysł mój, gdym deptał ziemię śladami Katonów upoważnioną. Zdawało mi się widzieć ową mownicę na Rostrach, z których dawały się słyszeć Gracchy, Hortenzjusze, Cycerony. Posiadających plac owéj świątnicy Jowisza Kapitolińskiego Bernardynów, rozżarzona imaginacya sta-

wiła mi Augurami. Skała Tarpejska, gdzie teraz ogród kapuściany, przypominała mi sławną karę winowajców i gęsi nawet zdawały się być płodem owych, które krzykiem swoim Gallów odegnały. Zgoła, każde spojrzenie, gdy baczne, każda myśl, gdy czuła, w stolicy świata wznosi umysł i wzrusza."

To były wrażenia starego Rzymu, o nowym, o współczesnym zupełne milczenie.

W r. 1762 odbywał się Sejm ten w Warszawie, w czasie którego nieprzyjaciele ministra Brühla, na synu jego generale artyleryi pomścić się chcieli za wakanse, które Czartoryskich ominęły. Wystąpił przeciwko młodemu Brühlowi, między innemi Stolnik litewski Poniatowski i w izbie poselskiéj o mało do krwi rozlewu nie przyszło.

Krasicki w czasie tych burzliwych zajść znajdował się w Warszawie, prawdopodobnie jestto chwila poznania się i zbliżenia do Stolnika litewskiego; lecz z listów do matki wyrozumieć nie można, z kim trzymał i w jakich się kołach obracał.

W roku tym, 7 października pisze do matki. „Sejm niezmiernie liczny, dla partykularnych domów zawziętości rozszedł się, i dziś były Marszałek staréj laski posłów pożegnał. Co najgorsza, do niesłychanego przyszło przypadku, iż w izbie poselskiéj do szabel się porwano"; — tegoż samego dnia, pisze do brata: „Bądź zdrów, wyrywa mi się pióro,

gala urodzin królewskich i opera. Sejm zerwany i nieszczęśliwe intrygi.“

W innym liście do matki, pisanym już w Listopadzie (23) powtarza, że „intrygi te warszawskie“ zatrzymywały go w stolicy. O Stolniku litewskim, do którego niewątpliwie zbliżyć się musiał, nie wspomina. Mylą się ci, co utrzymują, że z Poniatowskim spotkał się Krasicki czasu pobytu zagranicą, jestto niepodobieństwem. Zeszli się po raz zapewne pierwszy w Warszawie, czasu Sejmu 1762 r.

W następnym roku, Krasicki czynnym był bardzo. Z przypisku do jednego listu jego do brata, widzimy jeszcze ścisłe stosunki z Wojewodą Kijowskim, zatém i z Brühlem i ze dworem, a ze stronnictwem Poniatowskim i Czartoryskim przeciwnym.

Wojewoda Potocki bawił naówczas w Warszawie i on to miał wezwać do siebie Krasickiego, którego z początku wstrzymywały sprawy kapituły lwowskiéj. — Przed wyjazdem do stolicy, z polecenia Wojewody, jeździł jeszcze do Pani Krakowskiéj (wdowy po Józefie Potockim, z domu Mniszchownéj) przemieszkującéj w Krasiczynie, (Styczeń, 1763 r.) zkąd pisał do Potockiego „czyniąc należny krok w złożeniu u nóg Wojewody submissyi“ i donosząc o czerstwem zdrowiu pani Krakowskiéj, do któréj „przybył w porę, spodziewając się oddawanemi jéj usługami, zastąpić miejsce tych, których przez niebytność w Warszawie, nie miał sposobności

czynić“ (Wojewodzie). — W sprawie (pani Krakowskiéj) zleconéj mu, przyrzekał dokładać „najusilniejszych starań . . dla pozyskania łask pana Wojewody.“ Co to była za sprawa, z ułamków znanych listu, niepodobna odgadnąć [1]).

Na Św. Franciszek, Krasicki był na nabożeństwie w Kazimierzu, a u księcia Miecznika w Jarowcu na imieninach, zapewne Franciszka brata jego, Chorążego W. Koronnego.

Na ten czas przypada i pobyt w Kielcach u Biskupa Sołtyka, którego pański tryb życia, dwór, ogrody, teatr, zabawy, odbijają się w późniejszém życiu na zamku Heilsbergskim. Bawił tu młody kanonik czas jakiś i znowu piękną swą wymową miał zręczność pozyskać sobie aplauz, przemawiając w czasie urodzin marszałka Mniszcha [2]).

W tym roku był i w Goraju, zkąd jeden list do brata jest datowany.

W rok potém, 1763 r. 13 Paźdz. list wysyła z Błonia.

„Za wszystkie nowiny ta stanie, która jest najnieszczęśliwsza dla naszéj ojczyzny — król umarł. Piątego dnia Oktobra w Dreznie o drugiéj z południa. Apopleksyą tknięty godziny nie doczekał, mimo wszelkie, które tylko lekarze wymyślać mogli sposoby. Trybunał na tém się rozszedł, że nic tam po

[1]) Kłosy, loco citato.
[2]) Bartoszewicz.

ramieniu, gdzie głowy nie masz. Nowina zaś w wigilją reassumpcyi przyszła. Nie masz się jeszcze czego bać w tych czasach, ile że zwyczajnie aż w czasie Sejmików, konwokacyi rozruchy się wszczynać zwykły. Dziś na noc staniemy w Warszawie, gdzie jest książę Prymas i rady zgromadzających się Senatorów zaczną."

Z ułamków listów do Wojewody Potockiego, niedawno ogłoszonych [1]) ma się okazywać, jakoby Krasicki przy Prymasie pełnił obowiązki Sekretarza, czasu elekcyi. Wiadomo jak wpływowe zajmował naówczas przy nim stanowisko Młodziejowski, zapewne zbliżenie się do niego i Krasickiego ze stronnictwa saskiego przeciągnęło ku Stolnikowi litewskiemu.

Sekretarz, czy tylko domownik Prymasa, przesyłał ztąd mnogie listy i sprawozdania do Krystynopola, donosząc o wszystkiém i dostarczając kopij ciekawych dokumentów.

W grudniu (d. 15) — w stolicy, wedle jego doniesień, panować miała cisza, nowin brakło; ale się gotowano, przeczuwano wypadki największéj wagi.. Kandydaci do tronu przybywali (czerpiemy z treści listu), do których liczono księcia Karola Lotaryńskiego, księcia Hessen-Kasselskiego, żarliwego katolika. Z Saksonij oczekiwano w nadzwyczajném poselstwie od Elektora, hrabiego d'Armand. Don Filip

---

[1]) Kłosy, loco citato.

hiszpański zgłaszał się także z propozycjami „a jako wdowiec, przyrzekając pojąć za dozgonną towarzyszkę, jednę z pozostałych królewien „miał walor.“ Spodziewano się także z Francyi p. Moneta, z nowym a dotąd niepraktykowanym tytułem, konsula francuzkiego. Przyjazd ten, wedle listu Krasickiego, uważano za wypadek najważniejszy, dający wiele do myślenia i zawierający tajemnicę, bowiem p. Monet przedtém bywał zażywany w ministerjum Spraw zagranicznych w Paryżu jako Sekretarz Stanu.“ [1]) Donosił następnie Krasicki o przygotowanych listach do Elektora przez Prymasa, które miał zawieźć do Drezna (15 Grudnia) Teodor Potocki, Starosta Śniatyński.

Równocześnie Ignacy Potocki Jenerał artylleryi koronnéj — pojechał do Krystynopola, gdzie „po długich irrezolucjach Mniszech razem z Wesslem Podskarbim, ruszyli z Dukli krzątać się około wielkopolskich Sejmików. — Sejm konwokacyjny się zbliżał, uniwersały rozsyłano.“ Pułki ułańskie (Potockich) wróciły na kresy ruskie, przez które odtąd Wojewodzie wprost wierny jego korespondent miał ważniejsze komunikować wiadomości.“

---

[1]) Zdaje się to być ten sam Monet, któremu późniéj Ludwik XVI nadał tytuł hrabiego. Naprzód prawnik, późniéj wojskowy, wreście dyplomata, bawił przy młodym ks. Czartoryskim i z nim potém podróżował po Europie. Zajmował się literaturą, jak widać z wydanéj przez niego historyi domu Sabaudzkiego w r. 1779.. O posłannictwie jego do Polski w tym czasie mało co wiadomo. (P A).

W listach, których na nieszczęście mamy tylko treść niedokładną, maluje się stan jeszcze niepewności w kraju i umysłach, a kandydatura Stolnika mało jest widoczną. — Niektórzy aż do Lunevilu ślą zapraszać Leszczyńskiego, który „w ciekawym liście“ zrzeka się zapóźno ofiarowanéj korony. — Wśród téj krzątaniny partyi saskiej, nagle przypadająca śmierć Elektora, zadaje jéj cios śmiertelny.

Prymas wstrzymał wysłanie Starosty Śniatyńskiego, wyprawiwszy za nim gońca do Kwidzyna. Sama wdowa Elektora, dla małoletniego Fryderyka Wilhelma, nie przewidując powodzenia przy Elekcyi, miała wpaść na myśl kandydatury Hetmana Branickiego, którego panowanie przygotować mogło wybór jéj syna (?).

„Nim młody książe przyjdzie do lat, pisze Krasicki, stary Hetman umrze, i przez ten czas przysposobią się wota na korzyść królewiczowskiego syna.“

Jeszcze w grudniu donosi Krasicki Potockiemu o sprawie w Nuncyaturze, między księciem Czartoryskim (Łowczym) a Sołtykiem Biskupem Krakowskim, któréj przebiegu z ułamku listu zrozumieć trudno. Widać tylko, że obie strony zajadle przeciw sobie występowały, bo księciu Łowczemu groziła exkomunika, a ten nawzajem w Rzymie dochodzić chciał na Biskupie *violationem depositi*, dwóch kroć

sto tysięcy złotych złożonych u Franciszkanów Krakowskich, p. Szembekowej z Działyńskich.

Nuncjusz trzymał się dotąd na uboczu, od powrotu z Drezna nie pokazując się nigdzie dla niedójścia ekwipaży, chociaż te zaraz po śmierci króla z Saxonij wyprawiono.

O ile z treści listów widać, wpływ Krasickiego, który był wysłańcem i pełnomocnikiem Wojewody, miał być dosyć znaczny na Prymasa. — Stosunków ze Stolnikiem litewskim niema jeszcze ani śladu. Utrzymuje się kandydatura małoletniego syna Elektora, którego opiekunem miał być Prymas z Radą przyboczną. Jest to myśl pana Wojewody, którą on polecał do przeprowadzenia Krasickiemu, a wymowa i przekonywające argumenta młodego Prałata, wbrew wszechmocnemu wpływowi Młodziejowskiego miały skłonić Prymasa do jéj przyjęcia (chwilowego).

W następnych listach mowa jest o wystąpieniu Kajserlinga, posła rossyjskiego i deklaracyi jego, popartéj przez p. P Benoit, posła pruskiego. — Widać skutek tego wystąpienia urzędowego sąsiednich mocarstw, i wielkie wrażenie jakie ono wywarło na wszystkich.

Wzmiankuje Krasicki i „o skrypcie ks. Konarskiego z okazyi punktów deklaracyi rossyjskiéj“, który, zdaniem jego, miał być „dziwnie zajmujący“. Chwalono go powszechnie i rozchwytywano.

Nie zbywa na rozmaitych nowinach warszaw-

skich, o pogłosce jakoby król pruski ciężko zachorował, o powrocie Birona na księztwo Kurlandskie, o zapowiedzianém „przybyciu do Warszawy królewiczowéj Franciszki z Krasińskich.“

„U Sakramentek, gdzie dawniéj mieszkała królewiczowa Konstanta (Sobieska z Wesslów) przygotowywano bogate apartamenta. Dom Krasińskich sposobił się na uroczyste przyjęcie z wystawą i zabawą. Zamierzano wydać jenealogię domu, wywodzącą początki jego od królów węgierskich, *pour se montrer dignes d' une aliance royale.*“

Z następnego listu, daje się już wyrozumieć zwrót w polityce Potockich, którzy do pewnych układów przystępują. Ablegacja pruska wręcza d. 25 stycznia Krasickiemu listy do Wojewody, wróżące o sukcessie układów.

Potocki zbliża się do Czartoryskich, przyrzekających „najłagodniejsze środki“ porozumienia. W tych środkach łagodnych i „ofiarowanéj satysfakcyi“ Krasicki widział już ze strony książąt, wysiłek ogromny.

Jedna jeszcze anegdota zasługuje na przytoczenie z tych listów Krasickiego. Gdy się rozpoczęły za pośrednictwem Prymasa układy w celu zbliżenia przeciwnych stronnictw — ks. kanclerz odpisując Prymasowi dołączył i list do Pawła Mostowskiego Wojewody Pomorskiego „dość mocny i animujący do zgody“.

Mostowski przyjął go „z niedowierzaniem, obojętnie, z ironią i przy indyferentnym responsie

posłał w darze kanclerzowi kilka pruskich półgąsków i — niedopieczoną łapę niedźwiedzią.“

Kanclerz poznał się na szyderstwie, „skoczył jak oparzony,“ tknięty do żywego i „groźnie się odezwał z zamknięciem wszelkich stosunków“ [1]).

W grudniu przesyła Krasicki z Warszawy list zupełnie niezrozumiały, który zapewne przez okienka tylko mógł być czytany, a przeznaczony był prawdopodobnie dla Wojewody Kijowskiego? Dajemy go tu jak jest, nie siląc się na odgadnięcie co zawierał. Obawiano się widać pisać inaczéj, aby treść profanów nie doszła.

Brzmi on:

(Dnia 7 grudnia 1763 r.)

„Najjaśniejszy miłościwy królu! Panie! a panie miłościwy?

W. Pan masz mi wdzięczność, ja zaś Wmci i to dwie wdzięczności.

Że konfedaracya pańska beczkom sługi zaszkodzi; bardzo go to obchodzi.

Dziatki Boga prosić będą, ale im trzeba króla trzeźwego.

Najjaśniejsza pani kiedy się rozpruszy? Delphinem czy Infantką?

---

[1]) Ułamki bardzo krótkie i treść listów Krasickiego do Wdy. Fr. Sal. Potockiego, w téj formie, jaką im nadał właściciel oryginałów, mało się dają zużytkować. Artykuł Kłosów stwierdza tylko w ogóle bliskie stosunki Prałata z Krystynopolskim królikiem.

Że chorowali, to źle, że zdrowi, to dobrze. Milsze dobro, gdy po złem.

Król pracowity ma być? a rozkosznie, słudze czasby wytchnąć, a w pracy. (Tu odcięto dwa wiersze).

Umarł Referendarz, bo człowiek. Dał administracyą Podskarbi, bo mógł — Kasztelanowi Przemyślskiemu, bo chciał.

Panu do sługi pisać, nie dąsa... a poczta jest do Warszawy.

Monarchowie im bardziéj łaskawi, tym dwu letniéj znają się na sobie.

Poddani ośmielając się otwierać monarchom oczy, bardziéj są obywatelami ojczyzny niż poddanemi królów.

Odrzuciwszy na bok charakter, starszeństwo i to, co myślę, ściele mnie pod stopy pańskie, to jest adoruję fortunę.“

Tajemnicza ta korespondencya, w której między okienkami przegląda we wstawkach dowcip, wątpię, by komu całkowicie zrozumiałą być mogła.

Zbliża się rok 1764, listów nie wiele, a w tych co są nie wypowiada się ostrożny kanonik z niczém. Pisze o rzeczach obojętnych, nie rad dotyka polityki i stosunków. Pomiędzy listami z Rzymu, a temi, które teraz posyła, różnica stylu, obrotów, języka wielka i uderzająca. Znać tu już i czuć przyszłego pisarza, który szuka i dobiera

wyrazów, układa je, myśl swą jak najładniéj stara się ubrać do ludzi.

Tak naprzykład, dowiedziawszy się o urodzeniu synowca Jana[1]), bratu winszuje i życzenia przesyła:

„Przyrodzenie zdarzyło cię człowiekiem, hazard Krasickim, szczęście Polakiem, łaska Boska katolikiem. Piastuj zatém, ale ostrożnie te przymioty, ażebyś w współkowaniu pamiętał, żeś człowiek, w przystojności podściwego życia pokazał się Krasickim, w miłości ojczyzny Polakiem, w całém życiu skutkiem nie powierzchownością, katolikiem prawowiernym. Jeżeli pójdzie temi drogami, współbliźnich wesprze, *dom* swój przyozdobi, ojczyznę zachowa i siebie uszczęśliwi. A możesz być co pożądańszego? Mówmy wszyscy: Daj to Boże, Amen. Bodajeśmy to w dobrą godzinę wymówili, a to dziecię rosło nam na pociechę."

Życzenie było w dobrą wyrzeczone godzinę i ziściło się szczęśliwie. (Na rok ten przypada nominacya kustoszem lwowskim). Stosunki młodego kanonika z przyszłym królem, naówczas Stolnikiem Poniatowskim, gdzie i jak się po raz pierwszy zawiązały, pozostało tajemnicą. Jakeśmy napomknęli wyżéj, Krasicki przez dawne familijne stosunki i związki *domu* bliżéj stał królika Rusi,

---

[1]) Jan Major W. Polsk. zmarły w styczniu 1831 r. mając lat 67, ozdobiony krzyżem Virtuti.

Brühlów, dworu, niż Czartoryskich i Poniatowskiego.

Zbliżyć musiało nadewszystko dwóch młodych podobieństwo charakterów, osobista sympatya, mniéj więcéj jedne na świat poglądy i idee. Powróciwszy z Rzymu i Paryża, młody Krasicki niósł z sobą też same pragnienia reform, ogłady, które Poniatowski w sercu nosił. Potrzebował przyszły król ludzi, pomocników, przyjaciół, coby z nim szli razem, podpierali go i posiłkowali. Zdolności Krasickiego czyniły go dlań narzędziem nieoszacowaném. Świetny dowcip ze wszystkich przymiotów pewnie największe na Stolniku uczynił wrażenie. Było to za panowania Voltaire'a, a ktoś, co się polskim Voltaire'm być obiecywał, musiał być pochwyconym i ujętym. W epoce téj, jaką u nas był wiek XVIII, w chwili, któréj zadaniem było, wedle wyrażenia Poniatowskiego, aby kraj z barbarzyństwa wyprowadzić, oczyścić go ze rdzy i pleśni, poobcinać poły kontuszom, fryzowanemi perukami zastąpić wygolone głowy, szable zamienić na szpady, a buty na trzewiki i rubaszność dosadną na elegancką dworszczyznę — bronią jedyną, jaka się do téj wojny użyć dawała, do walki z tém, co przesądami zwano — mógł być tylko dowcip.

Rola to dla niego była właściwa, świeżo tego dowiódł ów wielki mistrz, który dokonał dowci-

pem i śmiechem, czego najmędrzejsi nie potrafili filozofowie.

Polskiego Voltaira czuł Poniatowski w Krasickim, o ile fiolety być nim dozwalały.

Miał nadzieję przyszły król, że przywiązując go do siebie węzłami wdzięczności i przyjaźni, pociągnie z sobą na krucyatę przeciw ciemnocie, zabobonowi, zacofaniu i starym obyczajom, któremi się brzydził.

Zadanie, jakie sobie Stolnik zakreślał, niejasno musiało się w jego umyśle przedstawiać.

Co do kontuszów, peruki, butów i szpady nie było wątpliwości, ale gdzie się kończył głupi przesąd, a rozpoczynała tradycya szanowna, gdzie barbarzyństwo graniczyło ze czcigodnym obyczajem narodowym — z tego sobie nie zdawano sprawy.

Poniatowski, który późniéj w bibliotece swéj wystawił posąg Voltairowi z nader dziecinnym podpisem, nie myślał iść za wielbionym mistrzem zbyt daleko, kraj katolicki nie pozwalał na to, ale gdzie się trzeba było zatrzymać?

Zdawało się reformatorom przyszłym, że dużo poobcinawszy, coś dodawszy, trochę zostawiwszy, ze starego i nowego stworzy się coś, co będzie mogło żyć i żywić. Nie zastanawiano się nad nieubłaganą logiką reformy każdéj, która granic znać nie chce, obala co napadnie, aby plac oczyścić na nową budowę. Nie spodziewał się téż Ponia-

towski w pierwszych leciech znaleść tak żywego oporu w ludziach i wypadkach.

Stosunki przyjazne, które już w r. 1763 łączyły przyszłego króla z Krasickim, musiały być powszechnie znane, gdy Matusewicz w pamiętnikach (zwąc Krasickiego, nie wiem dlaczego, proboszczem krakowskim) pisze, iż mając na sercu, aby w pacta conventa królowi przyszłemu włożono warunek, nie brania żony tylko katoliczki, uznał, pomodliwszy się wprzód na tę intencyą, za słuszne, udać się z tém do niego.

...„Oddawszy się Panu Bogu, poszedłem do Ks. Krasickiego, *faworyta przyszłego króla*, a na mnie łaskawego, i mówiłem mu, że i przez skrupuł i przez wierność moją dla przyszłego króla, przyszedłem przestrzedz, że to bardzo oddali afekt Polaków od króla, jeżeli nie będzie *in pactis conventis* dołożono, aby przyszła królowa była, czy z urodzenia, czy z wokacyi, rzymska katoliczka — przyznałem się téż ks. Krasickiemu, że tę remonstracyą z wielką bojaźnią czynię. Pochwalił mi ks. Krasicki tę remonstracyą, ubezpieczył mnie, abym się nie bał i upewnił, że to w pactach conventach poprawiono będzie.“

Był więc już naówczas ks. Krasicki jawnym i znanym wybrańcem króla, i gdy nadeszła chwila koronacyi r. 1764 dnia 25 listopada, jemu król zlecił przemówienie do siebie.

Przy téj uroczystości występował téż Krasicki

z deputacyą od kościoła ŝgo Krzyża, zapraszającą króla, wspólnie z innymi Biskupami i duchownymi, a przy ubieraniu króla podawał koronacyjne trzewiki.

Kazanie koronacyjne z tekstu: „Wziął Samuel naczynie oleju i namaścił Dawida w pośrodku braci jego,“ drukowane w Dyaryuszu, wyszło powtórnie z innemi późniejszemi w dodatkowych tomach Dmochowśkiego. Przemówienie to „o poszanowaniu władzy królēwskiéj“ nie nosi na sobie piętna wyższéj kaznodziejskiéj zdolności, nawet w porównaniu do innych kazań Krasickiego homiletycznych słabém się wydaje.

Korespondencya Krasickiego z rodziną rzadszą się staje w tych latach; przypisać to należy zajęciom jego publicznym. Na sejmie koronacyjnym postanowiony był rozdział trybunału koronnego na dwa, Wielkopolski i Małopolski. Deputatem ze Lwowa od kapituły miał być Krasicki, bo go król chciał mieć prezesem. Na to potrzeba było najprzód w kapitule zasiąść, a że wakansu nie było, Jezierski, Biskup Bakoński, złożył swą prelaturę, aby Krasickiemu miejsca ustąpić, który prałatem kustoszem i deputatem od kapituły został wybrany.

Za staraniem króla prezesem go wybrano i Krasicki wystąpił po raz pierwszy na świetnym try-

bunale w Lublinie, wysokie to zajmując stanowisko. Tu niewątpliwie przypatrzeć się musiał zblizka pieniactwu, trybunalskim intrygom i obyczajom, które z taką trafnością w Doświadczyńskim odmalował. Wrażenie tego pobytu w Lublinie i Lwowie odbija się późniéj i w Podstolim i w Pieniaczu. Czasu trybunału spotkał się kanonik z przyjacielem młodości i pokrewnym sobie Ignacym Cetnerem, człowiekiem dziwnéj dobroci serca, z którym do zgonu stosunki ścisłe zachował, Cetner bowiem był deputatem.

Do kwietnia 1765 Trybunał się sądził w Lublinie, a od przewodów do wilii śgo Tomasza we Lwowie, gdzie Krasicki był na własnym gruncie, wśród swoich.

W tymże roku zjeżdżał Krasicki do Berdyczowa na koronacyą cudownego obrazu Matki Boskiéj, gdzie miał kazanie, drukowane w wydanym opisie téj uroczystości przez ks. Grzegorza od śgo Ducha.

Literackie téż prace nie musiały być zaniedbane, gdyż w roku 1766 ukazuje się Monitor, który ma zawierać pierwsze Krasickiego drukowane prace.

Oprócz Krasickiego, współpracownikami jego byli: Albertrandi, Bohomolec i Minasowicz.

Jeśli się nie mylimy, znajdą się z Monitora urywki w wydaniu Dmochowskiego w zbiorze „Uwag.“ W nich jeszcze występując jako moralista, Krasicki, broni sobie najwłaściwszéj, dowcipu użyć nie śmie, nie jest jeszcze sobą.

W maju (15) pisze do matki, donosząc, że: „okoliczności festynu królewskiego (śgo Stanisława) były przyczyną wielkiego zjazdu, tak dalece, że w sam dzień, czterdziestu kilku senatorów przytomnych rachowaliśmy, którzy order śgo Stanisława odebrali.“

Posłał przytém na pamiątkę pierwszy odbity talar królewski.

Był to ostatni list do matki, która pierwszych dni czerwca (7) życie skończyła. Dowiedziawszy się o tém, pisze kanonik do brata: „Po takiém życiu, jakie wiodła, bardziéj się podobno do niéj, niż za nią modlić należy.“

Interesa własne, brata, rodziny zaprzątały go wielce, po śmierci matki więcéj niż przedtém; lecz zjechać na miejsce dla urządzenia ich nie mógł, tak przy królu był zajęty.

Brat Antoni wybierał się posłować na sejm przyszły z Sanockiego (co się późniéj zmieniło, bo był wybranym z Przemyślskiego).

Dnia 3 września słał mu kanonik już jako posłowi, rady i powinszowania. Radził się go téż p. Antoni o Jezuitę Francuza, którego chciał wziąć do dzieci, na co odpowiada: „Byleby tylko skrupułami żonie WPana i może jemu głowy nie zawrócił, nie źleby było trzymać w domu dla edukacyi dzieci i ćwiczenia się w języku francuskim.“

Brata najmłodszego Karola, który późniéj był Archiprezbyterem Heilsbergskim i kanonikiem

Warmińskim, wysłano naówczas do Rzymu. Wyposażono poczciwie stare sługi matki.

W tymże czasie (1766), król, pragnąc Krasickiego niezależnym uczynić i przywiązać go do siebie, korzystał z przybycia do Warszawy staruszka Biskupa Warmińskiego, Stanisława Grabowskiego, aby koadjutorią cum futura successione dla swego ulubieńca pozyskać. Warmińskie biskupstwo, stolica Dantyszków i Hozyuszów, było naówczas jedném z najlepiéj wyposażonych w Polsce, przynosiło pono do 400.000 zł. dochodu, senatorskie krzesło i tytuł książęcy, więcéj niż młody Krasicki, przy pierwszym kroku na świat, mógł się spodziewać.

Lecz królowi był nietylko ukochanym, był mu potrzebnym, rachowano nań wiele w przyszłości. Piórem, słowem, wpływem, jako pisarz, dyplomata, jako człowiek niewypowiedzianie zręczny i miły, był dla króla nieocenionym sprzymierzeńcem. Był on już ulubieńcem tego grona familii i poufałych przyjaciół i przyjaciółek, które młodego króla otaczało.

Obyczajem francuskim owych czasów, dano mu nawet pieszczone nazwisko *Minet'a*, pod którém znali go wtajemniczeni.

Zapewne z téj epoki być musi owa złośliwa karykatura, która po Warszawie obiegała, wystawująca Krasickiego celebrującego mszę przy

ołtarzu i służące mu do niéj piękne panie w robronach.

Tego ulubieńca króla i płci pięknéj za koadjutora narzucić staremu, surowemu, dawnego autoramentu pasterzowi, nie było łatwo nawet samemu królowi; tém bardziéj, że zręczny, zabiegły, chytry, umiejący się ułożyć i przypochlebić Młodziejowski, także się o to starał.

Krasicki prezydował jeszcze Trybunałowi, gdy król pierwsze uczynił starania, na które Grabowski niełatwo, ani chętnie odpowiedział przyrzeczeniem.

Odmalowano mu widać następcę zbyt płochym i światowym. Biskup miał skrupuły. Ale król nalegał i w końcu uledz mu było potrzeba.

Młodziejowski téż zapewne, nie chcąc się królowi narażać, cofnąć się musiał.

Oprócz tego potrzeba było na jeneralném zgromadzeniu stanów ziem pruskich, wyrobić indigenat, o który się król postarał, naostatek zjednać kapitułę, która przybyszowi obcemu przychylną być nie mogła.

Król, mając w tém swe widoki, silnie popierał Krasickiego. Po otrzymaniu indigenatu, skłoniono kanonika prałata kustosza ks. Ludwika Lodron, iż za pensyą dożywotnią 400 czerw. złotych zrzekł się kanonii dla Krasickiego. Król sam zalecał go kapitule i w tym celu, jadącemu do Frauenburga, dodał mu Szambelana Dębskiego, z listem do ka-

pituły. Srożono się w początku; lecz gdy d. 16 października poseł królewski przybył razem z kanonikiem, zmiękli jakoś członkowie kapituły.

Po zapowiedzianego legata króla, wysłano nazajutrz cztery karety poszóstne. Dębski z Krasickim przybyli naprzód do kościoła, potém w kapitule Szambelan mowę łacińską, list pański oddając, powiedział i po krótkim namyśle, kapituła jednomyślnie młodego kandydata koadjutorem wybrała. Po czém, gdy go bliżéj poznano, nastąpiły serdeczne przyjęcia i przez trzy dni spełniano vivaty za zdrowie króla i przyszłego pasterza.

Ztąd udał się koadjutor do Heilsberga, do sędziwego Biskupa, który go znowu przy dźwięku trąb, kotłów, dzwonów i huku dział uroczyście przyjmował.

Przez cały tydzień pozostał przy nim Krasicki, a to pewnie starczyło na pozyskanie sobie jego serca. Dnia 23 października byli już napowrót w drodze do Warszawy. Król, jak widać z korespondencyj współczesnych, dyplomatyczną karyerę gotował przyszłemu Bisk. Warmińskiemu. Miał on towarzyszyć Franciszkowi Rzewuskiemu posłowi do Petersburga, bez żadnego charakteru urzędowego, dla obeznania się ze stosunkami miejscowemi. Mówiono o tém jako o wstępnym szczeblu do pieczęci. Zachodziły jednak trudności ja-

kieś, które planu królewskiego urzeczywistnienie wstrzymały.

Koadjutor wracał pośpiesznie z Heilsberga, aby czasu sejmu być pomocą królowi.

W październiku 1766 r., w chwili gdy się sejm miał rozpocząć, który króla zajmował mocno, pisał do przyjaciółki swéj, sławnéj pani Geoffrin (d. 5 paźdz.): „Jutro się sejm zaczyna, piszę do was list ten z pożegnaniem. Przez tych sześć tygodni niepodobieństwem mi będzie do niéj pisywać. *Minet* od czasu do czasu pisać będzie.“

Na co (22 t. m.) odpowiada pani Geoffrin: „W. Król Mość nie zapomni rozkazać Minetowi, aby do mnie czasem pisywał.“ W Grudniu król powtarza (d. 10) i zapewnia: „Minet z mojego rozkazu pisać będzie do was w czasie sejmu.“

Na nieszczęście korespondencya ta w papierach po pani Geoffrin zaginęła.

Właśnie w tym czasie Krasicki ważną wiadomość odebrał z Warmii i (d. 10 grudnia) pisze do brata: „Odebrałem dnia onegdańszego przez umyślną sztafetę wiadomość z Warmii, że książe Biskup coraz słabszy, krótkiego życia czyni nadzieję. Muszę się zatém zawczasu przysposabiać na wszelkie przypadki, do czego pieniędzy trzeba.“

Co przewidywano, to się stało, d. 15 grudnia, zmarł w istocie Biskup Grabowski, a 24 t. m. Krasicki donosił bratu z Warszawy:

„W przyszłą niedzielę będę konsekrowany u The-

atynów (przy ulicy Długiéj) przez ks. Nuncyusza.“ Bulla Papieża Klemensa XIII na czas przybyła i d. 28 grudnia Nuncyusz Visconti w asystencyi Biskupów: Kujawskiego, Ostrowskiego i Płockiego Szeptyckiego, konsekrował Warmińskiego Biskupa, przy wielkim natłoku przyjaciół jego i arystokracyi. Baryły z winem nieśli Wojewodowie Inowrocławski i Podlaski, chleby W. Marszałek Koronny Książe Lubomirski i Kanclerz Zamoyski. Na obiad, który dawał Nuncyusz, król jadący na polowanie do Kozienic, wstąpił, aby nowo poświęconemu powinszować.

Ostatniego dnia roku odprawiono (Bisk. Załuski) żałobne nabożeństwo za duszę Bisk. Grabowskiego u śgo Jana.

Dnia 2 stycznia złożył Krasicki przysięgę senatorską na zamku i zasiadł krzesło na sejmie. Rok to był (1767) dla księcia Biskupa ciągłych podróży i wielkiego ruchu. Naprzód potrzeba było przedstawić się w Skierniewicach Prymasowi Łubieńskiemu, jako głowie kościoła Rzeczypospolitéj, w lutym zaproszony został do Radzynia przez jenerała artyleryi Eustachego Potockiego, który córkę wydawał za księcia Sanguszkę Star. Czerkaskiego. Tu przy ogromnym zjeździe familii i skoligowanych domów, zarazem obchodzono i urodziny księcia Biskupa a nazajutrz wesele, po którém zaraz wyjechał Krasicki na Lubartów z powrotem do Warszawy, po drodze odwiedzając

czcigodną matronę Barbarę z Duninów księżnę Sanguszkową.

Dnia 14 lutego już poświęcał chorągwie kompanii Pontonierów w pałacu Rzeczypospolitéj, a wkrótce potém dawał ślub pannie Kunickiéj, wychodzącéj za adjutanta królewskiego Szwejkowskiego. On też w kaplicy zamkowéj głowy posypywał popiołem, on neofitów chrzcić musiał i nowych biskupów konsekrować. Porywano go na wszystkie strony.

Po Wielkiéjnocy jednak wybierał się do Warmii, nareszcie „myślę“, pisze do brata, „wjazd mój do katedry w sam dzień śgo Stanisława odprawić.“ Była to atencya dla króla, który podobnież koronować się chciał w dzień śtéj Katarzyny. Brat Antoni wybierał się na wjazd uroczysty przybyć także do Heilsberga, na co Biskup odpowiada z Warszawy (d. 29 marca).

„Jakom zaś dawniéj prosił, tak i teraz powtarzam, abyć WPan tylko chciał zjechać sam bez wszelkiéj zgrai. Gdyby był pan Rościszewski chciał przyjechać, przyjąłbym go z radością, ale wreszcie najlepiéj sam WPan przyjeżdżaj, wziąwszy z sobą Boznańskiego tylko. Wjazd mój cokolwiek się przewlecze, albowiem na galę królewską tu się zostać muszę, po któréj jednak nie bawiąc wyjeżdżam.“

Z tegoż listu dowiadujemy się, że Krasicki stał przy królu na zamku, gdyż po pożarze przypad-

kowym, który się obszedł bez szkody, dla niego, oprócz drobnych rzeczy przy przenoszeniu, Krasicki się wyniósł.

„Że zaś skrzydło całe spaliło się, przeniosłem się do mego pałacu, dla téj przyczyny, żebym drugim pogorzelcom moim apartamentem wygodził.“ Do tegoż listu (marzec) przyłączał dla brata deklaracyą dworu rosyjskiego, świeżo podaną, jako i list Panina do Repnina, „z których skryptów, dodaje, uznać WPana potrafisz, jakich rzeczy pretendują.“

Dnia 4 kwietnia powtarza bratu: „Ztąd (Warszawy) ruszam się zapewne 9 maja, nazajutrz po święcie królewskiém. Że zaś Senatus Consilium na dzień 25 miesiąca maja jest naznaczone, więc tylko tydzień zabawiwszy w Heilsbergu, znowu do Warszawy.“

Takie widać było wymaganie króla, który go chciał zaprządz do swéj polityki. Po Radzie Senatu miał pierwszych dni czerwca wracać do swéj stolicy, ale nie dozwolono mu tam bawić tylko do sejmu. (Brata prosił, ażeby mu przywiózł z sobą ze cztery tysiące dukatów w złocie).

W istocie wyjazd w maju nastąpił, lecz zobaczmy, co o tém król donosi do swéj mamy, pani Geoffrin, już przewidując pono, że Krasicki dlań nie będzie tak posłuszném, jak chciał, narzędziem.

W pięć dni po złożeniu senatorskiéj przysięgi,

pisze król (d. 7 stycznia): „Minet jest Biskupem i pełnym Senatorem (en plein); stary jego (poprzednik) umarł w sam czas, gdy bulle na koadjutoryą z Rzymu nadeszły. Jest dziś człowiekiem bogatym, a szczęściu jego publiczność aplauduje. Wiecie, że twarz ma piękną, twarz ta radość wyraża, a ja go uczyniłem szczęśliwym. Sądźcie, czy mi na niego spoglądać miło.“

W miesiąc potém (d. 7 luty) odpisuje p. Geoffrin: „Wierzę bardzo, że Minet szczęśliwy być musi i piękniejszy niż kiedy. Bóg stwarzając ludzi wielu uczynił nieszczęśliwych, a wy, królu mój, dając mitrę Minetowi, zrobiłeś go szczęśliwszym niż sam jesteś.“

Na co król, zaraz po odjeździe Krasickiego odpowiada (d. 13 maja): „Minet wczoraj pojechał jak szczur odbywać rokollekcye w sérze swoim. Bardzo się lękam, ażeby ten Minet tak miły, tak dowcipny, tak pilny, a który mi winien tyle, nie stał się próżniakiem (fainéant) niedbającym o nic i o nikogo, tylko o swe własne przyjemności i lenistwo swoje. Przykro mi, że mam pewne poszlaki, które zdają się to zwiastować.“

Temi mniemanemi poszlakami były wstręty Krasickiego do spraw publicznych, w których on stale wytrwał do końca, czując, że na inném polu skuteczniéj czynnym być może.

Pani Geoffrin, prawie zawsze myśl każdą króla potwierdzająca pobłażliwie, odpisuje na to w czer-

wcu (d. 7): „W. Król. Mość piszesz mi o Minecie w sposób, któremu się wcale nie dziwię. Ja go w ciągu ośmiu dni widziałam już takim, jakim go W. Kr. Mość dziś poznajesz. Gdyby moje portrety więcéj znalazły szczęścia u W. Kr. Mości byłabym odmalowała jego wizerunek taki, jakim go dziś W. Kr. Mość widzisz. Powiedziałam kiedyś o kobiecie bardzo miłéj, wielce dowcipnéj, mającéj w towarzystwie wiele wdzięku, ale niedbającéj wcale o nic i o nikogo, że była dochodem dożywotnim (rente viagère), który życie czyni wygodniejszém, ale kapitał od niego stracony. Powiedziałam to jéj w oczy, rozśmiała się z tego, znajdując porównanie bardzo ładném. Obojętność jéj aż tak daleko sięga, chociaż Minet'a mam téż za dochód dożywotni, nie sądzę jednak, aby kiedykolwiek uchybił W. Król. Mości. Na pracę jego nie sądzę, by wiele można rachować. Towarzystwo jego będzie W. Kr. M. zawsze bardzo przyjemném, i wiem nawet, że myślą jest jego, mieć bardzo dobry dom otwarty, którym W. Król. Mość rozporządzać będziesz."

List ten z wielu względów ciekawy; dowiadujemy się z niego, że p. Geoffrin przez ośm dni Krasickiego widywała (gdzie? w powrocie z Włoch?); potwierdza on cośmy mówili, iż Biskup chciał służyć królowi swoim wpływem na społeczeństwo, swym domem, ale się od polityki usuwał.

W lipcu (d. 12) pani Geoffrin donosi królowi: „Odebrałam list od Mineta, z którego jestem bar-

dzo kontenta. Minet ostrożny, słowa nie mówi w nim o sprawach teraźniejszych."

Widzieliśmy to już z listów do brata, że Biskup w ogóle o rzeczach drażliwych rozpisywać się nie lubił.

Do kroniki tego roku tak czynnego, dodać trzeba, po konsekracyi (29 marca) ks. Sosnowskiego na Sufragana Inflant (u śgo Krzyża), wycieczkę wielkanocną do Prymasa, razem z Młodziejowskim; d. 8 maja obchód śgo Stanisława w Warszawie, w maju wyjazd do Warmii (d. 11) i powrót na Radę, która się d. 28 t. m. zamknęła.

Wkrótce potém, po nastąpionéj śmierci Prymasa (czerwiec), Krasicki z Młodziejowskim i Załuski, zwłoki jego przeprowadzali do Łowicza. Na chwilę nie miał spoczynku.

Jak było postanowioném, Krasicki w czerwcu powrócił z Heilsberga, i widzimy go już w tym miesiącu pełniącym swe biskupie obowiązki. Zaproszony przez księżnę Barbarę z Duninów Sanguszkowę, Marszałkowę W. L., koronował cudowny obraz w Miedniewicach. Miedniewice (powiat Mszczonowski) słynęły nim od r. 1675. Przy kościele osiedli późniéj reformaci, nową świątynię w r. 1755 poświęcał prymas Komorowski, a w r. 1767 dnia 7 czerwca, Krasicki za zezwoleniem z Rzymu, w asystencyi ks. Józefa Jędrzeja Załuskiego Biskupa Kijowskiego, włożył koronę.

Od służby wojskowéj przejście było łatwe do koni, hodowli stad i myśliwstwa, którego Krasicki (sam trochę myśliwy) broni. Po czém o psiarni mowa, lasach, gospodarstwie koło nich (Kochanowski już na niszczenie ich narzekał) i o sadach owocowych u chłopów.

Księga ostatnia téj pierwszéj części Podstolego otwiera się rozmową o jednéj z najpospolitszych wad ówczesnych, o zajadłem pieniactwie, które Krasicki wystawił żywo w jednéj z komedyj swoich. Jak dwie poprzedzające i ta księga przeplatana jest kwestyami nader podrzędnego znaczenia, stojącemi obok najważniejszych. Krasicki, niegdy sam prezes trybunału, żywy świadek wymiaru sprawiedliwości, po kilkakrotnie w swych pismach nastaje na zepsucie sądów i sędziów, podnosi wysokie znaczenie sędziego.

Przedmiot ten przerywa obchód obżynek i zwrot do stosunku z włościanami. Zamyka uwagi piękny ów wiersz Kochanowskiego.

Tak ci bywało panie, pijaliśmy z sobą,
Ani gardził pan kmiotka swojego osobą.

Wtrącono tu śmieszną manią tytułów, których było do zbytku w Polsce. Charakterystyczne to. Szlachcic czémś być chciał i musiał, więc gdy rzeczą nie mógł, tytułem się nadstawiał, choćby *in partibus infidelium*. Daléj o zasługach przodków i ich pamięci. Podstoli ukazuje wizerunki

antenatów i dzieje ich opowiada, a w bibliotece szacowne ich notaty, które dawniéj niemal w każdym domu szlacheckim się znajdowały.

Podniesione poszanowanie przeszłości bardzo dobitnie, jako obowiązek — autor chce postępu, chce polepszenia, ale punktem wyjścia dla niego są pewne dane przeszłości, z których należało rozwijać się i rosnąć. Żałuje Podstoli i powyrzucanych na strych portretów przodków i rozwalanych domostw starych i zabytych tradycyj.

Wracają późniéj do pieniactwa jeszcze, a w plebanii schodzimy się z duchowieństwem wiejskiém i zadaniem jego. Wielkiéj wagi, na dzisiejsze zwłaszcza czasy, są wyrazy Krasickiego, do ówczesnych stosunków się odnoszące, a zawsze prawdziwe. „Nie oddzielajmy“ pisze, „kościoła od ojczyzny, obywatelstwa od duchowności.“

Tymczasem godzą się pieniacze, już jeden zaledwie ukończywszy, myśląc zaraz o drugim procesie. Reszta księgi ma różnych rzeczy potroszę, coś o nałogowych przysłowiach, a raczéj wstawkach w rozmowie, które w XVIII w. wielce były używane (Panie Kochanku — Rybeńko, tandem tedy — to tego itp.).

Te wstawki bezmyślne są rysem wieku, w którym myśl obracała się leniwo. Jak zająkliwość przez niektórych medyków uważaną jest za wadę raczéj umysłu niż organów mowy, tak te przysłowia, niczém inném nie były i nie są, tylko za-

pychaniem miejsc próżnych, gdy myśli nie stawało wątku.

Wychodząca za mąż córka Podstolego daje powód do zastanowienia się nad „dobrém gniazdem“ spadkowemi przymiotami rodów, rozporządzaniem dziećmi.

Dotknięto tu przedmiotu, który dziś do historyi obyczaju należy tylko. „Ledwo pojąć można,“ pisze autor, „jak mogą się znajdować w naturze takowe monstra, które, dla dogodzenia chciwości swéj lub zbytecznemu do jednego dziecięcia przywiązaniu, resztę wpychają do klasztorów.“

Wspomniano i o tém, że „ułomne dzieci, odrzutki panu Bogu dawano na ofiarę.“

Z okazyi małżeństw — o zapisach, dożywociach o prawach i ubezpieczeniach majątkowych, które oceniono słusznie. Tu znowu, wcale nie *ad vocem,* ani *ad rem*, wpadamy na drogi, gościńce i opłaty mostowe, potém wiarę w gusła i przesądy. Dowiadujemy się, że przy weselach prognostyki fatalne były, upuszczenie ślubnéj obrączki, zgaśnięcie świecy, przy stole rozsypanie soli, nóż z widelcem na krzyż leżący, w podróży zając przebiegający drogę, spotkanie umarłego; zawsze niedobry dzień poniedziałkowy (Młodzianków) itd.

O tańcu polskim powiada: „Ganią niektórzy nasz taniec polski, i powiadają, że to nie taniec ale przechadzka w takt. Niechże i tak będzie,

ale kiedy ta przechadzka i tańcującym miła i patrzącym, na cóż nią gardzić?"

Cudzoziemskie pląsy więcéj gani — kończy się ta część pochwałą starych obyczajów: „Stare obyczaje, nie dla tego szacowne, że stare. Była w dawnych nieprawość, ale ten, który z występku korzystał, z występku się nie chlubił. Jeżeli więc dla tego wiek nasz oświeconym zowiem, że się w nim śmieléj być niepoczciwym godzi, wolę ja dawną dzikość, nad dzisiejszy polor."

Taka jest treść wydanéj naprzód pierwszéj części Podstolego; przedstawiliśmy ją dość szczegółowo, idąc za autorem, aby dać wyobrażenie o książce zapomnianéj, która była i jest wielkiéj wartości. Jest to zarazem dokument historyczny i artystyczne ustępy w nim z talentem wykonane. Podstoli pobudzał do myślenia, do rozprawiania, zastanawiania się nad kwestyami, na które wprzód nie chciano lub nie umiano zwrócić baczności. Po dworach każdy ustęp wywoływał żwawe dyskusye, a zdrowy sąd autora trafiał do przekonań i reformom torował drogę, księga to była nieoszacowana i przyjęto téż ją, jak niemal wszystkie pisma Krasickiego z nadzwyczajném zajęciem.

Wpływ tego dzieła na wyrobienie się w kraju opinii i przekonań, które objawił sejm czteroletni, daleko jest większy, niż dotąd uznawano.

Związek idei dałby się łatwo wykazać.

Przedmiot niewyczerpany wcale, i przyjęcie ja-

kiego doznał pan Podstoli, skłoniły autora do wydania drugiéj części, w sześć lat po pierwszéj, w r. 1784. Nie możemy jéj pominąć, zbywając kilku słowami.

Mimowolnie czy rozmyślnie, część wtóra trzyma się jakoś w zakresie rodziny i domu głównie. Mniéj tu kwestyj donioślejszych, zadania na pozór drobne, ale w życiu powszedniém mają one wielkie znaczenie. Wiele przedmiotów powtarza się z małemi warjantami. Coraz téż więcéj obrazów z życia wziętych, postaci z natury przewybornie odwzorowanych, więcéj ruchu, jak gdyby Krasicki uczuł, że w pierwszéj części zbyt było kazań i deklamacyi. Obrazy współczesnego życia są tu liczne, a tak szczęśliwie nakreślone, że radzibyśmy wszystkie je wypisać niemal i z zapomnienia dźwignąć.

Mało dziś w kunszcie powieściopisarskim wykształconych na nowych wzorach pisarzów, którzyby żywością barw, prawdą fizyognomii tym obrazkom Krasickiego zrównali. Materyał to nieoszacowany do wizerunku wieku. Chcemy się o prawdzie tych epizodów przekonać, porównajmy obrazek częstującego natrętnie, na klęczkach zmuszającego do picia szlachcica, z podobnemi opisami własnych przygód Matusewicza.

Jakże doskonale odmalowana nędza wsi opuszczonych, majętności sierocych, zaniedbania i nieładu! Sierocińskie to mienie, sierocińskiego kraju jest obrazem. Autor mówi z tego powodu o tak

szkodliwym, w końcu XVIII w. zagęszczonym, po dzisiejsze czasy w obyczaju będącym, absenteizmie i próżniaczéj po za granicami włóczędze, o niepilnowaniu obowiązków gospodarza.

Całe dwa pierwsze rozdziały, poświęcone obrazowaniu, bardzo są piękne, równie jak przyjmowanie przez panów Ekonomów Cześnika Wendeńskiego. Patrzymy na to, jak się majętności marnowały i ruina przysposabiała.

Przyczyn absenteizmu, wstrętu do kraju, lekceważenia obowiązków szuka autor w wychowaniu cudzoziemskiém, które młodzież obcą czyniły w domu. Wesele córki Podstolego, ukazuje nam, jaką gościnność bywała i być powinna. Występują tu nieoszacowane, dobitnie kilku prostemi słowy wywołane postacie, Podstolego drugiego, Podczaszego, Skarbnika, Miecznika i Cześnika.

Krasicki, który sam dobry stół lubił i dbał oń, daje i w tym przedmiocie naukę, jak jeść potrzeba i żywić. Przy obrzędzie weselnym wzmiankowana, dziś zapomniana tradycya.

„Gdy przyszło do tańców, zachowany był *staroświecki zwyczaj* w ceremonialnym, przy asystencyi należących i sąsiadów: ostatni był w kolei ojciec, który w rękę panu młodemu córkę oddał.“

Jest tu i nauka przez rodziców na piśmie dana córce, także wedle dawnego obyczaju.

Następująca księga obfituje też w obrazki. Krasicki z rozmaitych stron i na wszelki sposób stara

się o rozwiązanie swojego głównego zadania, jak stare pogodzić z nowém, co przyswoić, co odrzucić. Jakeśmy to już wskazywali, wszędzie z wielką oględnością i umiarkowaniem radzi jak najwięcéj zachować, jak najostrożniéj zmieniać, przyswajać powoli. Bardziéj plastycznie drobne kwestye rozwiązują się w téj części. Dotknięto mnóstwo nałogów, nawyknień narodowych — lenistwa, żartów w rozmowach, pisania listów, czytania gazet, itp. Po długim pobycie wyjeżdżamy nakoniec, po zwykłém przed podróżą nabożeństwie, z domu Podstolego. Nawiasem zapisuje Krasicki, iż płeć niewieścia nadto była pochopną do chwytania byle coś nowego.

„Młodzież nasza z cudzych krajów, zamiast poloru, przynosi bezbożność, zuchwale swój towar sprzedaje, a i płeć już niewieścia, *co to przedtém uprzedzała nas w cnocie,* przenosić zaczyna w zapamiętaniu i bezwstydzie. Trzeba będzie podobno, mości księże plebanie, wyrzucić z brewiarza owę antyfonę, gdzie kościół święty płeć niewieścią pobożną nazywa.“

Po drodze łapie podróżnych i ugaszcza gwałtem pan Łowczy. Tu śliczny opis starego dworu. Daléj przyjęcie w zimnym folwarku, dom i gospodarstwo Łowczego; spór w tańcu, historyą Tarły przypominający — wszystko z niezmierną prawdą oddane.

Zaczepia autor w téj księdze zakony, ale bez

ironii i żartu; mówi o jarmarkach, o dworach magnatów, o wojskach nadwornych, które historyczną koniecznością ich pierwotną tłómaczy. W księdze trzeciéj powtarza się wiele z tego, cośmy już słyszeli, dopełniając coraz nowemi uwagami. Więc znowu dwór i stosunek jego do wsi i wieśniaka, opieka nad chatą, nad choremi, oficyaliści. Do włościan i ich stanu zwroty, jak widzimy, częste, zawsze pełne dla nich serdecznego współczucia. Autor zdaje się szukać ciągle zręczności, aby mówić o nich i zajmować się nimi.

Mniéj właściwie pomieszczone tu są całe instrukcye dla komisarzy, marszałków dworu, plenipotentów i pokojowéj młodzieży. Wracamy jeszcze do chłopów, potém i ich oświaty. „Trzeba oświecać poddaństwo, pisze, *ale w mierze.* Uczą się dzieci w szkole pisać, czytać, rachować. Żona bakałarza dziewczątka uczy nietylko pisać, czytać ale i robót, żeby w czasie mogły téż pracą rąk swoich zarabiać. Gdy który z chłopców miejskich nadzwyczajną ma bystrość, oddawać go każe do szkół wyższych, sposobni do roboty uczą się rzemiosła.“ Na ten czas byłyto zasady bardzo postępowe, ale już téż książę Stanisław Poniatowski, Brzostowski, Chreptowicz wprowadzali je w życie.

Mnóstwo tutaj potrąca drobnych przedmiotów, oszczędność, kapitały, wychowanie córek, młodzież, wybór stanu, sługi i t. p. Mowa jest przy wychowaniu niewieściém o romansach, które Kra-

Wnosić należy, iż przyjazna mu ks. Sanguszkowa sama go o to uprosiła.

Jestto ta sama pani do któréj Krasicki napisał wiersz:

> Prababko, jednak miła, płci niewieściéj cudzie,
> Racz powiedzieć zkąd takie powaby i wdzięki?
> Urodziłaś się jednak tak jak inni ludzie — i t. d.

Kończy się ten wdzięczny wierszyk na pochwałę staruszki, świadcząc że umiała:

> Ująć serca przykładem, wdziękiem oczy pieścić.

Pomiędzy Królem a Biskupem były nieporozumienia jakieś, wymagania z jednéj strony, opór z drugiéj. W sierpniu pisał król (26) do przyjaciółki swéj: „Przypadek mi nastręczył zręczność powiedzieć kazanie (ale nie ostre) Minetowi. Zrobiło ono pewne wrażenie, bo się przekonał zarazem, że głos publiczny był *przeciwko niemu?*"

Czém mógł Biskup zawinić? nie omylimy się, sądząc z późniejszego jego postępowania, iż szło o pewnego rodzaju indyferentyzm polityczny. Poniatowski żądał go widzieć czynniejszym w ówczesnych intrygach, a Krasicki się wzdragał, być bardzo może i dlatego, że go dawne stosunki z króla przeciwnikami łączyły, które pewne obowiązki wkładały. Dosyć tu wspomnieć Krystynopol i Wojewodę Kijowskiego. To tłómaczy wszystko.

Pani Geoffrin odpisuje królowi na to kazanie

(14 września): „Bardzo jestem rada, że W. Kr. Mość miałeś maleńką rozprawę z Minetem. Ma on wiele dowcipu i dowcip nader miły; kocha W. Kr. Mość i wié co jéj jest winien, ale czasem nie czuje tego dosyć mocno. Czynności naszych pobudką nie jest to co wiemy, ale to co czujem. Wadą Mineta jest, że nadto w sobie żyje (personnel), ale powtarzam to, kocha głęboko W. Kr. Mość. Wyrazy W. Kr. M. łagodne, ale nieco osolone, rozbudzą w nim uczucia i dadzą mu poznać jego winy.“

O tém wszystkiém listy Biskupa milczą, stają się rzadsze, nie tykają prawie spraw publicznych. W październiku krótko donosi: „(d. 8) Sejm lubo miał być zalimitowany wkrótce, podobno jednak dłużéj niż spodziewamy się przewleczony będzie.“

W Sejmie 1767 pod hasłem konfederacyi Radomskiéj, zasiadł Krasicki jako Senator, nie występując jednak czynnie. Było zwyczajem kapituły, że Biskupom na sejm jadącym ofiarowała *subsidium charitativum*, ktore się nazywało podarkiem na karty. Otrzymał go i Krasicki, ale po książęcemu na swój dwór rozdzielił, bo w istocie więcéj o ludziach niż o sobie pamiętać lubił.

Rola, jaką odegrał Krasicki czasu tego sejmu, z trudnością się daje określić. Widzimy go na pozór bezczynnym i neutralnym, bo się do polityki mięszać nie lubił, król z niego niekontent, starzy formaliści trochę go mają za farmazona, choć świeżuteńko order śgo Jana Jerozolimskiego otrzymał.

Bartoszewicz powiada, że radził opór i zawieszenie sejmu, a Senatorów namawiał, aby się nie schodzili, co oni mieli przyrzec i nie dotrzymali. W końcu dodaje, iż z powodu tych rad dano mu rozkaz (?) opuszczenia sejmu i Warszawy. Dla nas widoczniejszém jest daleko, iż zgodnie z charakterem swym, zachowywał się biernie i umiarkowanie.

Złośliwe paskwile także, choć z przesadą, charakter ten jego podnoszą. W „Cnocie uciemiężonéj" rodzaju pamfletu dramatycznego, Krasicki nazwany „Umizgalskim", przedstawia się blado, jako starający się przypodobać wszystkim, a pamiętający tylko o sobie. Zdradził się autor téj ramoty, z nieznajomością stosunków, bo przypisuje Krasickiemu zabiegi o biskupstwo Kujawskie po Ostrowskim, który chciał na Krakowskiém Sołtyka zastąpić. Tymczasem Kujawskie gorszém było i w hierarchii od Warmińskiego niżéj stało.

W innéj „Cenzurze polskich biskupów" o Krasickim pisze autor.

Biskup Warmiński, Gładysz gładkich sentymentów,
Nie lubi mieć o wiarę trudów i zakrętów.
Czyli w téj, czyli w owéj wierze, żyć jest jedno,
Lepiéj zawsze w rozkoszy, niż tam kędy biedno.

Wyjechał w istocie Biskup z Warszawy, przyrzekając na N. Rok powrócić. W listopadzie obchodził przy huku dział, Te Deum i wspaniałéj uczcie w Heilsbergu, rocznicę koronacyi.

W przejeździe przez Brunsbergę witali go jezuici [1]).

W roku 1768 z powrotem przybył Krasicki do stolicy na czas dłuższy i w czasie konfederacyi Barskiéj mieszkał tu ciągle, zajmując dom Wasilewskiego, Rządcy Dworu Króla, na Krakowskiém Przedmieściu (późniéj S. Orgelbranda).

Spełnił tu co przyrzekał pani Geoffrin, co miał wcześnie na myśli, urządził wspaniale dom, otworzył go, szczególniéj dla uczonych i literatów, dawał wieczory, na których król i mnóstwo osób bywało. Wpływ biskupich salonów na społeczność warszawską mógł i musiał być bardzo wielki, ale na tém ograniczyła się cała działalność Biskupa.

Późniejszy sposób życia Krasickiego dozwala wnosić, iż występował tu okazale i po pańsku. Pieniędzmi szafowano rozrzutnie, nieoględnie, tak że (powiada Bartoszewicz) często ich brakło, mimo ogromnych dochodów, a dwór i otoczenie Biskupa bogaciło się jego nieopatrznością. Na wieczory i wytworne wieczerze, schodziły się tłumy miejskich pasorzytów, których Biskup ostrygami karmić i burgundzkiém winem poić musiał. Gdy w jednym z salonów uczone i dowcipne wiodły się rozmowy, w drugich musiano zastawiać stoliki do gry, wedle

---

[1]) Clarissimo, Ill. Excell. ac Rev. D. Domino Ignatio Comiti a Krasiczyn Krasicki, cum Cathedram suam aditurus, urbem Brunsbergensem transiret, Collegium Bruns. S. I, 1767.

ówczesnego zwyczaju. Krasicki sam nie grywał, ale rozrywkę tę, jak widzimy z Podstolego, tolerował.

Z kamienicy Wasilewskiego i tych wieczorów świetnych, rozchodziły się już pierwsze pisma Krasickiego, bajki jego i satyry, które chciwie rozchwytywano i przepisywano. Poeta trafił w nich odrazu na formę dla siebie najwłaściwszą, bo w istocie bajki i satyry są pod względem artystycznym najbardziéj wykończone, najwyższéj wartości. Bajeczki te, króciuchne, pełne dowcipu, pisane tym językiem, który dla nich stworzył Krasicki, którego nikt po nim nie przejął, choć wielu naśladować go chciało, biegały po rękach, podawano je sobie z ust do ust. Wiele z nich do czasów i wypadków zastosowane, zawiérające alluzye do osób znanych, nabiérały przez to większéj jeszcze siły i ostrości, dla nas już dziś niezrozumiałéj. Pomimo to nie straciły i dziś na wdzięku.

W ciągu tych czterech lat pobytu w stolicy, Krasicki, chociaż jeszcze nie drukował pism swoich, popularność już niemi pozyskał. Znano je powszechnie. Towarzyski, miły, umiejący się podobać, łatwo do siebie przypuszczający ludzi, zajmując już stanowisko wybitne, podwójnie zyskiwał serca, talentem i uprzejmością. Otwarty dom pański, wiele się téż do wziętości księcia Biskupa przyczyniał. Kobiety, które w ówczesném społeczeństwie tak wielką rolę odegrywać zaczynały, były wielkiemi młodego Biskupa wielbicielkami. Dowcipo-

wał z równą łatwością po francusku jak po polsku, a dowcip jego miał tę właściwość zawsze, że wszystkim się podobając, nigdy nie zadrasnął nikogo.

Z tych lat wiadomości, listy i ślady życia Krasickiego są bardzo szczupłe.

Stosunki z królem były zawsze naprężone bardzo; uskarżał się na Biskupa Poniatowski, z coraz większą goryczą. Widać, że polityczne ich zapatrywania się coraz bardziéj się rozchodziły.

Niezrozumiałém dla nas jest króciuchne wspomnienie w listach p. Geoffrin, że w r. 1769 (18 września) „Biskup Warmiński przed trzema dniami wyjechał z Paryża“. O téj bytności za granicą, która połączoną być by mogła z jakąś misyą polityczną, zkądinąd nic a nic nie wiemy.

W sercu króla żal ciągle się zwiększał. W r. 1771 (15 września) pisze p. Geoffrin: W. Kr. Mość, któréj trudno jest w zło uwierzyć, powątpiewasz o tém, jakie mu wyrządził Biskup Warmiński. (Już go nie nazywają Minetem). Zaklinam W. Kr. Mość, abyś mi raczył powiedzieć, o co chodzi. Interesa jego trudno będzie naprawić, ten co się o to pokusi, bardzo być zręcznym powinien, a Biskup musi się stać bardzo powolnym, aby dójść do tego.“

Widać, że na zaklęcie swéj przyjaciółki, król musiał odpowiedzieć, wyjawiając co miał przeciwko Krasickiemu, gdyż p. Geoffrin odpowiada z oburzeniem: „Niewdzięczność Biskupa Warmińskiego jest równie straszliwa (effroyable) jak Ogińskiego (Het-

mana). Czémże to był wprzód ksiądz Krasicki? W. Kr. Mość pozwolisz mi sobie powiedzieć, że niewdzięczność jest przywarą bardzo w Polsce pospolitą, a w ogóle w całéj ludzkości. A co ją u was czyni powszechniejszą, to że W. Kr. Mość nie możesz raz wyświadczonych dobrodziejstw cofnąć, ani niewdzięcznych ukarać.“

Po za temi oskarżeniami stoi obojętne i oględne zachowanie się Biskupa czasu konfederacyi Barskiéj. Nie mamy dowodów, że dla niéj okazywał sympatye, lecz jawném jest, że przeciw całemu temu ruchowi, czynnie występować nie chciał.

Nastąpił pierwszy podział Polski; Warmia przypadła Prusom, Krasicki z dyecezyą swą odciętym został od Rzeczypospolitéj.

Chcąc pozostać przy królu w Warszawie, potrzeba było wyrzec się chyba biskupstwa, czego zobojętniały i obrażony król nie wymagał zapewne. Musiał więc Krasicki, godząc się z przeznaczeniem, pozostać przy swéj katedrze i złożyć hołd nowemu panu, którym był Fryderyk II, przyjaciel Voltaire'a, najzłośliwszy i najprzebieglejszy z ludzi, najumiejętniéj wyzyskujący każdego. Nie potrzebujemy kreślić znanego wszystkim wizerunku téj charakterystycznéj postaci, którą tak trafnie Macaulay odmalował.

Sława księcia Biskupa Warmińskiego uprzedziła go w Berlinie, ale i on sam ukazawszy się nie mógł nie podobać się królowi. Dowcipny, wymo-

wny, łagodny, Krasicki przypadł do smaku, chorującemu na dowcip i autorstwo Fryderykowi. Nawzajem król pozyskał sobie Biskupa i grając przed nim rolę dobrodusznego, grzecznością, miłemi słówkami, wreszcie aureolą swéj sławy filozofa i wodza podbił go zupełnie.

W charakterze Krasickiego nie było stawać z kimkolwiek do walki, wolał żyć w pokoju dla prac swoich. Uprzejmość króla uczyniła go wielbicielem człowieka, który olśnić go umiał fałszywą dobrocią i poufałością przybierającą serdeczności pozory.

W jedném z pierwszych zapewne spotkań z Fryderykiem II, król filozof żartobliwie się wyraził, iż ma nadzieję że go, potępionego heretyka, Biskup pod swym płaszczykiem do nieba wprowadzi.

— Nie wiem czy się to uda, miał odpowiedzieć Biskup, bo W. Kr. Mość bardzo mi ten płaszczyk okroiłeś kuso.

Stosowało się to do umniejszonych znacznie intrat biskupstwa Warmińskiego. Roześmiał się na dowcipną odpowiedź Fryderyk i miał jakoby straty poniesione ofiarą 50.000 talarów wynagrodzić. O czém powątpiewamy, przy znaném skąpstwie króla. Zapraszał tylko często bardzo miłego Biskupa do Sans-Souçi i naznaczył mu tam nawet apartament po niewdzięcznym Voltairze. Ten pobyt w mieszkaniu poety, autora Henryady, miał natchnąć Krasickiego do napisania

Monachomachii; nie zdaje się to nam prawdopodobném.

W pierwszych chwilach zmiany położenia, dostania się pod rządy nowe, Krasicki był trochę niespokojnym o przyszłość. Widać to z listu do brata, w r. 1773 (z Heilsberga d. 18 marca).

„Przyjazd królewski w te kraje“, pisze, „będzie sytuacyą naszę decydował, i, nadzieja w Bogu, że nie będzie ona tak zła, jakeśmy się z początku obawiali.“

Biskup już się całkowicie na starém zamczysku biskupiém urządził. Widać z téjże korespondencyi, że w tym czasie zachodziły jakieś układy familijne; Krasicki miał w nowym dziale, czy zamianie z bratem, „ulubiony“ sobie Dubieck otrzymać. Brał na siebie pensye młodszych braci, Karola, Marcina, Ksawerego; lecz projekta te do skutku nie przyszły.

Oddalenie się zupełne Krasickiego z Warszawy, poddanie się królowi pruskiemu, musiało wzmódz jeszcze żal Poniatowskiego. W r. 1773 (24 luty) pani Geoffrin zapytuje.:

„Gdy mowa o Biskupie, proszę W. Kr. Mości pozwolić mi zapytać, co tam słychać o Biskupie Warmińskim. Jestto prototyp wszystkich niewdzięczników, jacy kiedykolwiek byli i będą na świecie. Wieleż to W. Kr. Mość niewdzięczników narobił“. Jak widzimy, zawsze taż sama piosenka.

Zmniejszone znacznie dochody biskupie i kapituły nie przeszkadzały Krasickiemu przesiadywać w Ber-

linie i dosyć kosztownie urządzać się w Heilsbergu. Nie żałował na to i własnego grosza, którego mu brat dostarczał.

W r. 1773, ze składek zbudowany, pierwszy katolicki kościół śtéj Jadwigi, otworzył Biskup d. 1 listopada. W następnym roku na kapitule we Frauenburgu d. 18 maja uchwalił nowe przepisy karności i podziału uszczuplonych bardzo przychodów duchowieństwa.

Nie zaniedbywał więc swych obowiązków pasterskich.

W roku 1775 wychodzą nareszcie pierwsze poemata Krasickiego, na wygnaniu Heilsbergskiém prawdopodobnie napisane lub wykończone. Ukazują się one w Warszawie i zdają się torować drogę do przejednania z królem.

Chociaż bajki, niektóre satyry i listy wprzód były znane, poemat żartobliwy pierwszy długi szereg dzieł naszego pisarza rozpoczyna.

Jestli Myszeis alegoryą, pod któréj szatą kryją się pewne osoby i wypadki? wątpimy o tém nieco, to pewna, że koty, szczury i cokolwiek się tu nastręcza poecie, służy mu za doskonały pretekst do przypinania łatek wadom narodowym, zręcznego prześmiewania obyczajów wypaczonych. Ani owych Gryzomirów, ni Filusiów nikt dziś już po imieniu nazwać nie potrafi, chociaż kryć się w nich

mogą pewne intencye, aluzye, charaktery, które współcześni rozumieli.

Charakter poematu jest przedewszystkiém satyryczny, tak jak większéj części pism Krasickiego, ale satyra jego łagodną jest, grzeczną, delikatną i cała jéj siła na ironii polega.

Nie obfitowała literatura polska dawna w poezye dowcipne, a wytworniejszego smaku. Kochanowskiego Fraszki, wesołe i trafne, obyczajem wieku były słone i dobitne, inne ucinki i fraszki naśladowców jego, aż do Wacława Potockiego, który z potęgą słowa, jaką miał od natury, nigdy się nie drożył, a wszelaką rzecz i sprawę po imieniu zwykł był nazywać, tłuste są, zaprawne mocno, więcéj siłą i śmiałością niż wyszukaném słowem celujące.

Wesoła, krotochwilna a skromna razem poezya, gdzieniegdzie tylko na sposób francuski kolcem (pointe) opatrzona, prawie u nas była nieznaną. Co Shakespeare mówił na scenie do społeczności najwytworniejszéj angielskiéj XVII w., uchodziło u nas poetom. Słowo naówczas cyniczném było, choć pewnie nad dzisiejsze omówienia umiejętne, nie plugawszém.

Ton ironiczny, delikatny, salonowy, dworski; zręczne posługiwanie się słówkiem, wykończenie perłowe, haft pracowity, z jakim Krasicki występuje w Myszeis, były naówczas rzeczami zupełnie

nowemi, wielce wdzięcznemi i musiały czytających zachwycać.

Ani jędrny a patetyczny Trembecki, ani napuszony Naruszewicz, ani swawolny Węgierski tego brylantowego stylu nie mieli. Po Krasickim go téż nikt nie wziął w spadku; został jego wyłączną właściwością.

Jak forma i styl, tak język tu zjawia się nowy. Coś w nim zostało z łacińskiéj edukacyi, ale czuć, że potém przeszedł szkołę francuską, z pedantyzmu szkolnego się otrząsnął, ufryzował i uperfumował. Styl to i język harmonijny, dźwięczny, oszlifowany starannie, pieścidełko a cacko.

W dodatkach do pism Krasickiego (T. VIII. 242), wiersz przy oddaniu Myszeidos dowodzi, że autor miał przedewszystkiém na myśli tego króla, co go niewdzięcznikiem nazywał, zabawiać i rozerwać. W istocie nigdy więcéj Stan. August pociechy i roztargnienia nie potrzebował.

Zatrudnionemu szczęśliwością kraju,
Przynosić fraszki rzecz nader zuchwała,
Nie zna prostota dworów obyczaju,
Na co się mogła zdobyć to oddała.
Gdy baba latać będzie, lub gdy kichnie,
Dosyć dla niéj, gdy się pan uśmiechnie.

Tak pierwociny swe niósł jednak Krasicki dawnemu królowi, może aby nadąsanego przebłagać.

Forma obrana przez poetę ośmiowierszowych

strof (Kochowskiemu już znana) dowodzi, że chciał coś kunsztownie wykończonego stworzyć, nie lękając się trudności jakie nastręczała. Wiersz téż płynie niby muzyce gwoli, mierzony pięknie, strojny, zręcznie się uginający jak tanecznica, na któréj twarzy migają myśli wesołe, to szyderskie, niekiedy poważne i prawie smutne. I to stanowi cechę poematu, że na pozór będąc żartobliwym, w istocie pełen jest satyry ostréj, nauk moralnych. W pierwszéj zaraz pieśni dwór Popiela opisany cale nie na żart, piórem sędziego, co nie przebacza.

Zniewieściałego państwa faworyci
Harpije państwa, krew poddanych ssały,
Łupem zdartego ubóstwa nie syci..

. . . .

A dzieląc z panem władzę tronu ślizką,
Sobie rząd dali, a jemu nazwisko.
Zamiast odgłosu wojennego hasła,
Słychać tam było same biesiadniki,
Ochota mężna zupełnie wygasła.
I zapomniane marsowe okrzyki,
Trzoda nikczemna rozkosznie się pasła,
Przy słodkiém brzmieniu przyjemnéj muzyki
Miedziane bramy uwieńczały róże,
A Nymf orszaki były twierdzy stróże.

Nie możnażby posądzić, że piszący miał na myśli epokę Augusta Mocnego? Zobaczymy daléj.

Cały ten początek, w którym znajdujemy i owo zdanie: „trucizna kraju za grzechy monarsze“

i owę strofę śliczną „dwór pański źródłem występków lub cnoty i t. d.“ do właściwie żartobliwego poematu nie nastraja. Przegląda myśl surowsza, rzeklibyśmy niemal za ciężka na tę tkaninę lekką, w którą ją spowito.

Król Popiel ów tedy, zakochany najprzód w myszach, niestałéj będąc natury, polubił potém kota Mruczysława. Myszy z łaski wypadły zupełnie, poczęto je srodze prześladować. Taka jest treść pierwszéj pieśni, w któréj opis Kruszwicy i dworu pańskiego główny rys stanowi. Uciśnione myszy i szczury (P. II) uciekają się do króla swojego Gryzòmira do Gniezna i składają radę.

Ta rada myszy i szczurów (naturalnie szlachty i magnatów), wzajemnie się gryzących od dawna, odmalowana tak, jakby wzór do niéj z jednego z ostatnich sejmów za Augusta III był wzięty. Czuli to tak dobrze współcześni, iż się całych jéj ustępów na pamięć uczono:

Nie bez przyczyny pobudzał do zgody i t. d.

Można w tém widzieć zarówno aluzyą do senatu i izby poselskiéj, jak do Polski i Litwy, gdy nie jeden raz gorące między posłami o prioritas głosu i miejsca spory się wiązały.

Rzecz to niby żartobliwa, w istocie smutna. Widać, że autor nie dla śmiechu dotknął, w sposób tak dobitny rozszerzając się nad nią, niezgody,

która była zawsze przeszkodą do wszelkich uchwał zbawiennych.

Myszy sarmackie (P. III) wysyłają do innych krajów, prosząc o pomoc. Z drugiéj strony Mruczysław zbiera koty i przygotowuje się do wojny. Tu jest opis myszy różnych krajów z ich charakterystyką.

Brzegów Sekwany wymuskane, śliczne...
. . . .
Nim hasło bitwy wodzowie dać raczą,
One tym czasem pląsają i skaczą.
Dunajskie szczury harde i ponure
. . . .
Z nad Tybru trwożne, gdy chodzi o skurę,
Od Elby srogim bojem znamienite,
Tamizy dzikie i sławne w rozpustę (?)
Szwajcarskie wierne, opasłe i tłuste.

Wśród srogiéj walki, król pierzchnął, i myszy pokonane rozbiegły się na wsze strony. Ale na placu krwawego boju legł kot, faworyt królewnéj Duchny, Filuś.

Tonem zrazu poważnym niby (P. IV) treść coraz lżejszą się opiewa. Początek czwartéj pieśni ma zupełnie epiczne zacięcie. Tu sławny wizerunek kota Filusia, już lżejszym piórem skreślony. Królewna rozżalona feruje wyrok zagłady na całe mysze plemię. Kończy pieśń, w przysłowie zmieniony wiersz:

My rządzim światem, a nami kobiety.

Jest to wiekuista prawda, lecz nigdy ona tak nie biła w oczy, jak za panowania Poniatowskiego. Wstępna strofa piątéj pieśni jest najlepszém owego czasu określeniem, czém bajka być powinna. Często przywodzono ten ustęp:

Bajka częstokroć sens moralny mieści,
Ztąd Ezop bajką sprawiedliwie słynie,
Źle czyni, który gardzi przypowieści,
Smaczny to owoc choć w podłéj łupinie.
Dźwięk słów wybornych uszy tylko pieści
Jeśli z nich zdatna nauka nie płynie,
Natenczas blaskiem czczym tylko jaśnieją,
I na kształt próchna świécą, a nie grzeją.

Uciekający z placu boju Gryzomir dostaje się do chaty czarownicy i zgłodniały wpada w łapkę. Opis chaty owéj wiedźmy wyborny. Ulitowawszy się nad nieszczęśliwym, czarownica bierze go z sobą na łopatę i leci na Łysą Górę. Epizodycznie przychodzi tu choroba króla Mruczysława, leki i uzdrowienie.

Król, który zdrowia szczerze sobie życzył,
Wszystkich (doktorów) wypędził, i tak się uleczył.

W szóstéj pieśni wracamy na łopatę, na któréj siedząc Gryzomir z głodu zawędrowuje do latarni, podgryza świécę, a czarownica razem z latarką niepotrzebną zrzuca go na ziemię. Gryzander, brat króla Gryzomira, zbiera niedobitki armii i pro-

wadzi je dla rekonfortacyi do gumna lichwiarza. Przemowa do wojsk pełna patetyczności i erudycyi. Lichwiarz, który w Boga nie wierzył, a w niedzielę pościł, jest odmalowany *con amore.* Tymczasem córka Popiela boleje zawsze po stracie Filusia, a król zwołuje radę, obmyślając środki, jakby się pomścić na myszach.

W siódméj pieśni opiewa poeta dalsze przygody Gryzomira, który z lararką spada na grób Filusia i pochwycony już ma paść zemsty ofiarą, gdy czarownica protegowanego ratuje, zmuszając wszystkich, za pomocą ziółek zaprawnych, do straszliwego kichania.

Więcéj zdrowego humoru jest w pieśni następnéj, w któréj znajduje się dużo tych szczęśliwych wierszy, co się w przysłowia i frazy pospolite zmieniły.

— Jest to na tuzie czerwiennym pisano.

Niech tylko w czterech, pięciu razem radzą,
I nic nie zrobią i pewnie się zwadzą.

Powtarzano przemowę Radcy króla Popiela.

„Za nic rozjadłych Garamantów ciosy,"

jakby ze Swady przepisaną.

Rada długa, mądra, kończy się uchwałą:

„Niech pan to robi, co mu się podoba."

Wizerunek Senatora może być z natury:

Zamilknął jeden z Senatorów dawnych,
Od czasów kilku dyzgracionowany
Za to, że zbytnio szperał w księgach prawnych.
Nie tak się stroił, jak inne dworzany,
Nie śmiał się z kocich igraszek zabawnych,
Nie chwalił w radzie ministry i pany.
Od innych przeto zupełnie odrodny,
Mądry, poczciwy, cóż kiedy nie modny.

Takie zaostrzania strof ostatnim wierszem na sposób francuski, często się spotykają.

Powtarzano i ów wierszyk dwuznaczny z téj pieśni:

A wreszcie, gdy to nikomu nie szkodzi,
Wierzmy z pospólstwem, a śmiejmy się w ciszy.

Początek w dziewiątéj pieśni z własnego doświadczenia wyczerpnął poeta:

Kiedym był młodszy i jam téż wędrował,
Co i z drugiemi téż się ze mną działo.
Nierazem próżnéj włóczęgi żałował,
Nieraz sposobów i wątku nie stało.
Rzadki z ustawnych podróż profitował;
Kto zyskał, temu szczęściem się udało.
W pielgrzymowaniu kto czas drogi trawi,
I innych trudzi i sam się nie bawi.

W pieśni téj znajduje się ta sławna strofa (Święta miłości kochanéj ojczyzny), którą wszyscy

na pamięć umieli, ona téż perłę i klejnot stanowi w poemacie. Lecz, wróćmy do treści. Gryzomir prowadzi zastępy do boju, w morderczéj walce szeroko opisanéj, ginie Mruczysław. Popiel (P. IX), dowiedziawszy się o przegranéj swych faworytów, upija się z rozpaczy, ucieka na wyspę i myszy go zjadają. Ostatnia pieśń znowu do najstaranniéj opracowanych należy, i jak zwykle na zakończenie strof zachowuje Krasicki wiersz najdelikatniéj, najkunsztowniéj zaostrzony, tak na ten epilog, wszystek humor i dowcip swój wysypał. Któż sobie nie przypomni w młodości słyszanego początku pieśni:

Gdybym był królem lub jaśnie wielmożnym.

Zakończenie drugiéj strofy najwidoczniéj jest aluzyą do losu króla Stanisława Augusta.

Dlaczego winien? bo najwyżéj siedzi.
Takie nieszczęście dobrych królów czeka.

Podobały się naówczas i dwie strofy, w których więcéj jest dowcipu niż historycznéj prawdy.

Trunkiem się wielkie dusze upadlały,
Leszków i Mieszków on na złe przemienił.
Bolesław z męztwa okrzykniony, śmiały,
Miodem kijowskim cnoty wykorzenił.
Poległ na uczcie Przemysław wspaniały,
Gdy się w Rogoźnie do kufla nie lenił.

Kazimierz Wielki a przecież kwaterką
Łykał miód smaczny w Łobzowie z Esterką.
Olbracht w Krakowie berdyszem raniony,
Gdy się pijany uwijał po Rynku.
Stefan, ów Stefan dziełami wsławiony,
Połknął śmierć w Grodnie z ustawnego szynku.
I nasz Władysław słusznie uwielbiony,
Przecie pedogry dostał w upominku.
Zawżdy w pijaństwie dziwne rzeczy broił,
August Sas Polskę do resztę rozpoił.

Żartobliwe rysy się mnożą:

Podskarbi skrzętność okazując czułą,
Zostawił klucze, sam uciekł z szkatułą.

Wezwaniem Kadłubka i strofą dosyć słabą kończy się wreszcie poemat:

Szczęśliwy, kto wdzięk wraz z pożytkiem złączył,
Bądźcie łaskawi, jam pracy dokończył.

Mogła owa Myszeis uchodzić swojego czasu za arcydzieło, miała tę największą zaletę pono: że się mile czytać dawała, że bawiła, że wiersz jéj łatwo tkwił w pamięci, że była czémś, co się bez trudu przełykało i smak po sobie zostawiało przyjemny; podobała się jéj forma udatna, wiersz potoczysty, aluzye mnogie — ale!

Ale tylko w końcu XVIII w., wydziedziczonym z dzieł ducha i natchnienia, poemat w rodzaju Myszeis mógł mieć wielkie powodzenie.

Satyra, fantazyjka, ramy, w które pięknie ogładzone dały się pomieścić wiersze różne, jako pomysł i budowa Myszeis nie wytrzymuje krytyki. Samo rusztowanie jest nader niezręczne. Mięszanina w niéj powagi i prawdy z ironią i szyderstwem nie zawsze jest szczęśliwa. Pierwszéj jest może za wiele, drugiéj za mało na takie zadanie.

Zdaje się, jak gdyby srogi ból owych czasów smutnych szyderstwu nie dawał przejść przez usta i zmieniał je w jęk męczeński. Cały koloryt humorystyczny, a łzy nań padają gorzkie. Z pod ironii przebija się oburzenie, dobywa smutek, kole satyra.

Ustępy są piękne, całość nieforemna.

Gdyby koniecznie chciano szukać jednego klucza do całego poematu, chybaby się znalazł w czasach Augusta II. chociaż sejmy za Poniatowskiego lepsze nie były. Popiel ów pijak zarywa na Sasa, dwór jego, faworyty przypominają fantazye pańskie. W myszach ze szczurami i kotach, naciągając chyba możnaby znaleść Polaków i Sasów. Autor z pewnością myśli jednéj w planie swym nie miał, ale zużytkował każdą zręczność, aby bryznąć prawdą w oczy. Śmiesznie jest w greckiéj Batrachomiomachii szukać do Myszejdy wzoru, prędzéj tego rodzaju poemata francuskie dostarczyły go, chociaż Krasicki ma formę sobie właściwą, ton tylko i ogólny koloryt przypomina może Gresset'a.

Pomimo kruchéj i wątłéj swéj budowy, Myszeis dla pięknego wiersza, dla ustępów niektórych, dla

języka, dla wdzięku tego jaki Krasicki umiał nadać wszystkiemu co pisał, powszechnie się podobała, wzbudziła zapał, postawiła wysoko poetę. Wchodzi w rachunek, że była pierwszą i w swym rodzaju jedyną, że nic podobnego nikt naówczas nie słyszał po polsku. Ironia tak przypadała do smaku, satyryczne aluzye tak trafiały w myśli i usposobienia! Słowem, Myszeis umiała urodzić się w porę, a język jéj i styl był czémś tak niesłychaném a wdzięczném, że musiał zachwycić.

Razem z Myszejdą ukazała się Monachomachia. Mówią, że się ona miała narodzić w Sans-Souçi, w pokojach po Voltairze danych Krasickiemu przez Fryderyka II. Nie zdaje się nam to prawdopodobném, ale na wezwanie króla filozofa, aby coś Voltairowskiego stworzył w tém miejscu pamięcią jego napiętnowaném, nie mógł Krasicki lepiéj odpowiedzieć, jak tym poematem biskupim przeciw mnichom. Co do formy, ta w nim z wszystkich może większych kompozycyj autora jest najudatniejszą. Treść i ona idą w parze, autor obraca się swobodnie, wesoły jego dowcip błyska co chwila, karykaturalny świat mnichów zgnuśniałych, opasłych, żarłocznych, zdziecinniałych w próżnowaniu, jaskrawo i wybitnie wychodzi.

O ile biskupowi katolickiemu żart taki stroić sobie z zakonów, było w téj właśnie dobie przyzwoi-

tém i właściwém? — każdy łatwo osądzi. Byłoto dobijać tych, których już i tak ścigało prześladowanie, szyderstwo, potwarze i sądy najnamiętniejsze.

Krasicki nie miał zapewne zamiaru powstać w Monachomachii ani na instytucyą, ani na myśl co ją stworzyła, nie tknął Jezuitów ani Pijarów, ominął prawie zakony żebracze śgo Franciszka, padł całą siłą na strupieszałe klasztory, których cel pierwotny został zapomniany i spaczony, na Karmelitów, Dominikanów, Augustyanów, na zgromadzenia, które się ani wychowaniem, ani szpitalami nie zajmowały i miały niby wieść żywot ascetyczny, a wiodły próżniaczy.

Odrodzenia ich i reformy a choćby zniesienia mógł słusznie żądać, poemat niby nie tykał zasady, wyśmiewał nadużycia, karcił zepsucie; poeta wszakże nie obrachował siły swojego szyderstwa i poszedł za daleko. Przy usposobieniach XVIII w. poemat przeciw mnichom w ogóle, napisany przez biskupa, był ciosem dla nich bardzo ciężkim. Okrył on śmiesznością suknię zgromadzenia ludzi niewinnych, odjął stanowi poszanowanie, postawił nieszczęśliwych pod pręgierzem.

Każdemu innemu uczynić to było wolno, dziwném musi się wydać w biskupie, którego położenie stawiało w możności wpływania na reformę innemi środkami, dla którego suknia powinna była choć strupieszałe instytucye osłaniać. Lecz możeż być co charakterystyczniejszego, nad ten poemat przez

biskupa napisany, wystawujący mnichów jako bezmyślną trzodę głupców, wylanych tylko na dogadzanie ciału, a przestarzałą nauką osowiałych?

Widać, że zakony, przeciw którym naówczas, sam niedawno wywleczony pisał i Naruszewicz, uczuły to oplwanie i szyderstwo, jakie na nich spadło z wysoka, gdyż w sześć lat potém wydał Krasicki Antimonachomachją, niby się tłumacząc i uniewinniając i chcąc pierwszego poematu znaczenie osłabić.

Ta poprawa, od samego poematu daleko słabsza, rozwlekła, chociaż w parze chodzi z Monachomachją, mniéj ma daleko dowcipu i świeżości.

Treść poematu jest — tak jak żadna. Krasickiemu zawsze brak kunsztu w zarysowaniu głównych linij i pomyśle, celuje w drobnych rzeźbach, ozdobach i szczegółach.

Znudzeni bezczynnością, podrażnieni współzawodnictwem mnisi zbierają się na dysputę, kończącą się walką i bojem. Wniesione *Vitrum gloriosum*, rozognione umysły, serca zajątrzone uspokaja cudownie i pokój sprowadza, Na tém tle dosyć zamgloném występują karykaturalne postacie ogromnych, roztyłych, zaspanych i podpiłych mnichów, z których naówczas drwiono sobie powszechnie. Oprócz innych przywar występuje tu i nieuctwo przybrane w formy dziwaczne przestarzałéj scholastyki bezmyślnéj a bombastycznéj.

Nie ma w tém głębszego nic, ale dowcip świetny,

wesołość rubaszna, ucinki ostre, zręczne sypią się gradem. Mnóstwo imion, zwrotów, opisów z Monachomachii pozostałych w ustach i pamięci współczesnych, świadczą jak pocisk rzucony utkwił u celu.

Ojciec Gaudenty, bodaj od Naruszewicza pożyczony, stał się typem.

Mnóstwo wyrażeń w rozmowach powtarzano; między innemi wyśmienity ów wiersz:

Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty.

Czciciele trzeźwego Stanisława Augusta, umieli na pamięć wiersze do niego wystosowane:

Z góry zły przykład idzie w każdéj stronie,
Z góry naszego nieszczęścia przyczyna.
O ty! na polskim co osiadłszy tronie,
Wzgardziłeś miodem i nie lubisz wina,
Cierpisz pijaństwo że w ostatnim zgonie,
Z ciebie gust książek a piwnic ruina.
Tyś naród z kuflów, szklenic, beczek złupił,
Bodajeś w życiu nigdy się nie upił.

Równą popularnością cieszyła się strofa, będąca parodyą... Świętéj miłości kochanéj ojczyzny.

Wdzięczna miłości kochanéj szklanice.

Reakcya już dokonana w świecie, przeciwko filozofii scholastycznéj, pseudo-aristotelesowéj, poparta została lekką a ostrą bronią dowcipu w téj sławnéj zwrotce.

O ty, którego żaden nie zrozumiał
Gdy w twoich pismach błąkał się jak w lesie,
O ty, nad którym nieraz się świat zdumiał,
. . . .
Bądź pozdrowiony Aristotelesie.

Arcydziełem w swoim rodzaju jest napuszona mowa defendenta, powtarzana często dawniéj: Na płytkim gruncie rozbujałych fluktów, zakończona wspaniałém:

Przeniosłeś w sławie Sfinxy i Fenixy,
W dziełach Euryppy, Bucentauri, Dixi —

w téjże pieśni znany jest obrazek dewotki:

Muszki z różańcem, wachlarz przy gromnicy,
Przy Hyppolicie głos sinogarlicy

Dewotka ta, znana nam i z bajki,

Z cicha kaleczy, zabija pobożnie.

Na wszystkich ustach był początek pieśni piątéj.

Śmiejmy się z głupich choć i przewielebnych.

Śmiano się téż nawet z tych przewielebnych, którzy wcale nie byli głupimi, tylko przewielebnymi; bo śmiech zaraźliwym jest. Pełno takich powiedzeń co się utrzymały w spuściźnie, zostając po Monachomachii.

W szyszaku, czapce, w turbanie, w kapturze,
Wszyscyśmy jednéj podlegli naturze.

Próżność nauka, najszczęśliwsi głupi.

Groźba na końcu umieszczona:

Nie pochwalisz — spalę,

nie ziściła się. Chwalono znać poemat, a jakże g
miano nie chwalić? W udatnéj formie wtórował gło
som wieku, jego programatowi. Nie byłato walk
już, ale dobijanie.

Z tego co w pamięci pozostało wnosić łatwo
jak ogromny rozgłos miała wojna mnichów. Sta
się ona jedném z najbardziéj rozpowszechnionych
najulubieńszych pism Krasickiego.

Witano po dworach wyjątkami z niéj biednych
kwestarzy, imiona bohaterów nadawano mnichom
rzucano im w oczy ten wyrok biskupi. Śmiało po
wiedzieć można, że do odebrania wpływu i znacze
nia zakonom poemat ten najwięcéj się przyczyni
więcéj pewnie, niż bezecna współczesna Histor
Naturalna mnichów, po polsku wydana. Poeta z pe
wnością ani obrachował, ani się spodziewał teg
skutku; mógl pożałować go nawet, gdy późnie
młodzieńcza krewkość przeszła.

Antimonachomachia, którą tu łączymy, cho
w sześć lat późniéj była wydaną, mniéj więc
na ten sam sposób jest napisana, ale w niéj da
leko mniéj dowcipu, i nie przypadła téż tak do
smaku czytelników. Z małemi bardzo wyjątkami
nie ma tu już tych wierszy szczęśliwych, któr

utkwiły w pamięci pokoleń. Zaledwie gdzie niegdzie trafiamy na powtarzane:

Prawdziwa cnota krytyk się nie boi.

Najlepiéj bajkę i bajeczkę spalić.

Jeżeli plebejusz, zbić go bez litości,
Jeżeli szlachcic, pozwać Jegomości.

Prawda ukryta na dnie puharu, zaręcza za poetę, że:

Przychylność jego, która nie jest płocha,
Tém się obwieszcza, że was szczerze kocha.

Poemat kończy się dwuwierszem:

Jeżeli potwarz, sama pełznąć zwykła,
Jeżeli prawda, poprawcie się. Znikła.

Tak więc nie zguby grzeszników, ale poprawy tylko żądał Biskup, nie kassaty, ale reformy.

Bądź co bądź — dwa te poemata, z całym dowcipem pierwszego, nietrafnie, zalekko pomyślane były.

Z całą ciżbą XVIII wieku bić na zepsucie już jawne, dowiedzione, smutne, osłony miłosiernéj i naprawy potrzebujące, było to, wedle francu-

skiego przysłowia, szturmować do drzwi otwartych, dobijać leżących na pobojowisku. Duchownemu rola ta nie przystawała, ale dowcip, ten napastliwy demon, oprzeć się nie mógł pokusie korzystania z tak wyśmienitego przedmiotu.

Zakony te jednak miały swe cywilizacyjne zasługi, posłannictwo swoje, ideę, którą żyły, a któréj zbutwiałe szczątki należało poszanować jak zwłoki umarłych.

Dwa te poemata, o których wpływie mówiliśmy, nie mały téż wywarły na późniejsze sądy o poecie. Można powiedzieć, że się na nim pomściły za dobitych mnichów.

Nadały one niesłusznie charakterowi Krasickiego piętno jakiegoś niedowiarstwa, sceptycyzmu, obojętności religijnéj.

Bliżéj badając i charakter ten i pisma, przekonywamy się, że zarzuty są niesłuszne. Krasicki nie był fanatykiem, ani chciał się z pobożnością swą sławić przed światem; miał jednak w duszy głębokie uczucie religijne, o czém przekonywają nietylko mnogie ustępy w panu Podstolim, ale niezliczone myśli, nauki powtarzane w pismach innych. Pobożność jego nie miała może tych form wyszukanych, bijących w oczy, które częstokroć sceptycyzm okrywają, — o niewiarę go jednak posądzać nie można.

Wszyscy późniejsi biografowie zadają mu indy-

ferentyzm, opierając się na Monachomachii, któréj sam poeta doniosłości i znaczenia nie przewidział. Pomiędzy sceptycyzmem a uczuciem religijném, cichém i nie objawiającém się dla okazu, przestrzeń jest wielka. Krasicki zmuszonym był ciągle prawie obracać się wśród ludzi absolutnie w nic niewierzących, walkę staczać nie było w jego charakterze, pojąć więc łatwo, że to, czego nadaremnie bronić nie mógł, musiał od napaści ukrywać. Epoka rzuciła nań to fałszywe światło, w którém wydaje się, jak inni, sceptykiem, choć nim nie jest.

Są to lata największéj płodności naszego pisarza: w roku 1776 wychodzi Doświadczyński.

Powieść ta ukazała się w chwili, gdy polskiéj oryginalnéj książki, którąby wszyscy czytać, rozumieć, rozerwać się nią, nauczyć z niéj czegoś mogli, nie było wcale. Nowością wielką było takie opowiadanie, zarówno prostaczków i uczonych zajmujące, w którém rzeczywistość splatała się z fantazyą bujną, ówczesna filozofia z nieuniknioną satyrą, dowcip z nauką moralną.

Początek przypadków Doświadczyńskiego, jako obraz obyczajów epoki Augusta III, wzięty z natury, jest w swym rodzaju arcydziełem. Trybunał lubelski z takim kunsztem narysowany wziął autor, *mutatis mutandis,* z tego, w którym marszał-

kował. Zmieniło się już tò było cokolwiek na lepsze za panowania Stanisława Augusta, lecz wiele rysów jeszcze się nie zatarło. Przygody młodzieńca na wyjezdném z kraju, pobyt jego w Paryżu z równą prawdą i werwą są odmalowane. Cały ten wstęp, do którego może autor mniejszą przywiązywał wagę, jest dziś dla nas najcenniejszy.

Po tych realistycznych obrazach życia następuje awanturnicza podróż, przygody i owa wyspa wszelkich szczęśliwości (Nipu), na któréj ludzie bez żelaza, bez złota, bez nauk, bez cywilizacyi w błogim stanie idealnym natury — wiekuistym, niezamąconym żyją spokojem! Obraz ten sielankowy, w którym doktryny XVIII wieku tak wybitnie występują, przypominający i Rousseau i Voltaire'a w jego tendencyjnych powiastkach i mnogie podobne elukubracye pseudo-filozofów XVIII w. — jest zupełnie chybiony, mdły, a co najgorzéj mógłby w autorze dowieść zupełnéj nieznajomości natury człowieka, gdyby — atmosfera wieku, którą oddychał, nie stanowiła pewnego rodzaju „okoliczności łagodzącéj."

Wiek XVIII widział dobrze wszystkie stare cywilizacyi wyboczenia, wady, szkopuły, ale nie szukał ratunku nie na rzeczywistéj opierającej się podstawie, ale na jakiéjś wymarzonéj, idealnéj, z fałszywych pojęć ciągnionéj. Gotów więc był zrzec się cywilizacyi, jéj przypisując wszystko złe, a z pomocą logiki dziwacznéj przypuszczając

stan natury, stan doskonały jakiś, do którego należało powrócić, zupełnie się obłąkał.

Krasicki także zapragnął odmalować ten stan natury i dosyć dziecinnie, za przyczynę wszelkiego zła poczytując użycie kruszców, żelaza i złota, idealną swą społeczność najprzód pozbawia toporów, nożów i pługów — aby ją zabezpieczyć od zbrodni!

Maluje potém jakąś komunistyczną społeczność, obawiającą się scyzoryka, jak gdyby kamieniem w łeb, a nawet pięścią, mając ochotę po temu, nie można palnąć równie skutecznie.

Cały ten ustęp, który niewątpliwie autorowi wydawał się najszczęśliwszym pomysłem — dziś najbardziéj nawet pobłażliwego rozbioru nie wytrzymuje. Takich wysp szczęśliwych i społeczeństw wzorowych a nie ludzkich, począwszy od XVI w., namalowano obfitość wielką, jedne nad drngie dziwaczniejsze. Ściśléj wnikając w zasady autora, widzimy, że szczęśliwość społeczną budował na niemożliwéj równości charakterów, umysłów, mienia, przekonań, w zupełném ujednostajnieniu człowieka, które nie jest w naturze. Marzył jak dzisiejsi komuniści, którzy naprzód z pomocą wychowania chcą wszystkie głowy przykroić pod jednę miarę i ze społeczności uczynić trzodę, bez pasterza, ograniczoną w potrzebach, żyjącą wedle jakiegoś schematu niedopuszczającego ani geniuszów, ani wyboczeń, ani żadnego stopniowania

hierarchicznego. Ten rodzaj szczęśliwości zaspokoiłby może niedaleko myślą i żądzami sięgających ludzi, aleby musiał skończyć się na jakiéjś chińszczyźnie rdzawiejącéj i wymarzającéj powoli ród ludzki. Krytyka zresztą ideałów wyspy Nipu tak jest niemożliwą, jak branie jéj na seryo. Utopja ta wszakże, dziś dla nas, przy rozwinięciu się nauk przyrodniczych i społecznych, absolutnie niedorzeczna; w XVIII wieku musiała właśnie największe obudzać uwielbienie i zapały!

Jakże się nad nią zastanawiać, rozprawiać, spierać o nią i zabawiać nią musiano! Wyobraźmy sobie szlachecki dwór, do którego od dawna książka mogąca być łatwo czytaną nie zawitała, i wrażenie, jakie pan Mikołaj Doświadczyński wieczorami deklamowany czynił na gromadce naiwnych słuchaczów! Chwytano książkę na probostwo, bo ją pisał ks. Biskup, a o farmazoństwo posądzać go się niegodziło. Tymczasem jakąś trąciła nowinką osobliwą, zapach miała heretycki. Z probostwa wykradano na folwark, syllabizowano potém po przedpokojach i tu wyspa Nipu niewątpliwie największe mieć musiała sukcesy.

Za głęboką filozofię uchodziły te utopje, których pięknych frazesów nie rozbierano ściśle.

Ludzi bardziéj religijnych musiało to uderzać, że choć bezbożnego w tém nic nie było, choć o najwyższéj Istności piękne rzeczy się znajdowały — religia chrześciańska była wyminiętą,

przemilczaną. Jakoś się bez niéj na wyspie Nipu obchodziło.

A więc mógł istnieć stan natury, z jakąś religią i moralnością naturalną, a chrześciaństwo nie przedstawiało się już jako jedyna prawda i jedyna droga do światła i cnoty? Biskup nie wdając się w żadną polemikę, nie stając nawet w sprzeczności z dogmatami moralnemi religii, całą pozytywną część jéj milczeniem zbywając, wywierał na umysły tém większe wrażenie, że głosił jakąś prawdę nową, o staréj nie wspomniawszy nawet, jakby o przeżytéj, skończonéj i na bok usuniętéj. Ta właśnie część Doświadczyńskiego, która nam dziś najuboższą się wydaje, najmniéj szczęśliwie pomyślaną, swojego czasu czyniła najsilniejsze wrażenie. Suknia i stan autora nadawała doktrynie, równie jak umiarkowanie jego — powagę wielką. Jak to pogodzić z tém, cośmy mówili wyżéj o religijném uczuciu autora? Tak jak mnóstwo innych utopij XVIII wieku, którym się zdawało, iż w chrześciaństwie odnowioném i przefiltrowaném filozoficznie potrafią się pomieścić.

Ten ideał autor oprawił z jednéj strony w przedziwne opowiadanie o młodości Doświadczyńskiego, z drugiéj — w nęcące ciekawość przygody dalekich jego peregrynacyj, niewoli, obrazek społeczności kwakrów (drugą utopię już nieco prawdy bliższą), pobyt w domu waryatów i powrót do kraju.

Tu znowu wstąpiwszy na twardy grunt własny, autor odzyskuje całą żywość kolorytu i prawdę wizerunków. Maluje nam rzeczpospolitą, jaką była. Para, tych obrazów wiejskich, sejmiki, instrukcye poselskie, na których czele figurują sumy neapolitańskie, i odkrycie kopalni olkuskich przypominają żywością wyborny początek Doświadczyńskiego. Zakończenie wreszcie jest na sposób romansów ułożone i sprowadza kochanków znowu, którzy się w pierwszéj księdze rozstali. Odżywa miłość dawna, pan Mikołaj poznaje Juljannę, do któréj młodzieńcem będąc wzdychał i złamane koło staje się szczęścia fundamentem.

Dla nas, cośmy już stokroć kunsztowniéj zbudowanych i przystrojonych powieści przerzucili seciny, Doświadczyński ze swą przestarzałą formą Voltairowską, z dowcipem, ironią, filozofią, i osnową naiwną, wydać się może dosyć nudnym, ale w XVIII w. obok Podolanki i Rzepichy, był arcydziełem.

Tendencya jego odpowiadała wszystkim aspiracyom czasu; była w nim surowa krytyka przeszłości, ideał niedościgniony, ku któremu dążyć należało, wiele ironii i satyry, mnóstwo z życia pochwyconych rysów, a wszystko to opowiedziane z wdziękiem, smakiem, delikatnością arystokratyczną, z umiarkowaniem, stylem płynnym, harmonijnym, językiem czystym i, choć staréj pozbawionym po-

wagi, ale w nową przybranym elegancyą, z którą mu było do twarzy.

Powodzenie Doświadczyńskiego musiało być nadzwyczajne, społeczności na pół francuskiéj przypominał się prototyp Voltaire'a, bez jego cynizmu i jaskrawości, dla innych była to nowość przedziwnego smaku, jakiéj jeszcze nie kosztowano.

Po Banaluce i Argenidzie, po Leonildzie i Koloandrze, dosyć postawić Doświadczyńskiego, aby zmierzyć postęp nim uczyniony.

Zamiast oklepanych przygód dwojga kochanków, znaleźć w powieści tyle głębokich pomysłów, tyle filozofii w kwiaty poubieranéj wykwintnie, było rzeczą nową i wielką. Dodajmy wszakże, iż wrażenie, jakie Doświadczyński wywierał, było całkiem ujemnéj natury. Potwierdzał on że to, czém się żyło, życiu nadal nie mogło starczyć, a na wyspę Nipu się dostać było niepodobieństwem. Zbliżanie się do jakiegoś stanu natury stawało się niepoścignioném zadaniem. Należało najprzód, jeśli nie pozakopywać noże, to wiele prawd uznanych za takie pochować i usunąć. Wszelką sztukę miała zastąpić ta nieokreślona natura i stan dzikich lasu mieszkańców!

Wiek XVIII chorował już na marzenia pastusze, ale pasterki ubierały się w jedwabie, a pasterze karmili się ostrygami.

Gdzie się kończyła owa sztuka niebezpieczna, a poczynał obyczaj naturalny? Czy koniecznie na-

leżało, jak w Nipu, strzedz się wełny farbować, a biesiady odbywać na stołach z murawy w drzew cieniu? Czy Najwyższa istność miała zastąpić Boga w Trójcy przenajświętszéj? Na to Doświadczyński nie dawał odpowiedzi, każdy jéj musiał szukać w sobie, a trudno ją było znaleźć. Każdy czuł się zachwianym, i wiedział stanowczo jedno, że ludzkość ze starego barłogu, w którym leżała długo, ruszyć się musiała, ale dokąd?

Mówiąc o Doświadczyńskim, powiedzmy razem o drobniejszych powieściach Krasickiego, różnemi czasy wydanych.

Znaczniejsza ich część jest na tle wschodniém osnuta, jak chciał zwyczaj XVIII w. Te przenosiny do innego świata dawały pewną swobodę w pomysłach. Wschód naówczas był gruntem neutralnym, na którym się poruszać było można raźniéj nie potrącając o kwestye religijne, polityczne, i społeczne. Taka powieść wschodnia na swój sposób spełniała to posłannictwo, co dawniéj bajka, z tą różnicą, że w niéj derwisze zastępowali wilków, sułtanowie lwów, a drążkarze osłów.

O Wschodzie dawało się mówić wszystko, czegoby nie wypadało w oczy powiedzieć Europie.

I jak w bajce występuje świat zwierzęcy konwencyonalny, który do rzeczywistego nie ma najmniejszego podobieństwa, tak tu występował wschód

i ludzie z tysiąca nocy, ogólnemi rysy namalowany, podobien do tych malatur na pudełkach, na których widujemy Sułtanów w najparadniejszych strojach i postrojone jak na bal odaliski, zadumanych u stóp milczącéj fontanny w stylu odrodzenia, na tle świątyni greckiéj i t. p.

Nie licząc naśladowanych i tłómaczonych, z wymienieniem ich pochodzenia (z Goldsmitha, z Montesqieu), wielka część powieści osnową przypomina mnogie współczesne, francuskie i niemieckie tego rodzaju opowiadania. Istotnego wschodu jest tu mało, ale fantazya bujać może swobodniéj. Morał tych powieści skromny, prawdy życia powszedniego: zdrada ukarana, ambicya zawiedziona, ludzkich rzeczy i rachub znikomość, nieszczęście pozorne, które na dobro wychodzi i t. p.

Jedna z najdowcipniejszych powieści „Dziekan w Badajoz“, swojego czasu bardzo ceniona, w istocie śliczna formą i oryginalném rozwiązaniem, czy jest Krasickiego własną, czy przerobioną z A. G. Meissnera, drukowanéj w r. 1798? nie wiemy. U Meissnera, który był też utalentowanym pisarzem, Badajoz zastępuje Compostella, zresztą treść i forma taż sama, acz mniéj starannie stylizowana. Być bardzo może, iż Meissner ją przerobił, zwłaszcza że żyjąc w Pradze, gdzie był profesorem, polski język mógł rozumieć. Ale gdyby nawet pomysł pierwotny nie należał do naszego autora,

obrobienie kunsztowne jużby go własnością jego uczyniło. [1])

We wszystkich tych powieściach w ogóle, bardzo drobnych rozmiarów, styl, język, ton są wyborne, dziś one jeszcze z przyjemnością się czytać dają, gdy rodzaj ten wyszedł zupełnie z użycia i wymaganiom naszym nie odpowiada.

Powieści takie moralne rozwijały przykładowo jakąś prawdę, czyniły ją dotykalną, uosabiały wady i przymioty a — z pomocą opatrzności, która w nich jako główny działacż występuje zawsze, dowodziły zmysłowo, plastycznie, jak źle jest czynić nieprawość, jak każdy dobry uczynek się płaci a mści każdy występek. Byłyto opowiadania głównie dla młodego przeznaczone wieku, chociaż wdzięk stylu i dla starszych je czynił ponętnemi. W tych wszystkich krótkich historyjkach wschodnich, arabskich, perskich, tureckich, jest miła prostota, wdzięk naiwności dziecięcéj, ale wszystkie są do siebie podobne i derwisze, sułtanowie, kupcy są, jakby wedle jednego wzorku, poprzykrawani.

W jednéj z powieści, Juzup, nie wiemy zkąd wziętéj, tkwi jakby oddźwięk historyi, która Schakespearowi do Leara służyła za motyw główny. Z synów kilku zapytanych jak ojca swojego

---

[1]) Krasicki w przejeździe do Carlsbadu bawił parę dni w Pradze, oglądając miasto. Żył tam podówczas Meissner, ale powieść jego nosi datę 1798 r. a bytność Krasickiego ją poprzedza.

miłują, jeden tylko nie umie wypowiedzieć przywiązania swojego. Juzup ojciec przecież rozumniejszy od Leara, téj miłości oniemiałéj, daje nad wymownemi pierwszeństwo.

Do powieści krótszych dołączym tu historyą prawdziwą o kamienicy narożnéj w mieście Kukurowcach przez Błażeja Bakałarza tamże, wydaną osobno po raz pierwszy w r. 1794. Jestto zupełnie oryginalna i bardzo zręcznie przebrana historya Polski, aż do elekcyi Stanisława Augusta, z dowcipem i werwą Krasickiemu właściwą opowiedziana. Wiele w niéj ustępów humorystyką się odznaczających. Mówiąc o koronacyi Bolesława Wielkiego przez Ottona, pisze: „Powiadają i to, że Burmistrz blizkiego miasta, przyjechawszy jednego razu na kiermasz do Kukurowiec, zrobił go (dziedzica kamienicy) wójtem“. Ale co miał za prawo burmistrz zkąd inąd, robić wójta u sąsiadów? którzy, gdyby im się podobało, mogliby sobie sami zrobić takiego wójta, jak i on. Bajki to więc, które sąsiedzi wymyślili i podali innym do wiadomości, bo pierwéj od Kukurowczanów umieli pisać i czytać. Godzien jeszcze przypomnienia ustęp opowiadający figurycznie czasy Augusta Sasa, Leszczyńskiego i Augusta III.

„Poboczny wsi gospodarz był z innéj parafii (August II), ale ją porzucił, gdy szło o kamienicę. Miał dom swój z ciosowego kamienia, ale że wązki (Saksonia) kamienica z cegły choć nadpsuta (Polska),

że obszerna, wysoka i kształtna, skusiła go. Skoro wszedł do niéj, jął się krzątać i tak dobrze mu się udało, że i szpichrza i drzwi owych żelaznych dostał, ale z drugim sąsiadem nie powiodło mu się. Zaczepiony (Szwed) zaczepnikowi tak się oparł, iż go z kamienicy wypędził i osadził w niéj jednego z tamtejszéj czeladzi (Leszczyńskiego). Ale ten musiał ustąpić, gdy dawny pan wzmógłszy się do domu wrócił. Siedział w nim więc spokojnie i odtąd *szynkiem tylko zatrudniony,* mniéj dbał o to co się daléj i z budynkami i z samymże domem stać mogło. Syn po nim nastał (August III), miał sprzeczkę zrazu o dom z tymże czeladnikiem (Leszczyński), który go już raz miał, ale się przecież utrzymał, co tamtemu na dobre wyszło. Dość długo w kamienicy siedział, aż téż umarł. Szczęściem za jego czasów nie było gwałtownych ani wiatrów ani deszczów, powiększały się więc niezmiernie rysy w murach, ale przecież stał jako tako."

Tym samym duchem krytyki, która natchnęła historyą na dwie księgi podzieloną (o któréj niżéj), odznacza się historya kamienicy w Kukurowcach, ale krytyka to czysto fantazyjna. Weźmy naprzykład to ukoronowanie Bolesława przez Ottona, które tak dowcipnie określił Krasicki, — że burmistrz z sąsiedniego miasteczka uczynił wójtem dziedzica domu. Zdaje się to trafném, ale z historyą prawdziwą zgodném nie jest, coby Naruszewicz mógł był wytknąć Krasickiemu. Papieże i Cesarze mieli prawo

rozdawnictwa koron, i ów burmistrz rzeczywiście wójta mianował.

Dowcipu wszędzie siła, gdziekolwiek jednak, jak na wyspie Nipu, poważnym być chce Krasicki, surowym moralistą, staje się zimnym i rozwlekłym. Posłannictwem jego było chodzić zawsze z uśmieszkiem na ustach, z tą słodką, dobroduszną ironią bez żółci, spokojną, która szczypie ale nie rani, łaskocze ale nie kaleczy, grózi ale nie smaga, wyszydza bez gniewu, litując się i miłując.

W r. 1778 wychodzą Satyry — prawdopodobnie już dawniéj pojedynczo pisane i po jednéj nawet, częściami (Żona modna) ogłaszane. Z listów, jakie mamy przed sobą, widzimy, że w r. 1779 Krasicki Satyrami był jeszcze zajęty, bo pisze do brata Antoniego: „Moja widzę Satyra com WPanu posłał zginęła, ale się urodziło po niéj trzy, i przyjdą do liczby może równéj płodności pewnéj damy“ (bratowéj Antoniowéj).

Mówmy o wszystkich razem.

Wskazaliśmy wyżéj, jak w końcu nieszczęśliwego panowania Sasów Czartoryscy, Konarski, wielu innych czuło potrzebę reformy całego organizmu rzeczypospolitéj. Wszystko było strupieszałém, przegniłém, zwątlonėm, popsutém, budowa groziła ruiną. Wedle idei ówczesnych, którym i dziś jeszcze większość hołduje, zdawało się

reformatorom, że dosyć zmienić instytucye, aby z niemi wszystko inną przybrało postać. Nie śmiano poczynać od najważniejszéj reformy obyczajów, którąby na same instytucye oddziałać i nadać im znaczenie nowe musiała.

Wstępując na tron Poniatowski z Czartoryskich ideą, rozumiał to jednak, że nim do zmiany instytucyj przyjść będzie mogło, trzeba na opinią, społeczność i obyczaje działać czynem i słowem, przykładem i inicyatywą z góry płynącą. Właśnie jednym z ludzi, co królowi w tém pomagać mieli, był, jakeśmy mówili, Krasicki. Jego dowcip i przedziwny takt, humor i ironia mogły tam skutecznie wpływać, gdzie gwałtowność i brutalne środki opór by tylko budziły.

Pierwszy to był pomocnik króla w wielkiém dziele reformy obyczajów. Czuł tę misyą swoję: wszystko, co pisał, dążyło do tego celu, bajka równie jak satyra, list równie jak komedya, poemat i powieść. Satyra jednak była główném narzędziem, owém burzącém działem, którém wyłom się w twierdzy wybija.

W naszéj literaturze początki jéj są bardzo dawne, sięgają niemal kolebki naszego piśmiennictwa. Europejska literatura łacińska, która dla nas była wzorem, już w XV wieku nabrała charakteru satyrycznego. W klasztorach rodzi się pierwsza opozycya przeciwko porządkowi społecznemu, instytucyom kościoła i powadze stojącéj u góry.

Twórca pierwszy języka naszego, ojciec piśmiennictwa, który do dziś dnia nie był i nie jest tak ocenionym, jakby być powinien, mistrz — co postawił mowę naszę na tym stopniu rozwinięcia, iż nam jego język do dziś dnia starczy, ten co mógł językiem i natchnieniem Adama, na lat trzysta przed nim, wyśpiewać ten wiersz Adama godny:

Kto mi dał skrzydła? kto mnie odział pióry?
I tak wysoko postawił, że z góry?
Wszystek świat widzę...

Kochanowski był już satyrykiem. Jego Satyr stoi na czele tego zastępu straży nieustannéj, która przez trzy wieki woła: Strzeżcie ognia i złodzieja! — pilnujcie się od ognia namiętności i złodzieja samolubstwa. Zawczasu zło się wkradało, ale był zawsze ktoś u nas, co je wskazywał.

Bielski w swéj rozwlekłéj rozmowie dwu baranów o jednéj głowie, i w innych poematach jest satyrykiem; w znacznéj części pism swych jest nim Rej, dziś tak zapomniany. Po nim idzie Klonowicz, a obok kroczą Opaliński, Twardowski (Satyr na twarz Rzeczypospolitéj przypisywany Rysińskiemu), bezimiennych wielu, w różnych formach, aż do Wacława Potockiego, który w swym pocztcie herbów szlachty często z ironią i siłą wielką przeciwko społeczeństwu się odzywa.

Satyra ta, to sumienie narodu, wołające o poprawę.

W chwili, gdy Stanisław August zabiera się do dzieła odrodzenia z chęciami najlepszemi, ale ze środkami niewystarczającémi, satyra w pomoc mu przychodzi.

Wszyscy niemal czynniejsi pisarze Stanisławowskiéj epoki są potroszę satyrykami; Naruszewicz ze swym biczem z sznurów plecionym, Trembecki z siekącą do krwi rózgą, Węgierski z pejczem jeźdzca, Krasicki z biczykiem jedwabnym, oprawnym w heban i złoto.

Nawet, gdy się do satyry nie chcą przyznać, pisarze piszą ją mimowoli. Z satyry rodzą się zjadłe paskwile i szczególniéj czasu sejmu czteroletniego dochodzą do najwyższego cynizmu i zuchwalstwa. Trembecki zmuszony jest pisać przeciw paskwilusom, których pełne są fiakry warszawskie, a z rana wszystkie ławki Saskiego ogrodu. Satyra się maskuje za powieść, za bajkę, za komedyą (powrót Posła), za poemat, piosenkę, zagadkę. Takich satyrycznych zagadek znamy kilkaset z czasów wielkiego sejmu. Naostatek uliczny żebrak pod Krakowską bramą śpiewał paskwile i satyryczne lamenty.

Satyra Krasickiego różni się wielce od dawnych i współczesnych. W bajce tylko i satyrze poeta jest z pełna kunstmistrzem; tu forma z treścią się zrosła, każdy szczegół wypieszczony, słowo każde pomyślane, uczute szczęśliwie, całość wyborna. Gdzieindziéj Krasicki nie zadaje sobie

pracy, by osnowę obmyślić surowiéj, tu ona wszędzie doskonała, naprzemiany opowiadanie, dramat, obraz — satyra (zwłaszcza pierwsze) nie przechodzi nigdy w kazanie i deklamacyę. Ton jéj nie zabarwia się namiętnością, poeta panem jest siebie, dowcip jego zawsze dobrego tonu, może się zaprezentować w salonie, a nie traci przez to na dobitności, na sile. Dotyka, a nie rani, nie gniewa, wywołuje uśmiech i nim zwycięża, zmusza wstydzić się i rumienić.

Trembecki w satyrycznych swych porywach nieskończenie jest potężniejszym ową *indignatio*, która wiersz jego natchnęła, język jego, którym mistrzowsko włada, dosadny jest, ale on, jak z murów oblężonego grodu, ukropem i zapaloną smołą leje na głowy przeciwników, satyra u niego przechodzi w paskwil, w osobistość, jak gdy Turskiego z głową ogoloną wiedzie do czubków, jak gdy się mści na Węgierskim za to, że mu dawniéj palił kadzidła.

Cóż mówić o satyryzującym Węgierskim w Reducie i innych urywkach, wyglądającym na trzpiota, który po dobréj wieczerzy puścił się na drwiny, sam lubując dowcipowi swemu. Egoizm niedojrzałości razi w nim wszędzie. Kłaniając się Zamojskiemu, nie zapomina na wstępie podnieść tego, że to on — Węgierski mu hołd składa. Wszędzie siebie stawi na pierwszym planie. Czuć w nim ten

rodzaj młodości, co nigdy nie starzeje i nigdy nie nabędzie powagi.

Krasicki nad nimi wszystkimi, nie wyjmując zamaszystego Naruszewicza, górą stoi kunsztem i miarą. Książę poeta, senator, potomek znakomitego rodu pisze, czuć to, w jedwabnéj sukni, w koronkowych mankietach widzimy białą jego rękę, w pierścień strojną na karcie satyry do króla. Jest to jedna z najśliczniejszych, wyrzuca ona Stanisławowi Augustowi wszystkie jego przymioty, a na ostatku, pod pozorem pochwały, trafia w istotną jego słabość i winę.

Ten, którego cała rodzina, pani Mniszchowa, Zamoyska, pani Krakowska zwykły były zwać „dobrym Henrykiem IV“, któremu Krasicki w końcu satyry wyrzuca jego dobroć, w istocie grzeszył dobrocią bez wyboru, która się słabością zowie. Ta chęć okazania się dobrym dla całego świata, brak charakteru i przekonań, były główną wadą Stanisława Augusta. Krasicki może nie bez ukrytéj ironii wyrzuca mu tę dobroć jego.

Nie trzeba, Mości Królu, mieć łagodne serce,
Zwycięż się, zgaś ten ogień, zatłum go w iskierce,
Żeś dobry gorszysz wszystkich — —

W istocie król był dobrym nawet dla złych, był słabym. Rozgniewać się za ten wyrzut niepodobna było, a z jaką trafnością jest on tu na ostatku położony.

Satyra, „Świat zepsuty“, równie wybornym jest obrazem wieku jak tamta człowieka. Jak piękne, jak dobitne znowu to jéj zakończenie, przypominające kazanie owo Skargi o okręcie i majtkach:

Był czas kiedy błąd ślepy nierządem się chlubił,
Ten nas nierząd, o bracia, pokonał i zgubił.
Ten nas cudzym w łup oddał, *z nas* się złe zaczęło,
Dzień jeden nieszczęśliwy zniszczył wieków dzieło.
Padnie słaby i lęże, wzmoże się wspaniały;
Rozpacz podział nikczemnych. Wzmagają się wały,
Grozi burza, grzmi niebo, okręt nie zatonie,
Majtki zgodne z żeglarzem, gdy staną w obronie.
A choć bezpieczniéj okręt opuścić i płynąć,
Poczciwiéj być w okręcie, ocalić lub zginąć.

W satyrze „Złość ukryta“ wizerunki są jakby z żywych wzorów pobrane, choć poeta nie miał ich może na myśli. Alchemistę pokazywano palcami.

Szczęśliwość Filutów (III), marnotrawstwo (IV), oszczędność (V), wszystko to najtrafniejsze obrazy czasu, a sam wybór przedmiotów bystrego oka postrzegacza dowodzi.

Znane jest dobrze — Pijaństwo, którego zakończenie stało się niemal przysłowiem, jak wiele innych wierszy Krasickiego:

Te są wstrzemięźliwości zaszczyty, pobudki,
Te są — Bądź zdrów — Gdzie idziesz? — Napiję się wódki.

Zwrot podobny po kilkakroć zużytkował Kra-

sicki, w bajce Kartownik i w Podstolim. Dowodzi to, że znał ogromną siłę nałogu nad człowiekiem, który widzi, że błądzi, a powstrzymać się nie może.

Wyborne są przestrogi młodemu, ale Żona Modna, odmalowana tak żywo i plastycznie, tyle w niéj rysów ówczesnych, iż nie dziw, że była jedną z najpowszechniéj ocenionych i rozrywano ją, gdy się ukazała.

Życie dworskie, Pan nie wart sługi, Gracz, dopełniają pierwszego satyr zbioru (XI).

Druga ich część, zdaniem naszém, nie dorównywa pierwszéj natchnieniem i żywością obrazów. Wpada w niéj poeta w ton dydaktyczny, więcéj nawraca niż maluje, mówi o życiu, ale go nam nie okazuje. Jednakże i z pomiędzy tych podnieść należy „Wziętość“ i misternie zakończone „Odwołanie.“

Bajki i satyry są arcydziełami poety, gdy inne pisma zostaną szacowną pamiątką, materyałem do historyi ducha czasu, to dwoje przeżyje w literaturze i ostoi się mimo zmian smaku. Satyry pisał Krasicki już w wieku dojrzalszym (ostatnie przynajmniéj), czuł się do nich natchnionym, i być bardzo może, iż nie wszystkie zostały wydane.

Jak wiele listów wierszem i prozą z wierszami, tak i *Organy* przedziwny obraz sejmu czteroletniego w pierwszém jego stadium, do satyr by się zaliczyć powinny, choć formy tyle skończonéj

i wytwornéj nie mają i prozą są przeplatane. Nikt trafniéj nie odmalował tego momentu pasowania się garstki ludzi dobréj woli, a nie zbyt bystrych polityków, z tłumem namiętnym i nieopatrznym, gdy z obojga korzystali organiści jak Lucchesini. Historya tego sejmu poczynającego się opozycyą przeciw królowi, który powoli nawrócić się daje, pragnącego więcéj niż mógł dokonać, jest całym dramatem pełnym scen poruszających i tragicznych. Lecz o tém niżéj jeszcze mówić będziemy. List Krasickiego, który chwilę był naocznym świadkiem scen odegrywających się na zamku, i jako satyra i jako dokument historyczny, ma wielką cenę.

Jedne po drugich następowały w tych latach właśnie, najgłówniejsze pisma Biskupa Warmińskiego. Ogół zajmował się niemi niezmiernie, czas sprzyjał ich rozpowszechnieniu, były to lata spokojniejsze pracy wewnętrznéj, reform oświaty i obyczaju. Nadzieja lepszych dni wstępowała w serca, krzątali się wszyscy.

Stało przed reformatorami nierozwiązane zadanie główne, zasadnicze, co z dawnych obyczajów ocalić należało, co odrzucić, co z nowéj europejskiéj cywilizacyi przyswoić, co, jako z tradycyami naszemi niezgodne a szkodliwe, usunąć.

Rozwiązaniu téj kwestyi żywotnéj poświęcił Kra-

sicki, w samę porę z nim przychodząc, swojego pana Podstolego.

Pan Podstoli z dzieł prozą Biskupa Warmińskiego jest największego znaczenia. Jest w nim, powiedzieć można, cały Krasicki, charakter jego przekonania, sąd o przeszłości, pojęcia postępu, wszystko czego pragnął i jak myślał nową organizować społeczność na starych podstawach. Forma jest nieco dziwna, największéj wagi zadania mieszczą się tu obok najpodrzędniejszych; żadnego systemu i planu. Autor nie chciał się wiązać niczém, swobodnie się obraca zakreśliwszy ramy, w których może mieścić, co mu się żywnie podoba. W pierwszéj części pana Podstolego daje się jeszcze dośledzić pewna symetrya budowy, w następnych giną jéj ślady. Przedmioty powtarzają się kilkakroć, autor powraca do nich, przeplata je obrazkami, urozmaica epizodami, kwestya włościańska stoi obok kuchni, obok religii odzież, przy zasadniczych prawach wiążących rodzinę i społeczność, drobnostki.

Mogło to być obrachowaném dla płochych czytelników, ale wypłynęło téż może i z usposobienia autora, który w swych dziełach nigdzie z góry obmyślanego planu się nie trzymał, spuszczał na fantazyą i lubił niczém się nie krępować. Umysł encyklopedyczny, unikający zbytniego zagłębiania się w przedmioty, chętniéj ślizgający po ich powierzchni, Krasicki miał ten dar zarazem, że z ma-

łych częstokroć oznak zewnętrznych, treść rzeczy odgadywał. Lecz nawet w takich razach, nigdy nie chciał zapuszczać się zbyt głęboko, wstręt miał do świdrowania przedmiotu, które na wierzch dobyć mogło, wstrętliwe dlań brudy i plugawstwa.

Niesprawiedliwém byłoby zarzucać mu co płynęło z jego natury i usposobienia. Umysłu badawczego nie miał, ale trafnym był w postrzeganiu fenomenów zewnętrznych i w ich osądzaniu. Łatwiéj mu było ogarnąć wielkie przestrzenie, niż sięgnąć do tajemniczych wnętrzów ciasno ograniczonego przedmiotu.

Więcéj w nim instynktu, czucia, odgadywania prawdy, niż rozumowanego jéj i mozolnego dochodzenia. Artysta, miłośnik piękna, głównie chwyta prawdy w objawach ich plastycznych, we wcieleniach, w faktach, nie chce i nie umie dochodzić ich w analizie powolnéj i stopniowéj. Uderzają go one swym blaskiem, a blask jest nie zawsze fałszywą wartości miarą. Skutkiem tego usposobienia Krasicki jest w przedstawianiu prawd raczéj malarzem niż filozofem, unika abstrakcyi, przyodziewa myśl ciałem, stawi ją w zastosowaniu do życia. Wszystko w nim z rzeczywistości wzięte, do niéj się odnosi i wiek swój maluje.

Podstoli z godłem: *Moribus antiquis*, to cała encyklopedya obyczaju polskiego, jakim on był i jak 'go chciał mieć, z własnych jego pierwiastków rozwiniętym Biskup Warmiński.

Pierwsza jego część, jak wiadomo, pisaną była około r. 1778, a między innemi, znajdujemy już w niéj te zasady co do reformy stosunków włościańskich, które głośniéj i jawniéj wyszły dopiero na sejmie czteroletnim. Jeden ten fakt już wielkiego jest znaczenia i mówi na korzyść autora p. Podstolego.

Miał on już odwagę żądać tego w r. 1778, co zaledwie tknięte na księgę praw Zamoyskiego ściągnęło tak gorszące potępienie. W tych, jak w innych kwestyach podnoszonych przez Podstolego podziwiać potrzeba (treść pomijając) takt, miarę, trafność, z jaką najdrażliwsze rzeczy są ujęte. Stając przeciwko większości zacofanéj, Krasicki umie wypowiedzieć prawdę niemiłą w sposób tak łagodny i przyzwoity, że się nań oburzyć niepodobna. Argumenta swe czerpie z takich źródeł, że ich odrzucić nie sposób, mówi do uczuć, których się zaprzeć nie godzi. W téj kwestyi włościan, jak w wielu innych, wyprzedza nietylko prawodawstwo, ale opinię kraju, którą zwraca na prawą drogę.

Lecz przypatrzmy się bliżéj téj ciekawéj mozaice różnobarwnéj, w któréj cały mikrokosmos się mieści. A najprzód rozróżnijmy dwie jéj części składowe, odrębne — kamienie i oprawę.

To obramowanie, składające się z obrazków, wizerunków społeczeństwa, figurek z natury pochwyconych, niemniéj jest kosztowne, jak to, co

otacza. Krasicki może malarzem jest wyższéj ceny niż moralistą. W jego obrazkach nie ma najmniejszéj pęzla niepewności, rysu zamglonego, wszystko jasne, dobitne, prawdziwe, gdy w naukach moralnych często zbywa na śmielszych liniach, gubią się one w zamierzchłéj dali.

Obrazki w pierwszéj zwłaszcza części nie zbyt są mnogie, i autor nie zdawał się do nich przywiązywać wagi; mieścił je dla ożywienia trochę oschłéj gawędy i jéj urozmaicenia, ale dla nas, dziś, są to nieocenione klejnoty.

Pozostała znaczniejsza część Podstolego dydaktyczna, w obec społecznych zmian i jaśniejszego wyrobienia idei o nich, ustarzała, a artystyczne kreacye są żywe i pełne barwy.

Fabuła Podstolego jest patryarchalnéj prostoty. Autor nie wysilił się na osnucie jéj, zaledwie pomyślał o tém, jak całość się złoży, szło mu widocznie o to, co w szerokich ramach pomieści. Tłumnie cisnęły się myśli, wywoływane stanem tego fermentującego i przekształcającego się społeczeństwa; był niemi przepełniony, złożył je w Podstolim, ulegając konieczności objawienia co mu ciężyło. Godna uwagi, o czém już napomknęliśmy, że wiele kwestyj w Podstolim raz dotkniętych wracają kilkakroć, a oprócz tego są traktowane w tak zwanych „Uwagach“. Zdaje się, że autor gotował materyał do Podstolego, jak mu na myśl przychodził, i wkładał go jak do szufladki.

Dom i rodzina polska, jakiemi były, i jak do wymagań czasu stosując się, wyrobić były powinny, to zadanie, jak wyżéj.

Ogólną cechą w rozwiązaniu go jest umiarkowanie. Żadnego radykalizmu, żadnych reform gwałtownych i obalających do gruntu, łagodne tylko i stopniowe modyfikacye. Autor staje zawsze pośrodku, chętnieby rad pogodzić sprzeczności, nic prawie nie potępia oprócz przesady, naprawia nie tworzy, zastosowuje. Nie dopuszcza zupełnéj transfiguracyi, ale stopniową.

Chociaż wydać się to może z pewnych względów słabością, jest jednak raczéj zdrowém poczuciem warunków rzeczywistości. Pojmował Krasicki, że rewolucye w stanie społecznym i jego organizmie są zawsze wielce niebezpieczne; że zamierzając chorobę usunąć często z sobą zabierają samo życie. Dlatego powolna przemiana zdała mu się właściwą formą postępu.

Oprzeć się na tém co było, a postępować ku nowemu i lepszemu. Kierunek jednak zawsze zmierza naprzód i cofania się, zastałości nie dopuszcza.

Niepodobieństwem jest rozbierać szczegółowo Pana Podstolego, bo by mu należało osobną księgę poświęcić, zdaje się wszakże, iż ten charakter ogólny, na który ukazujemy, wszędzie się sprawdzi i dowiedzie.

Na początku pierwszéj części, jesteśmy w domu Podstolego, wzorowego, zamożnego, idealnego wła-

ściciela dóbr i starego z antenatów szlachcica. Rozmowy z nim, wywoływane przez wszystko co pod oczy podpada, toczą się około bardzo zwyczajnych przedmiotów życia powszedniego dotyczących, o gospodarstwie rolném, o zajęciach pani domu i obfitéj jéj apteczce, o jadle, stole, napojach, staroświeckim miodzie i winie. Idziemy z Podstolim do ogrodu (najulubieńszego, jak wiadomo, Krasickiemu, który tysiące na swe ogrody i cieplarnie łożył), tu znajdujemy drzewa morwowe i ideę zaprowadzenia jedwabnictwa w kraju. Krasicki ile razy dotknie ogrodów, niechętnie się z niemi rozstaje, więc o różnych ogrodach mowa. Następnie rzecz o modach i dawnym ubiorze krajowym, który właśnie zrzucano (dopiéro sejm czteroletni wywołał prąd przeciwny).

„Porzucenie własnego a obranie cudzego stroju (pisze) oznacza jakowąś preferencyą. Z niéj pomału rośnie obojętność, a nakoniec i wzgarda własnego kraju.“ Argument ten co do słowa powtarzano w r. 1789.

Króciutko się potém napomyka o nauczycielach domowych i wychowaniu szkolném a domowém dzieci. Krasicki jest za oddawaniem chłopiąt możniejszych rodzin do szkół, szczególniéj z pobudek towarzyskich. Tu natrafiamy na ustęp o języku, o którym pisze nader trafnie „Weź WPan teraźniejsze nasze pisma, znajdziesz po większéj części, że ten który pisał, przyzwyczajony do zagranicznéj

mowy i czytelnictwa, myśl swoję francuską po polsku przetłómaczył. Ztąd sposób wyrażenia nieprzyzwoity; słowa dzikie, konstrukcya fałszywa, styl cudzy.“

Trafniéj pism z lat 1772—1778 niepodobna było scharakteryzować.

Mowiąc o wychowaniu, wspomina o religii, a mówi o niéj jako o podstawie ukształcenia moralnego i społecznego. Wprawdzie jest tu maleńki *lapsus calami*, bo naprzód stoi: człowiek, obywatel, nakoniec chrześcianin“, ale tuż obok poprawia się autor i na czele kładzie: „obowiązki chrześciaństwa, *z których inne człowieka i obywatela wypływają i pochodzą.*“ Niepodobna było autorowi ominąć wstrętnéj polemiki „z mniemanemi teraźniejszego wieku mędrcami“, ale tę zbył krótko. Religijna kwestya w ogóle nader jest oględnie traktowaną. Wraca ona jeszcze nieraz w P. Podstolim i potwierdza, cośmy mówili, o religijném uczuciu Biskupa. Tu kilka słów jeszcze o praktykach religijnych, nabożeństwie, kościele, którym orthodoxya najsurowsza nic zarzucić nie może.

Autor widocznie nużyć nie chcąc czytelnika wywodami zbyt rozciągłemi, mienia co chwila przedmioty. Dziwnie się dziś wydaje napomknięty przesąd i wiara w ukazywanie się po domach nieboszczyków, w „przeszkadzanie“ w nich.

„W sąsiedzkich dworach zawsze coś *przeszkadza,* w tym z łaski Bożéj, raz tylko nieboszczka matka,

i to w dobry sposób, widziała duszę nieboszczyka Wawrzyńca, który zginął pod Wiedniem. Dano zaraz na trycezymę, pobenedykowali OO. Reformaci, i odtąd się już więcéj nic nie pokazywało. „O starym folwarku ja nic nie mówię, sam pamiętasz, że go nieboszczyk brat musiał kazać zrzucić dla ustawicznych przeszkód. W lamusie chwała Bogu, że nikt nie mieszka, zawsze się tam coś odzywało, nieraz stróże widzieli niemca na dachu.“ Mówi się daléj o pałacach i dworach, rzecz praktycznością Krasickiemu właściwą nacechowana, potém o bibliotece domowéj. Tu wypisał cały katalog dawnych polskich pisarzy, z krótkiemi o nich zdaniami, dowodzącemi, że był z nimi dobrze obeznanym. Szereg dosyć długi, w rzędzie poetów nie zapomniany nawet Wàcław Potocki.

O odradzającéj się właśnie literaturze współczesnéj te słowa.

„Téj nowéj szafy, którą WPan na boku widzisz, nabawił mnie nasz król Stanisław August i przywiódł do expensy znacznéj, bo com przedtém corocznie półtora talara tylko na kalendarz Duńczewskiego expensował, teraz po kilkaset złotych na nowe księgi wydawać muszę. Składam je w téj nowéj szafie, a że dyaryusze sejmów i konstytucye wiele bardzo zabrały miejsca, przeniosłem niektóre z niéj księgi do dawniejszéj. Naruszewicz znalazł miejsce gotowe między Sarbiewskim a Kochanowskim (!), Lachowskiego położyłem przy Skardze (!!);

a jeżeli, jak się spodziewać należy, tak będą iść rzeczy, jak zaczęły, trzeba będzie albo tę izbę rozprzestrzenić, albo i o drugiéj pomyśleć."

Sąd o Lachowskim zwłaszcza, kaznodziei króla, do zbytku pochlebny.

Biblioteka nastręcza myśl o czytaniu w ogóle (i w tém miarę radzi), potém o tłómaczeniach. Naostatek, z powodu porządnych budowli Podstolego, mówi się o budowaniu dworów, radzi Podstoli mury, potém o chatach dla włościan, aby zdrowe były i porządne, o dozorze pańskim, ochędóstwie, sługach; i o „poczciwych sługach starych." Taka jest treść księgi pierwszéj, w któréj obrazków mało. W miarę jak daléj idziemy, liczba ich się powiększa i dzieło na tém zyskuje.

Księga druga jest dalszém rozwinięciem programu, który z pierwszéj już jest widoczny. Zwraca szczególną uwagę na początku umieszczona obszerna rozmowa o włościanach, na swój czas wielkiego znaczenia.

Krasicki utrzymanie dawnego stosunku, to jest poddaństwa, eufonicznie zwanego stanem patriarchalnym, uważał wprost za „ruinę kraju." Nie śmiał wprawdzie wyrzec, że pragnie ich oswobodzenia, i w téj sprawie trzymając się miary i środka. Nalega tylko na podźwignięcie ich bytu, nawet we własnym interesie panów i w ekonomicznym interesie państwa. Trzeba sobie przypomnieć kiedy to było pisaném, aby ocenić odwagę, z jaką się autor

wyraża: „Dajmy na to, że rodzaj chłopski (sic) gruby, nieczuły, krnąbrny pana nie lubi, i któż tym wszystkim przywarom winien? Źli panowie. Natura nie przywiązuje talentów do kondycyi. Znałem wiele dusz chłopskich w panach, wielu chłopów, którymby Jaśnie Wielmożnemi, Jaśnie Oświeconemi, być przystało.“

Nalega Biskup na parafialne szkółki, chociaż, zgodnie z ówczesnemi pojęciami, plebanowi je powierza; życzy, aby dzieci włościan poufaléj i częściéj obcowały z dworem; pragnie oświaty.

Za jednę z przyczyn złego stanu włościan poczytuje pijaństwo i wykorzenienie go zaleca: „Trzyma pan u siebie szynk karczemny, albo go w arendę puszcza, żeby zaś jak najwięcéj mógł zyskać, ledwo do tego nie przychodzi, iż *chłopom za pańszczyznę upijać się każe.*“

Przypomnijmy sobie co w kilka lat późniéj pisał Staszic w przestrogach o stanie włościan w Polsce, porównajmy z nim Krasickiego, który mniéj szorstko a jaskrawo toż samo maluje, tego się samego domaga; przekonamy się jak pilna reforma była. Karczmarzy żydów radzi wypędzić, wódkę usunąć, piwo zaprowadzać.

Po téj dosyć długiéj pogadance, do któréj, dla urozmaicenia, wprowadza autor gościa, pana Sędziego, daje nam jeden z tych wybornych obrazków swojego czasu, których w Podstolim napotykamy późniéj wiele.

Sędzia ów przybywa z rodziną, z synami dorosłymi, z których jeden jest rejentem ziemskim, drugi porucznikiem w regimencie, najmłodszy towarzyszem pancernym. „Pan Sędzia“, powiada, „był to człowiek podeszły, wysoki, suchy, łysy. Czapka rogata, suknie długie, pikowany żupan i kłapcie u rękawów oznaczały człowieka, który się dawnych zwyczajów trzymał. Jejmość w długich kornetach, w czółku i mantoleciku felpą podszytym, prezentowała postać naszych prababek. Pan Skarbnik (zięć Sędziego), człowiek średniego wieku, ubrany był przystojnie, strój Skarbnikowéj w pół modny, pół ziemiański; jeszcze muszki z jéj czoła nie zeszły były, na skroni prawéj reprezentowały podobno Plejady, a jedna z lewego boku ust pilnowała. Pan Rejent (syn) bojąc się podobno ślinogorza, bocianowatą nieco szyję swoją muślinowym halstuchem obwinął. Wysmukłość jego wydawała się dokładnie, w opiętym kontuszu papużym, różową kitajką podszytym i żupanie tegoż koloru. Zastępowały miejsce mankietów, szeroko podwijane na żupan, od koszuli batystowe zarękawki. Pan porucznik był w kamizelce mundurowéj i fraku angielskim, włosy z przodu miał nieco ostrzyżone, z tyłu zebrane na grzebień. Najmłodszy towarzysz pancerny, w czerwonych safianowych skrzypiących butach, opasany pod brzuch, podgolony z wysoka, kuso, buchasto,

dźwigał miecz u kolan i ustawicznie ręce zacierał, pluł w bok i po czuprynie się głaskał.“

Mistrzowski to rysunkiem i kolorytem obrazek, znać w nim niepospolitego artystę. Ta rodzina poniekąd reprezentuje stan kraju na przełomie, w którym stare i nowe, zapomniane i pożyczone mięszało się w jednym domu. Opis wizyty, w czasie któréj porucznik zbiegł do panien, towarzysz do stajni, awantura z koniem, z przedziwną humorystyką wykonany. Sędzia w czasie odwiedzin opowiada kronikę „całéj ziemi.“

„Właśnie mówił o pewnym domu, pewnéj szlachcianki, do któréj pewny jegomość, w pewnym interesie bardzo skwapliwie i wielokrotnie uczęszczał, a nawet ostatnią razą był tam w Wigilią N. Panny Zielnéj. Broniła jak mogła rodzaju ludzkiego nasza Podstolina, szczęściem zaczął pan Rejent dyskurs o bluzgierach, które już z mody zaczynały wychodzić. Weszła więc w obszerny dyskurs pani Skarbnikowa, i dowiedzieliśmy się, kiedy ażusta nastały, palatynki zeszły, jakie były rewolucye salop z kapturkami i bez kapturków, jakie były odmiany rogówek, sposoby układania fontaziów. Nie dała dokończyć p. Sędzina stara i zaczęła się historya o bawetach; żużmantach, kabatach, pondelarach, szarpach, czubach i t. d.“

Wszystko to dziś przynosi nam żywy obraz tamtego świata. Obyczaje téj rodziny, któréj starszyzna, choć pocieszna, mniéj ma wad niż młode

pokolenie, pochwycone z natury z talentem wielkim. Sędzia czytał tylko Ładowskiego (Inwentarz) syn Koloandra, porucznik trawi czas w gotowalni, towarzysz pijak i burda. Próżniactwo, obmowa, opilstwo wskazane są jako wady główne staréj i przechodowéj społeczności.

Więc mowa o pijatykach potém. A tymczasem przynoszą wino, nalewają kieliszki i narzekając na ten nałóg fatalny, ani się opatrzyli jak flaszkę wysuszyli do dna. (Jak w Satyrze).

Po tym epizodzie powraca autor do chłopów, delikatnie upominając, że się im w społeczeństwie inne wyższe należy miejsce. „Naprzód ten co żywi, potém ten co radzi, naostatek ten co broni.“

„W Szwecyi, dodaje Krasicki, stan chłopski *nawet* równo z innemi sejmuje, radzi i prawa stanowi.“

Więc cośkolwiek potém o stanie szlacheckim, jego prawach i znaczeniu, coś téż o miastach i handlu, w ogóle o harmonijnym ustroju społeczeństw — ale króciuchno.

Przeskakujemy zaraz do wychowania panien, do znaczenia kobiet. Chce autor poważniejszego ich wychowania, wpojenia w nie poczucia obowiązków. „Wszystkie zewnętrzne talenta“ (kobiet), pisze, „zdatne są, piękne są, miłe są, ale nie strojeniem się żona męża uszczęśliwia, nie śpiewaniem matka dzieci hoduje, nie tańcem się dom rządzi. Trzeba do tych pracowitych obowiązków

umysłu statecznego, myśli fraszkami nie zaprzątnionych, mężnego serca.“

Resztę księgi drugiéj pomniejsze kwestye zajmują: ryby i stawy z powodu postu piątkowego; słuszne ocenienie innych narodów i cudzoziemców, w których obronie staje Krasicki, choć przejmowania cudzych obyczajów nie zaleca; daléj o grze w karty, jako rozrywce dozwolonéj, pod pewnemi warunkami (w Heilsbergu na dydki grywano wieczorami).

Z powodu nowego przybyłego gościa wpadamy na rzecz o stanie wojskowym. Historya jego jest zarazem losem wielu innych jemu podobnych. Człek ten zestarzał się w służbie rycerskiéj, w partyi Ukraińskiéj, jako namiestnik chorągwi przez lat dwadzieścia wojując z hajdamakami. Czasem go podtrzymywały largicye, które do niego jednak rzadko dochodziły. Zawakowało Chorąztwo pod znakiem, w którym był towarzyszem, dano je synowcowi Rotmistrza. Poskarżył się, zatkano mu usta Łowiectwem Wendeńskiém, chciał się strzelać, wyśmiano go. „Straciwszy znaczną część fortuny na usługach publicznych, nadwerężywszy zdrowie, okryty chwalebnemi bliznami, poczciwość tylko nie nadwerężoną z obozu wywiózł.“

Narzeka Krasicki, że w stanie żołnierskim, którego obowiązki przykre są i surowe, najczęściéj zasługa istotna, słusznéj nie odbiera nagrody. I to tylko zlekka napomknięte.

Od służby wojskowéj przejście było łatwe do koni, hodowli stad i myśliwstwa, którego Krasicki (sam trochę myśliwy) broni. Po czém o psiarni mowa, lasach, gospodarstwie koło nich (Kochanowski już na niszczenie ich narzekał) i o sadach owocowych u chłopów.

Księga ostatnia téj pierwszéj części Podstolego otwiera się rozmową o jednéj z najpospolitszych wad ówczesnych, o zajadłem pieniactwie, które Krasicki wystawił żywo w jednéj z komedyj swoich. Jak dwie poprzedzające i ta księga przeplatana jest kwestyami nader podrzędnego znaczenia, stojącemi obok najważniejszych. Krasicki, niegdy sam prezes trybunału, żywy świadek wymiaru sprawiedliwości, po kilkakrotnie w swych pismach nastaje na zepsucię sądów i sędziów, podnosi wysokie znaczenie sędziego.

Przedmiot ten przerywa obchód obżynek i zwrot do stosunku z włościanami. Zamyka uwagi piękny ów wiersz Kochanowskiego.

Tak ci bywało panie, pijaliśmy z sobą,
Ani gardził pan kmiotka swojego osobą.

Wtrącono tu śmieszną manią tytułów, których było do zbytku w Polsce. Charakterystyczne to. Szlachcic czémś być chciał i musiał, więc gdy rzeczą nie mógł, tytułem się nadstawiał, choćby *in partibus infidelium*. Daléj o zasługach przodków i ich pamięci. Podstoli ukazuje wizerunki

antenatów i dzieje ich opowiada, a w bibliotece szacowne ich notaty, które dawniéj niemal w każdym domu szlacheckim się znajdowały.

Podniesione poszanowanie przeszłości bardzo dobitnie, jako obowiązek — autor chce postępu, chce polepszenia, ale punktem wyjścia dla niego są pewne dane przeszłości, z których należało rozwijać się i rosnąć. Żałuje Podstoli i powyrzucanych na strych portretów przodków i rozwalanych domostw starych i zabytych tradycyj.

Wracają późniéj do pieniactwa jeszcze, a w plebanii schodzimy się z duchowieństwem wiejskiém i zadaniem jego. Wielkiéj wagi, na dzisiejsze zwłaszcza czasy, są wyrazy Krasickiego, do ówczesnych stosunków się odnoszące, a zawsze prawdziwe. „Nie oddzielajmy“ pisze, „kościoła od ojczyzny, obywatelstwa od duchowności.“

Tymczasem godzą się pieniacze, już jeden zaledwie ukończywszy, myśląc zaraz o drugim procesie. Reszta księgi ma różnych rzeczy potroszę, coś o nałogowych przysłowiach, a raczéj wstawkach w rozmowie, które w XVIII w. wielce były używane (Panie Kochanku — Rybeńko, tandem tedy — to tego itp.).

Te wstawki bezmyślne są rysem wieku, w którym myśl obracała się leniwo. Jak zająkliwość przez niektórych medyków uważaną jest za wadę raczéj umysłu niż organów mowy, tak te przysłowia, niczém inném nie były i nie są, tylko za-

pychaniem miejsc próżnych, gdy myśli nie stawało wątku.

Wychodząca za mąż córka Podstolego daje powód do zastanowienia się nad „dobrém gniazdem“ spadkowemi przymiotami rodów, rozporządzaniem dziećmi.

Dotknięto tu przedmiotu, który dziś do historyi obyczaju należy tylko. „Ledwo pojąć można,“ pisze autor, „jak mogą się znajdować w naturze takowe monstra, które, dla dogodzenia chciwości swéj lub zbytecznemu do jednego dziecięcia przywiązaniu, resztę wpychają do klasztorów.“ Wspomniano i o tém, że „ułomne dzieci, odrzutki panu Bogu dawano na ofiarę.“

Z okazyi małżeństw — o zapisach, dożywociach o prawach i ubezpieczeniach majątkowych, które oceniono słusznie. Tu znowu, wcale nie *ad vocem*, ani *ad rem*, wpadamy na drogi, gościńce i opłaty mostowe, potém wiarę w gusła i przesądy. Dowiadujemy się, że przy weselach prognostyki fatalne były, upuszczenie ślubnéj obrączki, zgaśnięcie świecy, przy stole rozsypanie soli, nóż z widelcem na krzyż leżący, w podróży zając przebiegający drogę, spotkanie umarłego; zawsze niedobry dzień poniedziałkowy (Młodzianków) itd.

O tańcu polskim powiada: „Ganią niektórzy nasz taniec polski, i powiadają, że to nie taniec ale przechadzka w takt. Niechże i tak będzie,

ale kiedy ta przechadzka i tańcującym miła i patrzącym, na cóż nią gardzić?“

Cudzoziemskie pląsy więcéj gani — kończy się ta część pochwałą starych obyczajów: „Stare obyczaje, nie dla tego szacowne, że stare. Była w dawnych nieprawość, ale ten, który z występku korzystał, z występku się nie chlubił. Jeżeli więc dla tego wiek nasz oświeconym zowiem, że się w nim śmieléj być niepoczciwym godzi, wolę ja dawną dzikość, nad dzisiejszy polor.“

Taka jest treść wydanéj naprzód pierwszéj części Podstolego; przedstawiliśmy ją dość szczegółowo, idąc za autorem, aby dać wyobrażenie o książce zapomnianéj, która była i jest wielkiéj wartości. Jest to zarazem dokument historyczny i artystyczne ustępy w nim z talentem wykonane. Podstoli pobudzał do myślenia, do rozprawiania, zastanawiania się nad kwestyami, na które wprzód nie chciano lub nie umiano zwrócić baczności. Po dworach każdy ustęp wywoływał żwawe dyskusye, a zdrowy sąd autora trafiał do przekonań i reformom torował drogę, księga to była nieoszacowana i przyjęto téż ją, jak niemal wszystkie pisma Krasickiego z nadzwyczajném zajęciem.

Wpływ tego dzieła na wyrobienie się w kraju opinii i przekonań, które objawił sejm czteroletni, daleko jest większy, niż dotąd uznawano.

Związek idei dałby się łatwo wykazać.

Przedmiot niewyczerpany wcale, i przyjęcie ja-

kiego doznał pan Podstoli, skłoniły autora do wydania drugiéj części, w sześć lat po pierwszéj, w r. 1784. Nie możemy jéj pominąć, zbywając kilku słowami.

Mimowolnie czy rozmyślnie, część wtóra trzyma się jakoś w zakresie rodziny i domu głównie. Mniéj tu kwestyj donioślejszych, zadania na pozór drobne, ale w życiu powszedniém mają one wielkie znaczenie. Wiele przedmiotów powtarza się z małemi warjantami. Coraz téż więcéj obrazów z życia wziętych, postaci z natury przewybornie odwzorowanych, więcéj ruchu, jak gdyby Krasicki uczuł, że w pierwszéj części zbyt było kazań i deklamacyi. Obrazy współczesnego życia są tu liczne, a tak szczęśliwie nakreślone, że radzibyśmy wszystkie je wypisać niemal i z zapomnienia dźwignąć. Mało dziś w kunszcie powieściopisarskim wykształconych na nowych wzorach pisarzów, którzyby żywością barw, prawdą fizyognomii tym obrazkom Krasickiego zrównali. Materyał to nieoszacowany do wizerunku wieku. Chcemy się o prawdzie tych epizodów przekonać, porównajmy obrazek częstującego natrętnie, na klęczkach zmuszającego do picia szlachcica, z podobnemi opisami własnych przygód Matusewicza.

Jakże doskonale odmalowana nędza wsi opuszczonych, majętności sierocych, zaniedbania i nieładu! Sierocińskie to mienie, sierocińskiego kraju jest obrazem. Autor mówi z tego powodu o tak

szkodliwym, w końcu XVIII w. zagęszczonym, po dzisiejsze czasy w obyczaju będącym, absenteizmie i próżniaczéj po za granicami włóczędze, o niepilnowaniu obowiązków gospodarza.

Całe dwa pierwsze rozdziały, poświęcone obrazowaniu, bardzo są piękne, równie jak przyjmowanie przez panów Ekonomów Cześnika Wendeńskiego. Patrzymy na to, jak się majętności marnowały i ruina przysposabiała.

Przyczyn absenteizmu, wstrętu do kraju, lekceważenia obowiązków szuka autor w wychowaniu cudzoziemskiém, które młodzież obcą czyniły w domu. Wesele córki Podstolego, ukazuje nam, jaką gościnność bywała i być powinna. Występują tu nieoszacowane, dobitnie kilku prostemi słowy wywołane postacie, Podstolego drugiego, Podczaszego, Skarbnika, Miecznika i Cześnika.

Krasicki, który sam dobry stół lubił i dbał oń, daje i w tym przedmiocie naukę, jak jeść potrzeba i żywić. Przy obrzędzie weselnym wzmiankowana, dziś zapomniana tradycya.

„Gdy przyszło do tańców, zachowany był *staroświecki zwyczaj* w ceremonialnym, przy asystencyi należących i sąsiadów: ostatni był w kolei ojciec, który w rękę panu młodemu córkę oddał.“

Jest tu i nauka przez rodziców na piśmie dana córce, także wedle dawnego obyczaju.

Następująca księga obfituje téż w obrazki. Krasicki z rozmaitych stron i na wszelki sposób stara

się o rozwiązanie swojego głównego zadania, jak stare pogodzić z nowém, co przyswoić, co odrzucić. Jakeśmy to już wskazywali, wszędzie z wielką oględnością i umiarkowaniem radzi jak najwięcéj zachować, jak najostrożniéj zmieniać, przyswajać powoli. Bardziéj plastycznie drobne kwestye rozwiązują się w téj części. Dotknięto mnóstwo nałogów, nawyknień narodowych — lenistwa, żartów w rozmowach, pisania listów, czytania gazet, itp. Po długim pobycie wyjeżdżamy nakoniec, po zwykłém przed podróżą nabożeństwie, z domu Podstolego. Nawiasem zapisuje Krasicki, iż płeć niewieścia nadto była pochopną do chwytania byle coś nowego.

„Młodzież nasza z cudzych krajów, zamiast poloru, przynosi bezbożność, zuchwale swój towar sprzedaje, a i płeć już niewieścia, *co to przedtém uprzedzała nas w cnocie,* przenosić zaczyna w zapamiętaniu i bezwstydzie. Trzeba będzie podobno, mości księże plebanie, wyrzucić z brewiarza owę antyfonę, gdzie kościół święty płeć niewieścią pobożną nazywa.“

Po drodze łapie podróżnych i ugaszcza gwałtem pan Łowczy. Tu śliczny opis starego dworu. Daléj przyjęcie w zimnym folwarku, dom i gospodarstwo Łowczego; spór w tańcu, historyą Tarły przypominający — wszystko z niezmierną prawdą oddane.

Zaczepia autor w téj księdze zakony, ale bez

ironii i żartu; mówi o jarmarkach, o dworach magnatów, o wojskach nadwornych, które historyczną koniecznością ich pierwotną tłómaczy. W księdze trzeciéj powtarza się wiele z tego, cośmy już słyszeli, dopełniając coraz nowemi uwagami. Więc znowu dwór i stosunek jego do wsi i wieśniaka, opieka nad chatą, nad choremi, oficyaliści. Do włościan i ich stanu zwroty, jak widzimy, częste, zawsze pełne dla nich serdecznego współczucia. Autor zdaje się szukać ciągle zręczności, aby mówić o nich i zajmować się nimi.

Mniéj właściwie pomieszczone tu są całe instrukcye dla komisarzy, marszałków dworu, plenipotentów i pokojowéj młodzieży. Wracamy jeszcze do chłopów, potém i ich oświaty. „Trzeba oświecać poddaństwo, pisze, *ale w mierze.* Uczą się dzieci w szkole pisać, czytać, rachować. Żona bakałarza dziewczątka uczy nietylko pisać, czytać ale i robót, żeby w czasie mogły téż pracą rąk swoich zarabiać. Gdy który z chłopców miejskich nadzwyczajną ma bystrość, oddawać go każe do szkół wyższych, sposobni do roboty uczą się rzemiosła.“ Na ten czas były to zasady bardzo postępowe, ale już téż książę Stanisław Poniatowski, Brzostowski, Chreptowicz wprowadzali je w życie.

Mnóstwo tutaj potrąca drobnych przedmiotów, oszczędność, kapitały, wychowanie córek, młodzież, wybór stanu, sługi i t. p. Mowa jest przy wychowaniu niewieściém o romansach, które Kra-

sicki klasyfikuje w sposób następujący: Naprzód stawi romanse rycerskie, lub miłosne, umiarkowane i przyzwoite; po nich najszkodliwsze, sentymentalne, których czytania młodym pannom nie dopuszcza, dla maxym skażonych i dziwactw. Ostatni rodzaj określony jest niejasno: „Rodzaj trzeci jest ten, który wdziękiem historyi słodzi przepisy obyczajności.“ Dodaje, iż tego rodzaju panny nie czytują.

Z krótkiego tego zarysu widzimy, że część druga różni się od pierwszéj, więcéj sposobem pisania niż przedmiotem.

Znacznie od obu pierwszych późniejszą jest trzecia i ostatnia część Podstolego, napisana w lat czternaście po drugiéj, w roku 1798, gdy Krasicki postarzał i okoliczności zmieniły się wielce. Dmóchowski znajduje, że materye w niéj mniéj ważne, niewiele się ona niemi różni od drugiéj części. Za to obrazy, charaktery, wizerunki się mnożą, a w nich nie ustarzał autor i jako malarz, współcześnie równego nie ma. Tu znowu miłośnik ogrodów, powraca do tego przedmiotu, rozszerzając się o dawnych, nowych, owocowych, angielskich i t. p. Utrudzające przerzucanie się z przedmiotu jednego do drugiego, bez żadnego między sobą związku, w téj części mocniéj się jeszcze czytelnikowi czuć daje. Ale, gdzie tylko maluje i opowiada, wiernym jest historykiem obyczajów swojego czasu.

Nadzwyczaj trafnie wytknięty zwyczaj dawny nie-

ustannego jeżdżenia po domach szlacheckich, gdzie się „ustawicznie kurzyło w kuchni.“ — Poczynał się dzień, jeźli nie od kawy i czekolady, bo tych mało jeszcze znano, to od rosołu, w poście dawano polewkę lub piwo z serem. Przed obiadem wódkę zastawiano i kiełbasy. Śniadanie kończyło się o jedenastéj, a o dwunastéj podawano obiad; we trzy godziny potém podwieczorek, za nim wieczerzę tak jak obiad obfitą i do snu jeszcze — podkurek.

Z obrazów przywiedziemy wizerunek pana kasztelanica, w trzewikach modnych nakształt łyżw, kończastych i wyniosłych, z pałką w ręku krótką tak, aby się na niéj oprzeć nie można, z strzępkami u kolan; — dom ze starego odnowiony, dwór pani podkomorzynéj, opis staroświeckiego ogrodu, majętności opuszczonéj i t. p.

Dotknięto tu kwestyi mięszania się kobiet do polityki, niepotrzebnego wcale, czego Krasicki świadkiem był czasu Sejmu czteroletniego; — podziału majątków, wreście królewszczyzn i starostw, o których wzmianka zdaje się dowodzić, że trzecia część wcześniéj, niż Dmóchowski podaje, napisaną była.

Czwartą część Podstolego jeszcze gotował Krasicki, według Dmóchowskiego, i miał w niéj przedstawić pułkownika, którego nam ukazał w części trzeciéj, dziwaka i mizantropa, śmierć mu już dopełnić nie dała pomysłu.

Rozwiedliśmy się nieco obszerniéj o Podstolim,

jednem z dzieł Krasickiego, które wpływ największy wywarły. Jako artystyczny utwór, całość nie wytrzymuje krytyki, chociaż szczegóły są bardzo piękne; treść nieoszacowaną jest jako materyał do dziejów ducha i obyczaju. Pracującym nad tą epoką częściéjby zajrzeć do Podstolego należało, niż się dotąd zaglądało.

W roku 1779 wyszła téż raz pierwszy, Historya na dwie księgi podzielona.

W pewnéj bibliotece, gdzie była nie pomnę,
Powadziły się księgi; a że niezbyt skromne,
Łajały się do woli różnemi języki,
Wchodzi bibliotekarz, pyta się kroniki:
Dla czego takie wrzaski? dla tego się swarzem,
Iżeś mnie śmiał położyć obok z kalendarzem.
Wszystko się tu porządnie, rzekł jéj, posadziło,
On zmyśla to, co będzie, ty zmyślasz, co było.

W bajce téj Krasickiego mieści się myśl główna Historyi na dwie księgi podzielonéj. Powieść tę, można zaliczyć do trzeciego rodzaju romansów, wymienionych w Podstolim, który „dodaniem historyi słodzi przepisy obyczajności“ — ale, którego kobiety niechętnie czytają. Współczesny Dmóchowski świadczy też, iż Historya nie była tak sympatycznie przyjęta przez czytelników, jak inne pisma Biskupa, a usprawiedliwia to małém jeszcze nawyknieniem ogółu do pism podobnych.

W istocie historya nie mogła bardzo zająć czytelników, ani płci męzkiéj ni niewieściéj. Dla kobiet była za poważną, dla mężczyzn za fantastyczną, a od szkół nawykli byli historyą szanować wielce i aż zanadto się tą mistrzynią powodować w sądzeniu teraźniejszości. Żarty z historyi wydawały się trochę za śmiałe. Krasicki chciał krytyki zdrowego rozsądku spróbować na starych dziejach bajkami zarosłych, poezyą ukwieconych, wypowiadających często raczéj to, o czém naród marzył, niż co przeżył. Voltairowskie:

Et c'est ainsi qu'on écrit l'histoire, krytyki Bayle'a, zachęcały do téj próby, do któréj Krasicki za mało miał zasobu erudycyi, a może i zbyt wstrzemięźliwą fantazyę.

Jak zawsze trzymał się i tu środka, nadto był ostrożnym, uczynił więc z historyi téj coś połowicznego, co nikogo zaspokoić nie mogło.

Początek wyśmienity z obrazkiem kozaka, w karczmie między Biłgorajem a Tarnogrodem zapalającego fajkę kawałkiem papieru, lecz gdy kozak znikł, zaczyna się opowiadanie, które nas prowadzi w światy jakieś szare i zimne okrutnie. Autorem historyi jest nowy rodzaj Ahaswerusa, człowieka wiecznie się odmładzającego, którego Krasicki po części zapożyczył z Gulliwera. Jest on żywym świadkiem dziejów, które nam opowiada, inaczéj wyglądających, niż urzędowa historya. Krasicki czytał wiele, wykształconym był encyklopedycznie, widać to

z rzeczy o rymotwórstwie i ze zbioru wiadomości, wszakże na taką krytykę dziejów zapasu mu nie starczyło.

Zbyt oględny, dzielniejszą fantazyą, którąby wiele wypełnić mogła, posiłkować się wahał. Odmładzający się autor, począwszy od Aleksandra W., Diogenesa, Kartaginy, przez Amilkara, Annibala, Efezus i Ateny wędruje do Rzymu i Lukullusa, do czasów Attyka i Augusta. Maluje nam po swojemu Tyberjusza, Nerona i następców jego do Tytusa, dostaje się przez Marsylję do Galii, wraca do Indyi i Chin, i znużony tą długą drogą przeskakuje do Polski, na czasy Lecha, Piasta, Rzepichy. Epizodycznie ukazuje się jeszcze Byzancium, upadłe Ateny, Rzym papieski, Ottonowie, potém Mieszko i Ryksa.

Wszystko to pracy musiało kosztować wiele, a przedstawia się jak rodzaj pensum zadanego sobie i rozwiązanego nie bardzo zręcznie i śmiało.

Pomysł był oryginalny, nie odpowiedziało mu wykonanie. Czuć w tém niewielką liczbę źródeł użytych, niezupełne ogarnięcie przedmiotu, wahanie się, ciągle polot fantazyi hamujące. Krytyka nie równie zuchwalszą być mogła, gdyby miała się na czém oprzeć, co postawić w miejsce zmyśleń. Nie tyka ona bajecznych postaci, nie obala wypadków kłamanych, oczyszcza tylko stare posągi i rektyfikuje pojęcie czynów.

Wszystko po staremu zostaje aż do Lecha, tylko

czcigodny pradziadek prozaiczniéj wygląda. Legendy Krakusowe, Wanda, dwunastu wojewodów, utrzymali się na swych miejscach, z poetycznego wdzięku odarci i przetłómaczeni prozą, mniéj jeszcze od zmyśleń wartą. Krytyka kronikarzy nadzwyczaj słaba.

Całość powieści, mimo zalet stylu i niektórych piękniejszych epizodów z życia odmładzającego się autora, czyni wrażenie rzeczy zlepionéj mozolnie i chybionéj.

Krasicki, posłuszny zadaniu wieku, chciał obalać i oczyszczać, zdrowym rozsądkiem prostując zboczenia bajarzy. Zdrowy ten rozsądek, chłodny, mający przewodniczyć krytyce, okazał się bezsilnym, logika jego często fałszywą, ogólna znajomość natury ludzkiéj, jakoby zawsze i wszędzie jednéj i niezmiennéj — niedostateczną. Ludzie z wieku XVIII, postawieni w wiekach odległych, rażą swoim anachronizmem. Aleksander wygląda trochę na króla pruskiego, Diogenes na jednego z niedoszłych filozofów, sprowadzonych z Francyi, Lukullus na dorobkowicza.

Dziwić się nie można, że historya powodzenia nie miała, nie była ona w żadnym związku z życiem i jego aspiracyami, nie odpowiadała żadnéj potrzebie. Bartoszewicz utrzymuje, że upatrywano w niéj krytykę na łatwowiernych badaczów przeszłości, a mianowicie Biskupa Załuskiego. Trudno się tu tego dopatrzeć, a stosunki jakie łączyły

Krasickiego z Biskupem rzecz tę mało prawdopodobną czynią.

W dawnéj polskiéj literaturze, nie mamy prawie Bajek. Jest to bardzo naturalném, nikt nie potrzebował mówić pod figurą, co mógł głosić i wypowiadał bez żadnéj obawy, a swoboda przekonań i słowa była tak nieograniczoną, iż się ukrywać z myślą było tchórzostwem śmieszném. Bajka rodzi się dopiéro w tym czasie, gdy walka opinii czyni ją potrzebną i przewaga wielka stronnictw każe się taić z przekonaniami.

Za Zygmunta III, dawniéj jeszcze obiegają paskwilusy, gorsze od bajek, i to ma swe znaczenie. Za Stanisława Augusta swoboda położeniem kraju i jego stosunkami znacznie jest ograniczoną. Jeden z pierwszych Krasicki chwyta tę formę i zużytkowuje ją, robi z niéj rodzaj satyry, epigrammatu. Przypada ona tak doskonale do jego talentu, iż jest w niéj mistrzem nie do naśladowania.

Z całéj po nim spuścizny, bajki i satyry są częścią najkunsztowniejszą, najlepiéj nam ducha pisarza i wiek malującą.

Bajki téż te, wprzód jeszcze nim drukowane były, rozbiegają się po kraju, rozchodzą z ust do ust, a cząstki ich wrastają w język, stają się przysłowiami. Połowę ich przynajmniéj wszyscy na pamięć umieli. Sąto poemaciki tak skończone

tak wydłutowane, wygładzone jak pieścidełka, iż się równają częstokroć wzorom swym z anthologii greckiéj.

W pierwszych zwłaszcza, autor widocznie się starał zamknąć je w jak najmniejszéj liczbie wierszy; nie ma tam próżnego słowa, ani wtrąconego bez myśli. Treść bajek przeważnie satyryczna; znaczniejszą ich część widocznie natchnęły wypadki współczesne, ludzie działający na scenie. Pomimo, że dziś pamięć tych osób, stosunek do wypadków znacznie się zatarł, w wielu jednak czuć natchnienie bezpośrednie epoki, można niemal wskazać genezę i prototypy.

Są li to w ścisłém znaczeniu wyrazu bajki, epigramata, ucinki czy powieści? nie widzimy potrzeby określać. Znaczniejsza liczba ich bajkami się nazwać może, ale to są bajki Krasickiego a bajka jego ma swój własny charakter. Nie jest to ani Ezop, ani Fedr, ani Pilpaj, ani nawet Lafontaine, jest to — nasz Krasicki — Bajce swéj nadał piętno zupełnie odrębne.

Najpiękniejszą ona jest, gdy we czterech, sześciu lub ośmiu wierszach, z nadzwyczajną zwięzłością, mieści założenie, dramat, rozwiązanie dowcipne, a czasem słówko morału.

U Krasickiego, gdy on jest najbardziéj sobą pisze pod wpływem natchnienia, bajka woli mieć do czynienia z człowiekiem wprost, niż z ludźmi poprzebieranymi za zwierzęta. Ogólna ludzka na-

tura przybiera w nich cechę wieku, koloryt sfe[r] w których się myśl poety obracała.

Zupełnie w sposobie tych epigramatów, baje[k] mnóstwo ucinków krążyło w czasie panowan[ia] Stanisława Augusta. Czasu sejmu czteroletnie[go] obiegające mnogie zagadki, charakteryzujące osob[y] działające, są ich naśladowaniem. Chciano pochw[y]cić formę Krasickiego, ale, chociaż wielu z ni[ch] Niemcewicz był autorem, nie mają zagadki t[ej] doskonałości, wykończenia, téj delikatnéj rzeźb[y] jaką swoim nadał Krasicki. Bajek Węgierskieg[o] Trembeckiego i innych współczesnych ani moż[na] porównywać z niemi.

Cudnéj jego zwięzłości, blasku, swobody ruch[u] życia, nikt nie ma.

Mniéj już wykończone i cale różne są baj[ki] dłuższe, a raczéj powieści. Możnaby powiedzi[eć] o nich, co któryś pisarz francuzki, spiesząc s[ię] z napisaniem memoryału: że autor nie miał dos[yć] czasu, aby je krótszemi uczynić. Ale i w ty[ch] poeta niekiedy dowcipem, rześwością swą najc[zel]niejszym bajkopisarzom równa. Bajki téż Kr[a]sickiego, gdy sąd sprawiedliwszy przyjdzie na p[o]zyą w ogóle, pozostaną w literaturze jako jed[en] z jéj klejnotów.

Dla nas zbiór bajek ma, oprócz swéj artysty[cz]néj wartości, niepospolitą jeszcze jako świadect[wo] ducha wieku, zrodziły się one ze krwi i łez sw[o]jego czasu. Może to być wadą dla zapatrującyc[h]

się inaczéj na kwestyą tworzenia poetycznego, dla nas stanowi zaletę; nie byłyby one tak żywe, gdyby z życiem nie miały związku; nie byłyby tak ciepłe, gdyby się u łona jego nie zagrzały. Król, dwór, obyczaj wieku, wybitne jego postacie, znajdujemy w nich odwzorowane, a choć czasem skóra zwierzęcia okrywa maskę, z pod niéj ludzka twarz widnieje.

Zastanówmy się nad takiemi bajkami jak: Słońce, obłoki i ziemia; Trzcina i chmiel, Chleb i szabla, Konie i furman, Wilk i owce, Lew, jagnię i wilk, Nocni stróże, Kulawy i ślepy, a dostrzeżemy w nich łatwo jawny związek z wypadkami współczesnemi. W niektórych odbija się wyraziście walka króla z oporną szlachtą, która z nim iść nie chciała.

Nie możnażby zaręczyć, że myszy natchnął sejm czteroletni i kwestya aliansów a zachowania się względem potężnego sąsiada?

Każdy się swoim zatrudnia kłopotem,
Myślały myszy, co tu robić z kotem:
Mówiły jedne, darami go skusić,
Mówiły drugie, lepiéj go zadusić.
W tém się odezwał szczur szczwany, bo stary:
Próżne tu groźby, próżne i ofiary;
I dary weźmie i przysięgi złamie,
Najlepiéj cicho siedzieć sobie w jamie.
A opatrzywszy zewsząd bez łoskotu
Ani być z kotem, ani przeciw kotu.

Nie przypominaż to memoryału ks. de Ligne (1788), który pisze: *Si Vous rémuez, Vous êtes morts.*

Bajek takich, któreby się politycznemi komentarzami opatrzeć dały, jest mnóstwo. Tak samo też zawierających współczesne wizerunki i portrety. Puhacze, w których małżonka puhaczowa i młode puhaczątka są jawnie portretami, a ostatnie słowo podobno historyczném, oryginały wskazywano niedawno.

(Nie każdemu dał pan Bóg rodzić się puhaczem!).

Synogarlicy treść jest wziętą z wypadku pewnéj pani; tak samo Jastrząb i sokół. Wilczek jest portretem i Wół minister [1]) także. Brak tylko podpisów.

Krasicki znał i czuł czém było życie dworskie, bo dwóch monarchów był poufałym powiernikiem, maluje też je w bajkach często i dobitnie. Na dowód przywiedziem bajkę: Rumak i źrebiec, z czasów czteroletniego sejmu (posłaną Niemcewiczowi). Źrebiec i koń stary, Słonecznik i fiołek, Wyżeł i brytan, Pan i pies, Kogut.. Możnaż lepiéj, jak w nich, odmalować losy dworaków i życie na dworze?

---

[1]) Zobacz w Myszeis ministra, który nie był modny.

Cóż lepiéj obyczaj wieku odwzorowuje nad taką bajkę jak: *Bryła lodu i kryształ.*

Bryła lodu spłodzona z kałuży bagnistéj,
Gniewała się na kryształ, że był przeźroczysty.
Modli się więc do słońca. Słońce zajaśniało,
Ślni się bryła, ale jéj coraz ubywało.
I tak, chcąc los polepszyć, niewczesnym kłopotem
Stajała, wsiąkła w błoto i stała się błotem.

Od królewskiego blasku ileż to takich dorobkowiczowskich brył lodu stajało?

Szczep winny jest wyborną przeciw pijaństwu Satyrą.

Z pawia, lwa, małpy, staje się świnia.

Dąb i dynia stanąć może przy Bryle lodu. I tu znowu owi dorobkiewicze, co po indigenaty sięgali, a puściwszy się z panami na wyprzódki, stajali na błoto.

Do natchnionych okolicznościami instynkt ogółu zaliczył dawno ptaszków w klatce. Tak było i z wielą innemi.

W kwestyi włościan tak serdecznie dotkniętéj w Podstolim, są:

Wino i woda, Owieczka i pasterz i wiele innych.

A tenże następca cesarza chińskiego, który płynąć musi i zabawia się, tak, że o mało łódki nie wywrócił, nie jest li to Stanisław August?

Łódka tron, lud jest morze i unosi snadno,
Kiedy *sternik niebaczny,* łódka idzie na dno.

Czasem bajka przestraja się w jakąś miluchną fantazyą i obrazek.

Takim jest Skowronek, posłany przez Krasickiego Niemcewiczowi. Rzekłbyś, pejzażyk ręką Boucher'a rzucony na płótno.

W czasy gorące, na łące
Pasły się społem, osieł z wołem,
Tamten chróstem, ten trawą,
A pomiędzy murawą,
Tam, gdzie kwiaty i ziółka
Pszczółka.
Chwytając motylki, zbierając robaczki
Bujał skowronek nad krzaczki.
Na jednéj łące wszystko się to działo:
Pszczółka brzęcząc, w ul niosła zdobycz okazałą;
Chwast z trawą, to użyczał;
Osioł beczał, wół ryczał;
Skowronek wzbijając się, czule i radośnie
Dawał wdzięk wiośnie.

Wiosną był sejm czteroletni, bodaj Niemcewicz Skowronkiem; osłem, lękam się, żeby nie Kasztelan Łukowski; wołem Aristides polski, a nie wiem już kto pszczołą.

Niekiedy ulubiony zwrot Krasickiego, użyty w Satyrze o pijaństwie, z warjantem się powtarza.

(Zgrał się szuler w chapankę... i t. d.).

Do wielu niemożliwych radykalnych reform sejmu czteroletniego, wybornie się stosują: Pszczoły. Bywały w istocie chwile — gdy bez miodu, wosku i bez człeka chciano się obejść.

W późniejszych Krasickiego bajkach, przez Dmochowskiego nazwanych nowemi, a które miły komentator ich p. G. Ehrenberg zowie niewykończonemi zarysami, bajka przeistacza się w powieść. Pierwsze są krótkie, ucinkowe, trzymane umyślnie w zwięzłéj formie starożytnego kroju; późniejsze coraz się wyciągają, rozwlekają, przybierają charakter opowiadań.

Zmienia się i ton ich znacznie, wieje z nich smutek, dowcip mniéj świetny, wesołość stłumiona, słowo nie tak dosadne, forma nie tak wyrzeźbiona starannie. Tak naprzykład, kuglarze, już się do bajek liczyć nie mogą, choć są w nich nader zręczne zwroty; tak, Czapla, ryby i rak, Puhacze i t. p.

Morał często, jak w Kuglarzach, nie jasny, akcya jak w Czapli, rybach i raku zdwojona, przeciągnięta i dramat na jedności i sile traci.

Bajki do nieskończonych uwag dostarczyćby mogły treści. Wykład ich znaczenia moralnego, napisał p. G. Ehrenberg (Kraków 1771) unikając zdaje się umyślnie bliższego ich zastosowania do czasów, z których powstały i do których należą.

Oprócz bajek, które Dmochowski wydał z rękopismów, dawszy im tytuł nowych, dosyć jeszcze

pono niedrukowanych pozostało, ale one niedorównywają pierwszym księgom.

Wiele epigrammatów formą bajki przypominających, z powodu swéj treści drażliwéj, drukowanemi nie były. Wspomnimy tu tylko, jawnie zastosowany do upadku księcia Adama Ponińskiego:

Póki trwała chapanka między Kartowniki,
Bił kinal z pancerolą, tuzy i wyżniki.
Skończyła się chapanka, zaczęto grę inną,
Aż owa pancerola, szóstką tylko winną.

Przypisywano Krasickiemu i ów wiersz: *Snycerz,* zastosowany do hetmana Branickiego, który pomieszczono późniéj w dziełach Trembeckiego. Trembecki dla hetmana w r. 1773 pisał Epithalam na niedoszłe małżeństwo z księżniczką Teodorą Jabłonowską, a skarcił go potém w r. 1789 wierszem: „Ma Pan rozum.“ Snycerz, choć go mieszczą w zbiorze Trembeckiego, bodaj czy nie należy Krasickiemu.

Snycerz za to, że sobie na klocu odpoczął,
Statuę Herkulesa z niego robić począł.
Jeszcze rąk niedokończył, aż rycerz zuchwały,
Nie kontent, że był w sieni, chciał osiąść dom cały.
Zląkł się snycerz nad takim wdzięczności owocem,
Uciął ręce i nogi, a kloc został klocem.

Ktoś z przyjaciół Hetmana miał na to odpowiedzieć:

Niechaj się tego kloca lęka snycerz przecie,
Bo gdy się drugi majster wynajdzie na świecie,
Który jak tę zepsutą robotę naprawi,
Pewnie tego snycerza i dłuta pozbawi.

Chociaż asumpt do bajek daje epoka i ludzie jéj, wyciągnięty z nich morał, wyżéj nad czas stoi i znikome jego postacie. Prawdy z nich płyną wiekuiście prawdziwe i stosujące się wszędzie a zawsze. Jak we wszystkich swych dziełach Krasicki naucza umiarkowania, wstrzemięźliwości, przypomina ludzkich rzeczy zmienność, słabość rachub naszych i ślepotę, boleje nad namiętnościami, z których się poprawić nie możemy. Wzorów dostarczył wiek ośmnasty, ale i w dwudziestym znajdą one zastosowanie.

W ciągu lat pracowitych i wydaniem dzieł tylu oznaczonych, Biskup Warmiński osiedlał się i zagospodarowywał na starém zamczysku swém biskupiém w Heilsbergu, już przez Grabowskiego wyrestaurowaném, obszerném bardzo, ale wytwornemu smakowi, artystycznym fantazyom pańskim, niewystarczającém. Trzeba było pomieścić w niém dwór liczny, zbierającą się bibliotekę, obrazy, bronzy, sztychy, których Biskup był miłośnikiem. Wielki lubownik kwiatów, ogrodu, drzew, książę sadził, wycinał, przerabiał, stroił stary wirydarz biskupi i do niepoznania go upiękniał. Sprowa-

dzano wody do kaskad i fontann, zamawiano posągi.

Na zamku przerabiano coś nieustannie, apartamenta się ozdabiały, formowała galerya obrazów familijnych, sławnych Polaków i dawnych biskupów.

Liczba otaczających księcia ciągle się pomnażała; przybywali bracia aspirujący do kanonij Warmińskich, często bratowa z dziećmi, krewni, znajomi, duchowni, naostatek i artyści, których Biskup lubił i potrzebował.

W r. 1777 wspomina w swéj podróży Bernoulli o spotkaniu się z ks. Biskupem u Opata w Oliwie pod Gdańskiem i pisze, że Krasicki przypomniawszy go sobie z Berlina, rozmawiał z nim długo, naturalnie o sztuce i o ogrodach.

Krasicki dosyć miał zamiłowania dla sztuki, korespondował ze sławnym Marteau, który, siedząc w Białymstoku, ciągle coś dla niego malował; rysowała mu pani Anna Charczewska, a często przebywali artyści, ściągani z Warszawy.

W r. 1779 był jakiś niedoszły projekt sprzedaży Dubiecka; w lutym Krasicki wybierał się do Królewca, chciał tam zabawić i z jaskółką do Heilsberga powrócić. W styczniu zajmowało go, między innemi i zaopatrzenie piwnicy, bo dwór książęcy pił dużo. Pisze (2 stycznia) do brata Antoniego: „A po czemu tam wino węgierskie stołowe, wytrawione, smaczne? A po czemu ma-

ślacz dobry do konserwacyi? A po czemu wino już wystałe, coby środek trzymało między stołowém a maślaczem?" W liście tym, co się rzadko trafiało, wspomniał Krasicki swoje Satyry, które bratu posłał.

Owe gniewy i dąsy na niewdzięcznego ongi Mineta, w Warszawie, ustąpiły teraz zupełnie; szacowano wysoce księcia Biskupa Warmińskiego, a Stanisław August pod wrażeniem popularności i sławy, jaką sobie zdobył pisarz, nietylko mu winy przebaczył, ale chlubił się nim, jako ozdobą swojego panowania, jako, poniekąd, dziełem rąk własnych. Krasicki téż, choć jak najlepiéj widziany i lubiony przez Fryderyka II, a niezaniedbujący Berlina, nie zapominał o Stanisławie Auguście. We wszystkiém co pisał, wzmianki, alluzye, pochwały króla są liczne.

Brzmiała już sławą księcia Biskupa Warmińskiego Warszawa, Gröll sprzedawał każdą jego książkę, cyfrą X. B. W. oznaczoną w niezwykłéj dotąd liczbie egzemplarzy i wydań.

W roku 1780 Gröll, nakładca zwykły Krasickiego dzieł, ogłosił prospekt na obszerny: *Zbiór wiadomości*, rodzaj encyklopedycznego słownika, ułożonego przez Krasickiego. Nie odważył się jednak na to przedsiębiorstwo, nie ogłaszając prenumeraty, rzeczy w Polsce nowéj i niesłychanéj. Cena całego, z dwu wielkich tomów składającego się dzieła wynosić miała dwa czerwone złote.

Położone na tytule X. B. W. było zaleceniem najlepszém. Prospekt rozesłano przy dziennikach. Rachował pono Gröll na trzystu prenumeratorów, a nie znalazł ich i dwóchset. W owym czasie, gdy na beczkę wina węgierskiego często stu czerwonych złotych nie żałowano, a beczka na kilka dni nie stawała, dwa czerwone złote dać za książkę zdawało się nader uciążliwém, bo mało kto do niéj mógł zaglądać. Nie powiódł się ów zbiór wiadomości, do których Gröll może dopłacił. Encyklopedya ta, owoc pracy długiéj i zmudnéj, mieści w sobie moc rzeczy, a jak wszystkie encyklopedye, ledwie się na co przydała. Notatki są krótkie, niedostateczne, niewyczerpujące, niedokładne, polskich w niéj rzeczy wiele z różnych źródeł, obcych téż dosyć. Bądź co bądź, myśl sama takiéj encyklopedyi była coś warta, ale Krasicki nie zadał sobie pracy jéj rozwinąć.

Zbiór wiadomości przedrukował Dmochowski w dodatkach do pism Krasickiego.

Mogąc rachować na bardzo dobre u dworu przyjęcie, Krasicki, w czerwcu (1780), jak się zdaje, wybrał się w odwiedziny do stolicy. Nie zawiodły go nadzieje, gdyż dnia 3 lipca pisze do brata: „Ja ztąd za niedziel dwie wybieram się, *comblé des bontés* — dorozumiewaj się WPan reszty.“

W późniejszym liście już z Heilsberga (23 lipca) „pisanym przy słupie galeryi, bo tak gorąco, że w izbie wysiedzieć nie można“ dodaje: „Wyje-

chałem z Warszawy d. 17 p. Podróż miałem dosyć miłą, ile że mnie w Górze przyjmował książe synowiec królewski (ks. Stanisław Poniatowski, Podskarbi W. X. L.), a w Waliszewie książe Biskup Płocki. Przyjechawszy onegdaj, jeszcze się rozpatrzeć nie mogę, i w zwyczajném jestem zbałamuceniu, co się zapewne i WPanu trafiło, gdyś z Ukrainy do Dubiecka przyjechał.“ Zajmowało mocno Biskupa znowu przerabianie i urządzanie się na zamku, które powtarzało się pono co roku.

We wrześniu znowu (2 wrz.) długi list wysyła do brata Antoniego.

„Jeden respons na trzy moje listy odebrałem, a było go półtoréj ćwiartki, a miało być *secundum concordatum,* rachując każdy list pół arkusza, arkusz jeden cały i pół. Więc kwita za owe wymówki, gdym z Łazienek *laconice* pisał.“

„Ja tu solennitates czynić nie mogę, siedzący jako jaki pustelnik za światem, między morzem na piasku.“

„Nie wiem czy już doszła WPana moja *Wojna Chocimska*, jeżeli nie, każ ją od Grölla sprowadzić, ale rozumiem, że i we Lwowie téj księgi dostanie, ponieważ i tam ma Gröll swoją księgarnią, wyszła także odpowiedź na Wojnę Mnichów. Niechże się nie gniewają, albo też niech się i gniewają, jeżeli im się tak podoba, a do tego i zdrowo. Insze pisma kawałkowe wyjdą po-

tém z druku razem, ale jeszcze trzeba będzie trochę poczekać, aż się tego dobra liczba nazbiera. Posłałem był w liście wiersze do Mniszcha Sekretarza Lit., a nie wyrażasz WPan, czyś je odebrał.

„Król przysłał mi na wiązanie mój medal wybity, możesz go WPan kazać z Warszawy sprowadzić. Złoty koniecznie do kolekcyi Jejmościnéj, ale jak tu do mnie przyjedzie, jak będzie Kalnassy (Sekretarz kscia) jechał z ks. Karolem (bratem biskupa) przywiezie ich WPanu kilka, kazawszy je w Mennicy wybić.

„Byłem przez dni dwanaście w Królewcu u księcia Pruskiego przejeżdżającego tamtędy do Petersburga. Bardzo mile, grzecznie i poufale przyjął mnie i ze mną się bawił, przez ten cały czas, a co największa, byliśmy razem na polowaniu w puszczy nad Hafem i zabiliśmy łosiów wielkich trzynastu, małych dwa.

„Dn. 7 Septembra ma stanąć w Petersburgu tenże książe pruski, jak zaś długo zabawi, zawisło od okoliczności. Rozumiem jednak, że nie prędzéj jak w pół Nowembra wracać będzie."

Ciągle troskliwy o rodzinę Biskup, nietylko braci do siebie przygarniał, wziął synowca Jana, którego wychowaniem się zajmował. Pisze o nim w tym roku (2 września).

„Pan Jan bardzo się dobrze aplikuje i z jego sposobu myślenia będziesz WPan kontent. Już

czas wydobyć go od Pijarów, a ja resztę na siebie biorę. Zrobiemy z niego Chodkiewicza i będą potém o nim wiersze pisać, jak Turków pobije, albo jakich innych nieprzyjaciół ojczyzny swojéj. Wszak prawda?"

Biskup chciał Jana umieścić albo w jakim Regimencie, albo w Akademii Wojskowéj w Berlinie, bo miał powołanie do tego stanu. Pisze o nim jeszcze tegoż roku (5 listopada). „Podobne moim masz myśli o panu Janie, i mnie się zdaje, że to będzie człowiek podściwy, stały i niezlękniönego serca, że się więc z edukacyą żołnierską odzywa, nasza rzecz do tego się przyłożyć, ale bytność jego w Dubiecku przeszkadza nieco tym projektom, bom ja myślał, że mi go Kalnassy z Warszawy przywiezie."

We wrześniu zabawiano się potroszę polowaniem, a książę miał jechać do Berlina (24 wrz.). Donosi bratu: „Ja, przy bardzo pięknych czasach często się i z moimi sąsiadami i sam u siebie polowaniem bawię. Ale to są minjaturki względem WPanowych jeleniów, niedźwiedziów, rynocerosów i jednorożców."

„Podróż do Berlina, jeszcze niezupełnie determinowana, a choćbym i jechał nie więcéj nad niedziel kilka zabawię, ale wprzód o wszystkiém dostatecznie WPana uwiadomię."

Dnia 5 listopada, powiada: „Co téż WPaństwo będziecie sądzić o Heilsbergu, kiedy od W. księcia

moskiewskiego odbieram rekwizycyą, żebym mu plantę domu i ogrodów moich przysłał. Proszę to powiedzieć Panu Wojewodzie Bełzkiemu i Panu Chorążemu nadwornemu, dwom najgłówniejszym w tamtych stronach rywalom moim. Notabene w ogrodnictwie, bo co do pieniędzy, ja znam jaki się respekt odemnie JWMPanom Dobr. należy."

„Powróciłem dnia onegdajszego z Królewca i widziałem kscia Pruskiego powracającego z Petersburga, na nogę trochę jeszcze narzeka, a w Petersburgu przez dni dziesięć kawęczał. Jest to skutek szwanku z konia, który go uderzył. Przyjęty był mile i traktowany. Wziął ordery śgo Andrzeja i Aleksandra Newskiego, bogato diamentami obsadzone i przy jednym pugilaresik maleńki szacowany trzydzieści tysięcy rublów, szubę marmurków, niezwyczajnéj piękności i kożuch soboli. Dwa dni bawił w Królewcu, trzeciego wyjechał rano do Szlobittów do Grafa Dohna, gdzie nocował. Dnia jutrzejszego ma stanąć w Potsdamie, bo taka była królewska determinacya."

Z familii (choć dalszéj) przybyć miał młody Fredro, którym Biskup chciał się opiekować. O nim pisze (14 listop.). „Jeżeli ma więcéj jak dwanaście lat, trzeba go po francusku przebrać, gdyż WPan wiesz, że tu ani krawców ani szewców polskich nie mamy. Była jeszcze ostatnia relikwia ów Gawłowski kulawy w Heilsbergu, po nieboszczykn biskupie Szembeku, ale dla starości już robić nie może."

Podróż do Berlina, z obowiązku, ciągle była w programie, i pobyt tam do marca. Nie był jednak książe pewnym wyjazdu i w razie pozostania w Heilsbergu, zapraszał brata z rodziną do siebie: „Wieści straszące o nowych jakichś podziałach i tu się pospolicie dają słyszeć, ale gdy z źródła rzeczy dochodzić się chce, nie można wynaleźć ani z jakich przyczyn miałoby się to stać, albo przynajmniéj, jakieby do tego były podobieństwa, może co wśród gabinetów wre, ale takowe negocyacie po większéj części nie dochodzą do publicznéj wiadomości. Prawda że i w 72 nie wierzyliśmy a przecież się stało. Jednakże większe były aparencye niż są teraz. Cokolwiek bądź trzeba się na wszystko zawczasu gotować i ztwierdzać. Wiek ten jest pełen epochów i niespodziewanych i nieprzewidzianych. My już nie mamy się czego obawiać, bo co się miało z nami stać, stało, a tak stało iż gorzéj stać się nie może.“

W tym samym liście tak poważnym stoi przypisek: „Posłałem Jejmości przeszłéj poczty nasienie poziomek. Jużem je w garczkach niektóre posiał i potém co miesiąc aż do marca po trochu siać będę.“

Wyjazd do Berlina został nakoniec postanowiony na dzień 15 grudnia. Donosząc o tém d. 6 t. m. mówi: „Jak tam długo zabawię, dostatecznie determinować nie mogę, mam jednak nadzieję, że w marcu powrócę i będę święta odprawiał w Heilsbergu.“

Nowiny polityczne były pokojowe, w Berlinie obiecywał sobie książę nowe zdobycze dla ogrodu, nasion, kwiatów i drzewek. Niezmiernie go one zajmowały, gdyż nie było listu, bez wspomnienia co się posiało, sprowadziło, co kwitło i zbierało. Drugiém lubownictwem Biskupa były zbiory jego rycin, a szczególniéj portretów familijnych i ludzi w kraju wsławionych. Już na wyjezdném do Berlina przypominał bratu (15 grud.) z Frauenburga, aby mu kazał zrysować w Dubiecku portrety ojca i matki, Stanisława Siecińskiego Bisk. Przemyślskiego, Jelca Suffr. Kijows. Jelca Jenerała, jego brata, nieboszczki Wojewodzinéj Mścisławskiéj, Ant. Cetnera Star. Korytnickiego, ojca Wojewody (malowany przez Marteau). Z kościoła parafialnego w Krakowcu okrągły portret Cetnera Kasztel. Bracł. od karmelitów w Przemyślu z zakrystyi Marcina Krasickiego, Wojewody Podolskiego i żony jego Barbary, z Jarosławia od śgo Jana Kżnéj Ostrogskiéj babki Kostajny (sic) Wdzinéj Sandom. i inne Ostrogskich, Chodkiewiczów, Kostków, z korytarzów klasztornych.

Oprócz tego prosił, aby mu poszukiwano po domach wizerunków ludzi znacznych i rysowano je, lub przemalowywano do kolekcyi „która z wielu różnych miejsc przysyłanemi portretami coraz się powiększała i czyniła szacowną.“

W przypisku do listu: „U nas tu wieść coraz mocniéj grucha o śmierci Cesarzowéj, u WPanów

nową postać rzeczy zapewne utworzy, daj tylko Boże, ażeby wszystko było na lepsze i kraju i obywatelów, a najbardziéj, żebyśmy się cieszyli *pokojem.*"

Kanonik Kalnassy, sekretarz księcia, właśnie był powrócił z Warszawy i, między innemi, dary przywiózł od księcia Stanisława Poniatowskiego „cybuch nad cybuchami, baszowski."

Widzieliśmy z poprzedzających listów, że z królem Stanisławem, rodziną jego, dworem był już Biskup, w jak najlepszych stosunkach.

Dowodem tego był ów medal, który król wybić kazał na cześć księcia Biskupa. Niestety, dostał się on, jak widzimy z dat i korespondencyi, nie autorowi Bajek i Satyr, nie temu, co ideał obywatela stworzył w panu Podstolim, ale, poecie niefortunnéj Wojny Chocimskiéj, którą wysoko podnoszono, mówiąc w ostatku, że: *in magnis voluisse sat est.*

Tę wojnę Chocimską wolelibyśmy zbyć zupełném milczeniem, gdyby to było możliwém.

W charakterystyce wieku i pisarza, omyłka nawet ma wielkie znaczenie, a omyłką jest Wojna Chocimska.

Przedmiot sam, na oko nęcący i wspaniały, patryotyczny, zdawał się poecie doskonałą treścią do epopei. Niestety! pojąć zadanie Epos potrzeba

było najprzód inaczéj, niż mógł naówczas Krasicki. Warunki tego poematu przedstawiały się w świetle fałszywém.

Ztąd i poemat chybiony, blady, słaby, mglisty, deklamacyjny, a nawet wiersz sam rzadko u Krasickiego bywa tak mdłym, niezręcznym, wyszukanym i bezbarwnym, mierzącym ku szczytności, a popadającym w trywialność. Ton poematu podniesiony sztucznie, bez natchnienia, zimno patetyczny, czyni całość dziś prawie niemożliwą do przeczytania.

Bohaterowie są jakiemiś lalkami bez życia, teatralnie poprzystrajanemi, sztywnemi a napuszonemi. Osman, Chodkiewicz, cały zastęp około nich się gromadzący tak mało ma prawdy, krwi, jak szatany i aniołowie, które machinę tę z góry nakręcają. Rzecz jest gorzéj niż chybiona, popsuta.

Cóż powiedzieć dziś o niéj, gdy się obok postawi ów jędrny, potężny wiersz Wacława Potockiego w jego Wojnie Chocimskiéj, w któréj kronika niekiedy prostotą, wielkością, barwą i siłą prawdziwie epiczne przybiera kształty.

Obok Potockiego, a nawet sam przez się Krasicki jest tak bladym, zgasłym, nudnie deklamacyjnym, że żal obudza i politowanie.

Jesteśmy przekonani, że Krasicki z własnego popędu nie przedsiębrał Wojny Chocimskiéj. Ponieważ Voltaire ważył się na Henriadę, potrzeba

było, aby polski jego reprezentant, koniecznie epos wyśpiewał.

Naglić o to musiał król, śliczny wiersz jego podziwiając już w satyrach i bajkach; był przekonania tego, że taki poeta może wszystko co zechce. Naruszewicz, który pisał żywot Jana Karola Chodkiewicza, musiał ten przedmiot podsunąć.

Zmuszono Biskupa do przedsięwzięcia Wojny Chocimskiéj, któréj wizerunki po wszystkich domach szlacheckich nieforemnie malowane zawieszano. Czuć téż w tym poemacie narzuconym przymus, niesmak, zmaganie się bezsilne, nawet pewne zniechęcenie [1]).

Wszędzie gdzie Krasicki, posłuszny swojemu posłannictwu, ujemne strony wieku, społeczności, kraju maluje, gdy oczyszcza arenę jest nieporównanym; gdy chce tworzyć ideały, bezsilnym.

Odgadywanie przeszłości wspaniałéj i bohaterskiéj w Wojnie Chocimskiéj, wykazuje tylko zupełny brak pojęcia jéj w warunkach rzeczywistych. Nie wiedział poeta jak ją miał przyodziać. Chodkiewicz i Anna z Ostroga (po za którą tragedya grecka stoi zakryta dotąd), to mdły romans z najsmutniejszéj rzeczywistości zrobiony. Miłość starego Hetmana dla młodéj oblubienicy

---

[1]) Nie jest to prostym domysłem, gdyż z listów widzimy, że autor dokończył wojnę Chocimską w czasie pobytu w *Warszawie*, i natychmiast oddał ją do druku.

jest tu czémś, jakby z parawana wyciętém. Sentymentalizm ośmnastego wieku, który był w nim tylko pokrywką najwyuzdańszéj zmysłowości, przybiera tu prawie śmieszną fizyognomię. Szemrzące strumyki, wiejące wietrzyki, śpiewające ptaszęta, są jakby niepewną ręką jakiegoś początkującego artysty, mdło i dziwacznie narzucone.

Cała inwencya poematu niesmaczna. Pustelnik wprowadzony wcale niepotrzebnie, jedności akcyi nie ma, postacie jak cienie bez twarzy snują się po nim. Coś niewypowiedzianie nudnego ołowianém brzemieniem nad całością cięży.

Tych nawet świetnych błysków dowcipu, których Krasicki tak szczęśliwie gdzieindziéj używa na zakończenie, tu braknie. Dowcip byłby nie w miejscu, a natchnienia nie starczyło. Jeden wiersz wychwalony pozostał w pamięci, a i ten dziś brzmi dziko:

A dumny mocą swego majestatu,
Wzniósł się nad człeka i pogroził światu.

Słabych wyrażeń: jak w p. II „dzieła wieńczy w *szacownéj zalecie* (!); w p. III. „Anno z Ostroga, *wyborze kochania!*“... w p. III „strumyk czyni szemrania przyjemne“ pełno. Znajdujemy tu i „słodyczy ponętę“ i mnóstwo podobnych ckliwych wyrażeń.

W pieśni V apostrofa do wolności, przypominająca w Myszejdzie „Święta miłości“ zupełnie téż chybiona. Nie została nawet w pamięci współ-

czesnych, którzy czuli, że ta wolność mniemana, była zgubą naszą nie chlubą. Wiersz dogadzał tylko fantazyi staréj szlacheckiéj.

Język u naszego poety zawsze starannie dobierany, często szczęśliwy, tu dziwnie wyblakły, kulejący. „Mężnych rycerzów *tłuszcza*“ chyba rymem da się usprawiedliwić. Któż się domyśli, iż „wzmożeni mierném zasileniem“ ma oznaczać, że Sobieski i Żorawiński, skromném jadłem pokrzepili się u pustelnika.

Napróżnobyśmy wchodzili w szczegóły. Wojna Chocimska jest smutną, nieszczęśliwą omyłką, którą radzibyśmy nie poecie przypisać, ale o nią obwinić tych, co go do pisania jéj skłonili.

Zaledwie dokończone poema w Warszawie, pod okiem króla i Naruszewicza, w téjże chwili rozpoczęto drukować.

Współcześni, których Krasicki był ulubieńcem, mimo najżywszéj chęci admirowania téj epopei, nie mogli jéj pokochać, odzywano się półgębkiem, z respektem, Dmochowski powtarzał, że w tak wielkiem przedsięwzięciu, wyjść nawet na pół zwycięsko jest chwałą. W kraju wojna Chocimska nie uczyniła wrażenia, broniło jéj tylko imię autora.

Ale autorowi Epos słusznie już medal należał, literatura liczyła choć jednę jéj próbę—nieudaną[1]).

---

[1]) Zdaje się, że Epos, z którą tak śpieszono, miała usprawiedliwić wybicie medalu: „Musa vetat mori.“

W tymże samym czasie Biskup dla rozrywki, dla zabawy swojego dworu, próbował pisać komedye, do których tak mało przywiązywał wagi, że ich nie chciał wydać pod swojém imieniem. Kilka z nich drukowano z nazwiskiem Mowińskiego, starego kamerdynera księcia Biskupa. O tym Mowińskim wiemy tylko tyle, że w Heilsbergu na zamku przy księciu mieszkał, że mu się, jak całéj dworni książęcéj, działo bardzo dobrze, i że na imieniny swoje gości wybornemi podwieczorkami raczył.

Czy Mowiński był kamerdynerem, *amanuensem*, sekretarzem, dokładnie oznaczyć trudno. Ale działo mu się dobrze.

Lecz najprzód o teatrze naszym słowo.

Teatr w Polsce nigdy się świetnie, samoistnie, żywotnie rozwinąć nie mógł. Historya jego podobną jest do żywota tych roślin, których ziarna długo leżą w ziemi martwe, za najmniejszym promykiem słońca kiełkować próbują, i natychmiast stratowane i zgniecione giną. Tak samo jak gdzieindziéj uczuwano u nas potrzebę tego wizerunku życia, któryby dobitniejsze jego przedstawiając momenta, z siłą i światłem na nich skupioném, znaczenie ich, piękność, poezyą lub ohydę i brzydotę ludziom wrażał.

Tak samo jak w całéj Europie, dramat religijny kiełkował u nas po kościołach czasu świąt wielkich, Bożego Narodzenia i męki Pańskiéj.

Do niego, jako *intermezza*, wściskały się sceny z życia powszedniego, przeplatając uciesznemi obrazkami karty z historyi biblijnéj i Nowego Zakonu. Są téż ślady, że pogański obyczaj zostawił po sobie rodzime ziarno dramatu. Ze śpiewy, z przebieraniem się za zwierzęta i postaci fantastyczne, obchodzono Kupały, Sobotki, święto wiosny, inne uroczystości, późniéj na chrześciańskie zamienione.

Jak u Hebreów wesela téż były obrzędowemi dramatami, królem pan młody, królową młoda, marszałek i drużby dworem pańskim. Wszyscy przy porywaniu, wywożeniu, przybyciu do domu świekry, grali dramat podaniowy z pieśniami odpowiadającemi ceremonii.

Nie zbywało na wesołkach z tradycyjnemi żarcikami. Na pogrzebach najęte płaczki miały wyznaczone role, przemawiano do zmarłego i t. p. Topienie śmierci Marzanny było téż hieratycznym dramatem.

Po kościołach przedstawiane dramata stały się wprędce swawolnemi, musiał je w r. 1207 zakazać papież Innocenty III. (List do arcyb. Gnieźnieńskiego). Rozporządzenie to papieskie u nas się zwykle przywodzi za dowód, że teatralne przedstawienia były w zwyczaju, i że wybryki im nieprzyzwoite towarzyszyły. Zdaje się wszakże, iż list ten papieski nie wiele dowodzi, bo podobne rozesłał w tym czasie Innocenty III do innych

krajów Niemiec, Hiszpanii i Francyi. Był to więc rodzaj cyrkularza.

Z XVI wieku i XVII mamy próby dramatów liczne, a większa ich część w rękopismach pozostała.

Forma w nich bardzo pierwotna, ułomna, ale koloryt żywy i motywa domowe użyte często szczęśliwie. Wszystko to zjawiało się, znikało, nie miało ciągu, bo nie miało do rozwijania się sprzyjających okoliczności. Zawierucha nadchodząca rozpędzała artystów. Najlepszą odpowiedzią na pytanie dlaczego u nas teatrowi się nie wiodło, jest znany ustęp w Paska pamiętnikach, gdy grających w rynku komedyę aktorów, widzowie postrzelali.

Nieustannym dramatem było naówczas u nas życie, teatr stawał się zbytecznym, brakło dość spokojnego rynku, cierpliwych widzów i chętnych aktorów.

Ledwie też w szkole i klasztorze, gdzie spokój większy panował, teatr mógł się czasem próbować. Wystawne widowiska mieliśmy już za Wazów, i kunsztowne włoskie czarodziejskie sztuki; za Augustów Sasów opery wystawiane z przepychem, dramata muzykalne, dekoracyjne, rozbudziły może ochotę do podobnych igrzysk.

Stanisław August, który chciał mieć u siebie wszystko, co posiadały inne cywilizowane narody, zapragnął też i teatru. Stworzył go dlań Bogu-

sławski, z pomocą Bohomolca, Zabłockiego, Trembeckiego i innych mniejszego znaczenia pisarzy, którzy mniéj więcéj śmiało naśladowali, najświetniéj już naówczas rozwinięty teatr francuski.

Gdy stolica i król sceną się zajmowali, upodobanie w niéj wprędce przeszło i na pańskie dwory. Stało się modą grywanie przez amatorów sztuk francuskich, lub polskich z nich przerabianych i naśladowanych. Grywano w Puławach u Czartoryskich, w Dubnie u Lubomirskich, u Sapiehów, a potém i po mniejszych dworach. Wiek ten elegancyi i komedyi w życiu, musiał się lubować w teatralnych przedstawieniach, które i tak co dzień się w salonach odbywały.

Ale jak wszystko w XVIII w., który był burzycielem, teatr przeważnie skłaniał się ku komedyi satyrycznéj, ku obrazom charakterystycznym. Poważny dramat, tragedya na wysokim koturnie nie odpowiadały usposobieniom epoki śmiechu i szyderstwa. Wolano maskę komiczną i śpiewek wesoły.

Ks. Biskup Warmiński i na tém polu sił swoich próbował. Znamy jego drukowanych komedyj siedm, w części pod imieniem Michała Mowińskiego, a wnosząc z tytułów, zdaje się, iż parę zostało w rękopiśmie (Satyryk we czterech aktach, Papillot lub po modnemu) [1]. Pierwsze z nich ukazały się

[1]) Po modnemu, Papilot i Krosienka nie są li trzema tytułami jednéj sztuki? Takby się nam zdawało.

w r. 1780, reszta w dopełnieniach Dmóchowskiego (r. 1832).

Są to najmniéj znane z pism Krasickiego, dla tego nieco obszerniéj powiemy o nich, chcąc dać wyobrażenie, jak wybornie typy komiczne swego czasu pojmował autor.

Dzisiejszemi naszemi wyobrażeniami o warunkach dobréj komedyi, utworów tych Biskupa mierzyć się nie godzi. Komedya dzisiejsza jest więcéj dramatem niż komedyą właściwą, jest komedyą intrygi i sytuacyi, gdy Krasicki nie znał innéj nad komedyą charakterów.

Wszystkie Krasickiego obrazki dramatyczne są lekko naszkicowanemi komedyami charakterów. Jeden, najwybitniejszy zwykle, barwę nadaje.

Nie ma w nich ani sztucznego węzła, ani intrygi, którąby budziła ciekawość, ani stopniowania w prowadzeniu i rozwiązaniu, ni zbyt starannéj formy. Charaktery wszystkie, wzięte z powszedniego świata, nadzwyczajnych psychologicznych zagadnień nie przedstawiają. W tychże cała treść leży. Są to: Mędrzec, Pieniacz, Łgarz, Solenizant, Frant, Statysta. Jedna tylko ma zagadkowy tytuł: *Krosienka*, a ta właśnie do najudatniejszych należy.

Wszystkie widocznie kreślone są bez planu, z pośpiechem, *curente calamo,* dla teatru domowego w Heilsbergu, dla pani Charczewskiéj, synowic, krewnych i dworu księcia Biskupa.

Nie zmagał się autor na wyszukaną formę. Coś :o na kształt włoskiéj *comedia del' arte*, w któréj)znaczano tylko osnowę i główne punkta zwrotne, lając artystom swobodę, szycia wzorów własnych, na téj tkaninie. Wiele tu ująć, wiele dodawać było można.

Raz uznawszy za uprawniony na scenie taki obrazek charakteru dramatyzowany, nie można Krasickiemu odmówić w rysunku postaci, które wprowadza, choć trochę jaskrawym i karykaturalnym dla efektu, wielkiéj trafności i komiki. Są tu figury napiętnowane doskonale, niedające się zapomnieć.

W najlepszym z tych obrazków, w Krosienkach, wprowadzona jest nieoszacowana para sąsiadów, pan i pani Rubasiewiczowa. On, zapalony myśliwiec, ona niezmordowana papla. W akcie drugim (scena VII) Nemrod ten na małą stopę wychodzi po raz pierwszy i, zaledwie przemówił, już się nam odmalował cały.

Wita gospodarza domu:

— „Nie wiesz co mi się stało? Nie mogłem się doczekać nim się moja żona wyguzdrze, kazałem więc konia okulbaczyć i wziąwszy parę chartów na smycz, daléj. Tylkom co za wrota wyjechał, aż tu lis. Ja, hajże! Dolot z jednéj strony, Frazia z drugiéj, ja z konia — lis w bok, Frazia tuż, a Dolot w onę, a ja na przełaj. Lis, frant mości panie, zapewne już szczwany, kominka! Frazia pa-

trzy, lisa nie masz, a ja: Hajże! Hajże! Dolot tuż, tuż, tuż, ja lecę. Hajże! Hajże! Jakże się posunie Frazia, gdyby strzała, już téż, myślę sobie, po lisie. Cóż on, Mospanie na to? Jak zacznie ogonem merdać, to w lewo, to w prawo, zbałamucił Frazię, a tymczasem jak się posunie ku krzakom, jak pójdzie po nad krzaki, po za mogiłę, pomiędzy parowy, z oczu nam zniknął.

— Patrzę! źle! wołam, krzyczę. Dolot stanął; Frazia, ja nie wiem czy ją kto w tym punkcie oczarował, siadła na kempinie i nuż wyć! A już téż, jakem to usłyszał, taka mnie passya wzięła, żebym jéj był w łeb strzelił, porzuciłem lisa, daléj do niéj z harapem, frant w nogi, ja za nią, a tymczasem i Dolota gdzieś kaci wzięli. Frazia uciekła, jam lisa nie dostał i konia zmachał na niwecz, i ledwom sobie piersi nie zerwał.

Poczciwy Rubasiewicz ciągle potém, gdy inni zajęci są pannami, gospodarstwem, siedzi w kącie i pomrukuje:

— Czy kaci nadali tego lisa!

— Czemu ja z sobą Michałka nie wziął? byłby zabiegł od chaszczów.

Rubasiewiczowa równie przedziwna ze swą paplaniną, w któréj z przedmiotu do przedmiotu nieustannie przeskakując, połapać się nie może. Mąż się z niéj śmieje i usta jéj zatyka.

Treść komedyi prosta, ale nie bez wdzięku. Państwo Spokojscy mają dwie córki, Juljannę

faworytę matki i Maryannę, któréj ona nie lubi. Ta więc musi po całych dniach siedzieć przy krosienkach, nie mając pozwolenia wychodzić do gości, a Julianna, pieszczoszka, strojna, śpi do południa i robi co się jéj podoba. Matka ma na myśli wydać ją świetnie za mąż, a młodszą zamknąć w klasztorze.

Sama pani prosta kobieta, niewielkiéj głowy, ojciec baczny, postępujący z taktem, z umiarkowaniem, odwzorowani wybornie. Epizodyczne figury wielce komiczne. Wiatrakowski, którego warszawska elegantka mocno proteguje, Uśmiechniewicz, Żartuliński, Rubasiewiczowie i pani Lubska, owa protektorka z Warszawy, każdy inaczéj i dobitnie scharakteryzowani. Ojciec jest niepokaźny, ale z wielką prawdą pojęty; rozumny, spokojny, przenikliwy, a w postanowieniu wytrwały.

Wypieszczona Julianna maluje się cała w jednêm słowie, gdy w rozmowie z matką, która ją tak adoruje, na stronie się o niéj odzywa: „Co za sentyment podły!"

Jak w innych autora komedyach, intryga żadna. Do Juljanny w konkury przyjeżdża z kompanią dobraną JMPan Wiatrakowski, wioząc z sobą w swaty panią Lubskę, która z despotyzmem Warszawianki rządzi się w wiejskim domu, pannę porywa, różuje, stroi i gwałtem zaręczyć chce z protegowanym. Pocieszne sceny idą jedne po drugich. Tymczasem zamknięta w swoim pokoiku Marynia szyje w Kro-

sienkach. Obejście się matki z córką starszą i młodszą wystawione bardzo dobitnie.

W ostatniéj chwili, jak zawsze u Krasickiego, *Deus ex machina*, występuje list przez panią Lubską podarty na papiloty, gdy pośpiesznie stroiła Julusię. List to zdradziecki, pisany przez konkurenta, malujący cały dom Spokojskich w najjaskrawszych kolorach. Naturalnie pierzcha wszystko, a dawny skromny pretendent panny Juljanny, którego odegnano, gdy go znów mama do łask przypuszcza, prosi o rękę młodszéj, co szyła w krosienkach.

Niektóre sceny bardzo komiczne. Żartuliński improwizuje ciągle wierszyki:

Na co się tam i broń przyda,
Gdzie tkwi w sercu grot Kupida.

a drugą razą:

Śliczne wdzięki
Co poręki
Szukacie.
A czernidła
Z wdzięków sidła
Nie znacie i t. d.

Przez dobrych artystów odegrana, trochę ułożona dla sceny, pewni jesteśmy, że ta prosta komedyjka ubawiłaby tych, co piękno we wszelkiéj formie ocenić umieją.

Ciekawy jest tu ustęp o komedyi polskiéj.

Przystojnicki. Szkoda talent zakopywać, pisz WPan komedye.

Wiatrakowski. Polskie komedye?

Spokojski. Alboż to nie może być komedya dobra po polsku?

Wiatrakowski. Kasza nie komedya, WPanie. Nasz język do tego się nie urodził.

Spokojski. Mnie się zdaje, że te rzeczy zawisły nie od języka, ale od pisarza.

Komedye Krasickiego, gdyby innych nie miały zalet, szacowne są pod względem potocznego języka, wyrażeń jego i zwrotów, a wreszcie obyczajowych szczegółów.

Nie można téż do nich przywiązywać téj wagi, co do innych pism autora, gdyż są zaledwie na papiér rzucone, nieopracowane, a Krasicki nie przyznawał się do nich, czując sam zaniedbaną formę i niewykończenie.

Z porządku pierwszy Łgarz, którą z tytułu posądzaliśmy o naśladowanie sławnéj francuskiéj, znanéj Krasickiemu, jak się okazuje z jego zbioru wiadomości i dzieła o Rymotwórcach, w którém autora porównywa z Molierem — jest oryginalną. Osnowa prosta. Erast, bohater dramatu, stara się o córkę dobrodusznego pana Anzelma, rozkoszującego się w jego opowiadaniach. Napróżno matka panny (Kostusi) stara się zapobiedz, aby córka nie padła ofiarą. Nie wiadomo, czyby się jéj z mę-

żem powiodło, gdyby, Deus ex machina znowu, nie nadjechała ciocia Łgarza i szalbierstw jego zuchwałych nie odkryła. Tu także figura epizodyczna, niejaki Bywalski, doskonale z natury uchwycony. Człowiek to, który nikogo nie radby obrazić słówkiem zbyt ostrém, nikomu wręcz zaprzeczyć. Niezmiernie delikatnie, ostrożnie, zdaleka, z pewną ironią ukrytą, stara się rozbujałe umysły na prostszą naprowadzić drogę. Bywalski to typ akomodującego się rezydenta, który i narazićby się nie rad, i zmilczeć a fałszom potakiwać nie może.

Anzelm. (ojciec). To nas starych defekt, że jesteśmy niedowiarkami.

Bywalski. Arcydokładnie wyłuszczyłeś WPan w krótkich expresyach przywary nasze, i ja nie mogę tylko iść za jego godném zdaniem. Zdaje mi się jednak (może się i mylę), ale przynajmniéj zdaje mi się, iżem słyszał od ludzi nierównie odemnie oświeceńszych, iż pora dojrzałego, albo li raczéj doszłego już wieku, skłaniając się ku owéj pierwszéj, którą to wiosną życia pospolicie zowiem, zarywa téż nieco na jéj sposób myślenia. A ten spieszy się czasem z decyzyą. Nie mówię ja tego, iżby starzy mieli być lekkowiernymi, jak niemowlęta, ale się nad tém tylko zastanawiam, i niejako zadziwiam, iż oświeceńsi odemnie tak trzymali.“

Delikatniéj dać do zrozumienia p. Anzełmowi, że zdziecinniał, niepodobna było.

Ciocia Grujska, przypomina bardzo Rubasiewiczową w Krosienkach, ale przedziwna. Opowiadania jéj noszą cechę szlacheckiego, zaściankowego paplarstwa przeszłego wieku:

„Trzeba, żebyć WPan wiedział, że jego matka a moja siostra rodzona (o co to za białogłowa, już takiéj drugiéj trudno szukać), ta tedy siostra, MPanie, ja nie wiem z jakiéj okazyi, powiadają że z przestrachu, kiedy u pani Kierzbuńskiéj gumna się paliły, cokolwiekbądź, WPanie, czy z przestrachu, czy nie z przestrachu, zachorowała na żółtaczkę, sprowadzili żyda cyrulika i zapewne on ją zabił, bo kto to widział krew puszczać w żółtaczce. Jam téż od tego czasu uczyniła sobie votum, nigdy krwi nie dać puszczać, a osobliwie żydowi. Po śmierci tedy nieboszczki mojéj siostry, ojciec Erasta (to był wielki pijak) miał nieszpetną posesyjkę, w Kukurowcach pół trzeciéj włóki i młynek, ale on to wszystko przepił i jak na nieszczęście poszedł w świat bez mojéj wiadomości, i gdzieś się tam ożenił (już nie pamiętam jak się to miejsce zowie), a co gorsza spłodził czterech synów i córek siedm. Patrzajże no pan, jakie to nieszczęście z temi pijakami! Ale co mi tam do jego dzieci z powtórnego małżeństwa! Ja tylko o tych mam i będę miała staranie, co z mojéj siostry są urodzeni, chociaż mój ko-

chany pan szwagier i swoje co miał stracił i posag swojéj żony a mojéj siostry przemarnował. A WPan to zapewne przyjechałeś na wesele mego siostrzeńca? Jam nic o tém wszystkiém nie wiedziała. To nie bardzo grzecznie. Szczęściem przejeżdżając tędy, postrzegłam w karczmie jego woźnicę i kolaskę. (Ja nie wiem zkąd on téj kolaski dostał, bo odemnie wózkiem parokonnym wyjechał), postrzegłam tedy woźnicę, zawołałam go do siebie — Wojciechu, a co tu robicie? a on mi odpowiedział: Jestem tu z panem, bo pan się żeni. Z kimże się żeni? Z tutejszą panną. Jakem to usłyszała, takem kazała nawrócić do dworu."

Solenizant (we trzech aktach) zbudowany jest w ten sam sposób, bez kunsztu, charaktery zaledwie narysowane, ale grubo, dosadnie, wyrazisto, choć bez cieniowania. Solenizant jest utracyuszem, który marnuje majątek, otoczony całym rojem darmozjadów zabawnych, wśród których jeden, poczciwy stary szafarz Bartłomiéj nad swym panem ubolewa. Solenizant trzyma marszałka dworu, kapelę, wojsko nadworne i do niego zająkliwego kapitana, podskarbiego, koniuszego, sekretarza, pokojowców i t. d. Właśnie, gdy się zabiera uroczyście i świetnie obchodzić swe imieniny wierzyciele go mają tradować. Stryj dobrodziéj nabywa długi, traduje go sam, aby nastraszyć, przebacza mu i żeni go z panną Cześnikówną, wziąwszy słowo, że szaleć nie będzie.

Scena ze dworem niepłatnym, bardzo dobrze ułożona. Wojskowi, oprócz innych funkcyj, mieli obowiązek noszenia półmisków do stołu. Wydaje się to przesadzoném, tym czasem jedna z broszur współczesnych, wyraźnie podobny *casus* wzmiankuje w wojsku regularném Rzeczypospolitéj. Dowód to, jak Krasicki prawdziwe wprowadza obrazy.

Pijany już JMPan Pogromski wtacza się winszować Solenizantowi.

— „Pana dobrodzieja witam i winszuję aplauzów — statecznego, wyroków boskich! Ale jakież to wino u naszego kochanego Cześnika! Przysięgam Bogu, to kochany dobrodziéj, to pan! (patrząc na kapitana), a Jegomość z Flandryi?

— Nie, to komendant moich nadwornych żołnierzy.

— Mości panie komendancie nadwornych żołnierzy, kłaniam.

— (Kapitan) kła-a-aniam.

— Kochany rycerzu, powiedz co tam słychać we Flandryi?

— Jużem powiedział WPanu, że Jego Mość nie z Flandryi.

— Jegomość, nie z Flandryi! przepraszam! Ale pan dobrodziéj już to podobno zapomniał o prawdziwych sługach swoich.

— Po czémże to WPan miarkujesz?

— Po czém miarkuję? po wszystkiém.

— Jak to?

— Ot tak! Naprzód panowie, jak to bywało za dawnych czasów, póki świat światem! aha!

— Nie rozumiem.

— Ale ja rozumiem (do kapitana) Monsiu, a każ nam wina przynieść.'

— (Kapitan) Ja nie do kie-kie-liszka słu-użę.

— A do czego? kochany rycerzu?

— Do ucze-czenia rozu-umu.

— (do kapitana) Daj WPan pokój, wszak widzisz, że pijany, nie rób mi historyi w domu."

Przynoszą tedy wino i piją: Stateczněj przyjaźni — *Cujus festum colimus* i t. p.

Wyborny jest i Marszałek dworu, który wyraża dobitnie teoryą, jakiéj wówczas hołdowało wielu:

„Wybaczyć chłopu? Nigdy. Wierz mi WPan dobrodziéj, iż ten *rodzaj* żadnego względu nie godzien. Dobroć go psuje. Urodzony do jarzma, trzeba, żeby jarzmo znał, inaczéj się rozbryka, i jeżeli go batóg nie nawróci, szubienica chyba reszty dokaże."

Komiczną jest scena stryja ze starym sługą, czytającym regestr długów, komiczna propozycya sekretarza, który chce na piramidach cukrowych u stołu dać napisy swéj inwencyi. Przy herbie Rogala (Krasickich):

Wdzięczne rogi,
Trwogi, w nogi.

Przy Rawiczu panny (Panna na Niedźwiedziu)

I niedźwiedzie
Afekt wiedzie,

We Francie, który intrygą sobie usiłuje wyrobić łaski w domu, a zyskawszy je z córką się ożenić, stosunkowo główny bohater słabiéj jest narysowany, niż zwykle. Za to figury epizodyczne, stary nauczyciel, który Alwara uczył młodzieńca, doskonały pedant, i inni równie typowi. Scena franta z nauczycielem bardzo zręcznie prowadzona.

„(Frant) A mój serdeczny, kochany dobrodzieju! Jakżem nieskończenie rad, żem cię tu zastał! każda godzina bez miłéj, uczonéj, wdzięcznéj, WPana konwersacyi, jest mi przykra, nudna, frasobliwa, okrutna.

— Dziękuję za łaskę WP. D. *non sum dignus quem me facis, sed...*

— Co to za erudycya! sentencye! maxymy! wyborne; sypią się jak z wora, jak z kornukopij. Alem podobno przeszkodził, żeś WPan, mój najukochańszy dobr. nie dokończył swéj wybornéj sentencyi. Proszę mi ją dopowiedzieć. Wpiszę w pugilares, będę nosił na sercu, miał zawżdy w ustach.

— *Non sum dignus quem me facis, sed esse conabor.*

— *Sed esse conabor!!* przewybornie! przecu-

downie! *Sed esse conabor!* Czy może być zdanie, maxyma, sentencya przedziwniejsza. Przepiszę, schowam, będę strzegł jak źrenicy w oku.

— Excess to łaski WP. Dobr. Radbym się stać zdolnym do wszelkich usług.

— Mojeć to pragnienie, moja chęć, moja powinność.

— Ale M. Dobr...

— Nie jest to komplement, to prawda szczera, proszę nakazać.

— JMPan Pradziadowski.

— A to mój dobrodziéj, człowiek zacny, godny, nieoszacowany.

— Łaskę mu WPan czynisz.

— Sprawiedliwość.

— Pradziadowski przymioty WP. *et quid in pectore geris.*

— A! cóż to za erudycya! *In pectore geris!*

— JMPan Pradziadowski pragnie.

— Nie odmówię czego pragnie, żądania jego dla mnie rozkazem.

— JMPan Pradziadowski, mówię, pragnie (do siebie. Ja sam nie wiem czego?) pragnie tedy, mówię, JWPan Pradziadowski, abyś WPan raczył żądania jego synowca...

— Rozumiem żądania sprawiedliwe, zacne, synowca.

— Tak jest, synowca JMPana a mego dyscypuła.

— To miał honor być WPanu dyscypułem! O! szczęśliwy!

— A! Mści dobr.

— Fortunny.

— A mości dobr.

— Wybrany!

— A! mości dobrodz. i t. d.“

Frant łapie się w sidła własne i na tém koniec. Intryga żadna, rozwiązanie jak nożem ciął.

W Statyście, Krasicki odmalował jednę z wybitnych wad swojego czasu, którą bodaj czyśmy po nim nie odziedziczyli, wadę zajmowania się kombinowaniem konjunktur politycznych, do których ocenienia nie mamy należnéj podstawy; bałamucenia się niedorzeczną polityką, która nas od pracy i obowiązków powszednich odwodzi. Zapalony ów Statysta, odmalowany do zbytku naiwnym i łatwowiernym, ale i tacy się trafiali, — trzéj politycy domorośli, szczególniéj Uwaziewicz w kombinacyach politycznych przewyborni. Jeden zchodzi się ze Statystą.

„Szukałem WPana, mam ciekawy skrypt, który mi przesłano przez pocztę.

— Przez jaką pocztę?

— Dzisiejszą.

— Ale tu nie o to idzie. Pytam się WPana przez pocztę koronną czy litewską?

— Koronną.

— A! to już wiem.

— Co takiego?

— Kuryer o któréj godzinie przyjechał?

— O dziesiątéj.

— Zrana czy wieczór?

— Zrana! Jeszcze dziś trzecia z południa nie wybiła.

— Mógł wczoraj przyjechać.

— Przyjechał dziś.

— Źle.

— Cóż to ma do złości lub dobroci, że poczta przyszła rano nie wieczór?

— Pytanie to czyni krzywdę WPanu, nie widzisz Pan, że w śpieszności może być tajemnica.

— Chciałbym ja tu co widzieć, ale przyznam się nie widzę i proszę, byś mnie chciał z łaski swojéj informować.

— Potém o tém. Teraz ja WPanu komunikować będę pewne pismo, które... ale. Ten kuryer konny czy wozowy?

— Konny. Jeszcze i poczty wozowéj nie mamy.

— Kuryer! o dziesiątéj rano! konny? Wszak trąbił?

— Trąbił.

— Kłuje się rzecz! MPanie, żebyśmy mogli jeszcze wiedzieć czyli ten kuryer zaraz na poczcie listy oddał, i czyli były niektóre osobno, a niektóre w pakietach... potém, te pakiety, czyli itd."

Zakończenie zwykłe i dosyć niezręczne; bo udający doktora Pankracego służący amanta do

zbytku jest niezdarną maryonetką. Wszystko to nieco długie, bo, choć charaktery dobrze się zarysowują, brak intrygi, rozwinięcia tworzy monotonią. Sytuacya się nie zmienia, sceny powtarzają, wszystkim tym obrazkom brak planu i obmyślenia.

W Mędrcu, główną rolę gra Jegomość, który, chcąc się z córką ożenić, fantazyom filozoficzno-naukowym pani matki dogadza i bałamuci ją górnolotnemi sentencyami. Wprawdzie u nas takie panie, zajmujące się astronomią zamiast kur i filozofią miasto bielizny, mało się naówczas praktykowały, ale Krasicki nie malowałby zupełnie nie bywałéj istoty. Coś w tém jest prawdy. Cała ta komedya do słabszych należy. Intryga subretki ze służącym niepotrzebna, zbyteczne przeciąganie sztuki nieusprawiedliwione. Postaci nawet mniéj trafnie i dosadnie są pomyślane.

Rozwiązanie, zużyte przez samego autora, zawsze jedno i nagłe.

Ostatnia z komedyj „Pieniacz“ jest obrazem obyczajowym, w którym się wiele rysów ciekawych epoki zachowało i przez to samo już jest cenną. Figury wchodzące do niéj jak żywe. Przeciwko pieniactwu i w Podstolim i w Doświadczyńskim jest wiele. Była to namiętność szlachecka.

Plenipotent Repertowicz, sam pan Anzelm, pa-

tron, woźny, są to przypomnienia trybunalskich czasów.

„Jak téż to téj sprawiedliwości nie można doczekać! Siedziałem w Piotrkowie od reasumpcii áż do adwentu, w Lublinie od Reminiscere do śtéj Małgorzaty i czegom doczekał? Na pani Prawnickiéj kondemnata, z sukcesorami nieboszczyka Pieniackiego kondescensia, z panią Czubską kompromis, i ten nie doszedł, z kredytorami Rozprószyńskiego sprawa oczywista, jasna jak słońce, wpis nie doszedł!! A był ośmnasty z góry, a jeszcze dla większego bezpieczeństwa i niżéj czterdziesty trzeci i niżéj siedmdziesiąty ósmy i jeszcze niżéj sto czternasty, i jeszcze niżéj.“

Nieoszacowane są szczegóły. Anzelm się tłómaczy dlaczego woźnym zrobił sługę. „Nie nadał mi się Łukasz, co go zabito na zajeździe, bo téż był pijak. Prawda, że to zabójstwo wiele nam sprawę poparło, ale jednakowo szkoda człowieka. Krzysztof nie był sprawny. Ostatnią razą go posłałem z pozwem, a on pozew zgubił. I głosu téż nie miał, a tu jednakowo trzeba, aby wszyscy woźnego słuchali, kiedy krzyczy.“

Właśnie ów nowo kreowany woźnym sługa wraca pobity. Repertowicza to niezmiernie cieszy.

— „Nie źle. M. Dobr. nie źle! do sprawy prawnéj sprawa uczynkowa, *ad causam juris causa facti,* dwojaki aktorat. Zagramy z taktów.

— Tak jest, będzie obdukcya.

— Tak, tak, M. Dobr., obdukcya! A gdyby poranienie było przyczyną śmierci, jeszcze lepiéj.

— Słuchajno, szkoda kucharza.

— Niech i żyje, ale M. Dobr. trzeba pośpieszyć, póki się rany nie zagoją. A sprowadzić *pendum in lite.*

— Kogo?

— Cyrulika, coby wyemikleował srogość blizn zadanych, uczynił wizyę sińców, guzów, ran, znaków, potłuczenia, naruszenia, uszkodzenia, wyrwania, zarwania.

— Dobrze M. Dobr. ale nie mamy *peritum.*

— Jak to nie mamy *peritum?* w potrzebie musi się znaleść! Sprowadzić.

— Ale koszt!

— Fraszka! byleśmy się dowiedzieli (co jest esencyalna), iż niniejsze potłuczenie, naruszenie było szkodliwe, dotkliwe, boleśne, znaczne, niebezpieczne, a co *basis et fundamentum* rozmyślne."

Osnucie niewiele sztuczniejsze od innych, dodano tylko subretkę i sługę amanta. Oprócz tego brat pieniacza, popierający pretendenta; główną jednak wartość stanowią powieściowe niemal szczegóły obrazu. Te są wszystkie przedziwnie wykończone.

„Słuchajże mnie waść, pan Repertowicz, powiada pieniacz. Ot że tò jest mapa rozgraniczenia między Popowem a Czapajkami, *Terminus a quo,* jezioro zwane Brzeń, od niego wychodzi struga,

to jest rzeczka, nazwiska nie ma, daléj las, zwany Podbójczyzna, i jak akt opiewa z prawéj strony pola popowskie, z lewéj zarośle lasu a na dębach starych uczynione znaki, wpośrodku zaś droga publiczna, daléj kopce stare, daléj grobla na stawku popowskim, daléj, jak tranzakcya opiewa, *domus coloni Bartholomei,* daléj łąka zwana zamojszczyzna, daléj błota przysadzkie, daléj Popow, daléj zarośle, daléj Kołotowo, potém struga, daléj pole Czapajskie i las Dąbrowa. Jezioro Brzeń jest i ja mam wolne łowienie. Oto teraz idzie, jak masz dukt prowadzić, bo gdyby tak szedł jak go strona przeciwna oznacza, stracilibyśmy połowę lasu, stawek, łąki zamojskie, a możeby się i Popowa kawał nie lada jaki stronie przeciwnéj dostał, a co najgorsza w naszym dukcie (wszakżeś WPan tam był?) w naszym dukcie i kopca jednego nie masz, a oni mają siedmnaście.“

Trzeba po tym wykładzie sprawy słyszeć, jak mądry Repertowicz wywodzi, że w oryginalnym dokumencie rozgraniczenia jest karta przedarta, a po niéj dopiero wyraz nie cały: *...chodzi.* Cóż znaczy to *...chodzi?* czy rzeczka przechodzi, przychodzi czy wychodzi? Ponieważ zaś oryginał jest w ręku strony przeciwnéj, po coby ona miała przedzierać go, gdyby on jéj posługiwał? Ergo, przyrasta aktorat o fałszerstwo i o deterioracyą dokumentu.

Repertowicz przeciwko duktowi strony przeciw-

ėj prowadzi swój dukt, tak ciekawy zaprawdę, ǝ go warto posłuchać!

„Od strugi las Pobójszczyzna! prawda, że nie ıasz lasu z téj strony jeziora, ale to nie jest racya, : co było lasem w r. 1632, teraz lasem być ma? lie daleko zaś strugi jest mogiła, a że ta oznaza bitwę, bój, znać iż las, który tam przed tém ›ywał, a *successu temporis* wycięty został, od mo;iły owéj bojowéj sobie przyległéj zwał się po›ójszczyzną kiedy lasów nie ma, znaków na dę›ach szukać nie można, a i druga strona bez tego .ch nie pokazuje. Daléj droga publiczna. Prawda, ie jéj w tém miejscu nie masz, ale i strona przeciwna podobnéj nie pokaże. Droga publiczna, M. Dobr., *secundum principia legis*, ta jest, która komunikacyą handlową czyniąc z miasta do miasta i to handlowego prowadzi. Nie pokażą IchMość tego przymiotu drogi swéj, dukt bowiem jéj prosty ze wsi do wsi, *ergo* nie z miasta do miasta, a choćby ze wsi do miasta albo z miasta do wsi szła teraz, może w czasie tranzakcyi dawniéj nie szła, a choćby i szła może nie była publiczna jak tylko nie nad tą strugą i nie około tego lasu, który jest wzmiankowany, do poparcia sprawy służyć nie może. Kopce stare, te we dwieście lat wklęsnąć powinne, a jak tylko tamta je strona ukazuje, znać że usypane później — owóż na stawie popowskim! Alboż to jeden staw mógł mieć Popów, a *per consequens* groblę? Są z naszéj strony

niziny i owszem przez jednę idzie strumyk i gdzie niegdzie widoczne znaki grobli. Dom zagrodnika Bartłomieja, ten z obudwu stron nie trwa, ale mamy niedaleko pole Bartniki, zapewne było dawniéj tego Bartłomieja, *a per abbreviationem* nazwane, jak chłopstwo mówi od Bartka Bartniki. Łąka zawojszczyzna referuje się do mogiły Bojowéj, daléj Popow, reszta to jest Kołotowo: Dąbrowa żadnéj stronie nie służy, ponieważ te nomenklatury z krzywdą naszą a zapewne podstępem strony przeciwnéj zginęły. Widzisz tedy WPan dobr. i t. d.“

Rachunek z Repertowiczem równie doskonały. P. Anzelm po rozmowie z nim, nowemi nadziejami procesu nakarmiony, wykrzykuje — to skarb nie człowiek!

Pomimo tych ustępów i scen pojedyńczych dobrze prowadzonych, budowa komedyi i tu słaba, zaniedbana, niezręczna. Udający prawnika sługa kochanka, figura znana z małą odmianą w Łgarzu i Statyście, rozwiązuje komedyą w potrzebnéj chwili, bardzo nieudatnie. Całość zbyt długa, rozwlekła. Na dramatycznym talencie zbywało autorowi widocznie, nie umiał się formą krępować, lecz szczegóły są z innych względów wyborne.

Komedya ze swemi wymaganiami surowszemi, warunkami pochodu, stopniowania, ograniczania się, skupiania świateł, rozdziału cieniów, nie była polem właściwém dla dowcipnego satyryka, bajarza i powieściopisarza, nawykłego do swobodnego

antazyi polotu. Sam on to czuł zapewne, nie prounjąc swym obrazkom nadać staranniejszéj formy. Były to szkice na papier rzucane, ledwie Mowińskiego starego godne, ale dla nas ciekawe pod względem obyczajowym.

Z ustnych podań wiadomém było biografom Krasickiego, jak ścisłe i poufne stosunki łączyły go z królem Fryderykiem II. Szczegóły o nich znajdujemy w następującéj korespondencyi. Niestety, dowodzą one jak przy całéj swéj przenikliwości i znajomości serca ludzkiego, ulegał Biskup urokowi, który otaczał monarchę, zwanego królem filozofem, jak nie umiał poznać się na człowieku, który go dobrodusznością swą zachwycał.

W r. 1781, dnia 2 stycznia, z Berlina pisze do Antoniego: „Powinszowanie N. Roku opóźniło się z przyczyny mojéj podróży, którąm bez przykrości odprawił. Wiślany jednak przewóz był trochę niebezpieczny, ile że o kilkaset kroków odemnie załamali się żydzi na lodzie z towarami. Ja to widząc pomyślałem sobie, jak to czasem i dobrze nie być nadto obciążonym, i zacząłem témbardziéj czcić Diogenesa.

„Podróż moja do Berlina trwała ze wszystkiém dni dziewięć, alem się zatrzymał dzień jeden w Kwidzynie, to jest Marien-Werder, a półtora dnia w Chełmnie u Grafa Hohenthala, Koadju-

tora Chełmińskiego. Drogę obrałem sobie na Marien-Werder, Grudziądz, Chełmno i Kustryn, dla tego, że jest krótsza, ośmią milami od Gdańskiéj, którąśmy razem niegdyś z WPanem odprawiali. Wziąłem za towarzysza podróży ks. Marcina, (który notabene bez miłosierdzia ostrygi połyka). Drugi kompan podróży ks. Puget kustosz wiślicki, syn Starosty Duninowskiego, który jest przy mnie z zalecenia króla polskiego.

„Przyjęty byłem od króla (Fryderyka II) z większą jeszcze łaskawością i dystynkcyą niż innych czasów. Bawię się dobrze, jak zwyczaj w miastach wielkich i tego mi tylko nie dostaje, żebyście byli ze mną.

„Odgłos powietrza w Polsce uczynił tu wielką sensacyę i dla tego kordon już jest na granicach od Polski założony, pod komendą jenerała ułanów Usedom, mającego swój garnizon w Bydgoszczy, niedaleko granicy.

„Cudzoziemców tego roku na karnawał nie liczemy wielu, oprócz niektórych z Szląska, którzy się za cudzoziemców niezwykli liczyć. Graf Lehndorf znajomy WP. mój sąsiad nie znajduje się, a przeto ubył mi jeden dom, gdziem się był zwykł poufale zabawiać.“

Daléj d. 7 stycznia: „Karnawał tutejszy lubo wspaniały, nie jest jednak tak ludny jak przedtém, a to z przyczyny niebytności brata królewskiego księcia Henryka i synowca księcia pru-

ıkiego, który dla febry tercjanny w Potsdamie został.

„Moje przyjęcie i codzienne uczęszczanie u króla, nadzwyczaj, mogę mówić, z strony monarchy łaskawe. Staram się o ile możności, *bawiąc go*, oświadczyć mu moją wdzięczność. Jeżeli zaś w waszym kraju macie jakowe pogłoski o jego słabości, powiedzże WPan każdemu, a jeśliby chciał i był niedowiarkiem, przeczytaj, żem go zastał czerstwiejszego i zdrowszego niż był przed pięcią laty, tak zaś wesołego i raźnego, jakby miał lat ośmnaście. Piszę WPanu ten list jadłszy z nim obiad. Siedzieliśmy cztery godziny u stołu. Tak się dziadunio rozkomosił i mnie tak rozchichotał, żeśmy się śmieli jak dzieci, a napowiadaliśmy sobie bajek z półtoréj kopy, a między innemi był i Dubieck i Nienadowa i Nozdrzec. A ci, co stali za drzwiami rozumieli może, że szło o equilibrium całéj Europy, co i on sam powtarzał i śmiał się *ut octo*, a ja, *per consequens*, tyle drugie. Ale gdybyś WPan był ze mną, jakżebyśmy się bawili, jakżebyśmy ostrygi jedli. Martineau już ma brzuch tak odęty ostrygami, że go z sobą do karety brać ledwo mogę.

„Jadę do króla znowu na wieczerzę.“

W lutym znowu: (d. 3 luty). „Pokoju ja koniecznie chcę i wszyscy go pragnąć powinni. Chwała zaś panu Bogu, nie ma aparencyi, żeby się (przynajmniéj w tych czasach) miał przerwać. Dosyć

tego głupstwa po innych częściach świata. Daj Boże, żeby jeszcze Francuzi i Angielczycy chcieli się uspokoić, a my mówmy Amen!

„Król, zabawiwszy tu czas zwyczajny, powrócił do Potsdamu i tam sobie spokojnie odpoczywa, zupełnie zdrów. Książe pruski po kilkodniowéj febrze przyszedł także do zdrowia, nie mógł jednak być z królem w Berlinie, dla swojéj słabości. Księcia Henryka także nie było na karnawał, siedzi sobie spokojnie w Reinsbergu. Pałac tutejszy bardzo pięknie uformował, osobliwie apartamentem nowym i galeryą w kopersztychach. Do zabawek tutejszych braknie komedyi francuskiéj, która tu zwykle przedtém bywała. Opery zaś zwyczajnym trybem przez cały karnawał odprawowały się, i ich dekoracye wspaniałe, bardzo się podobały ks. Marcinowi.

„Ja tu myślę zabawić do marca, z skowronkami wybiorę się do Warmii na oczekiwanie przybycia państwa i infantów i infantek, zgoła całego Dubiecka.“

Oprócz innych zatrudnień, Biskup pamiętał tu o swym ulubionym ogrodzie, do którego kupił czterdzieści gwoździków żółtych, obiecując téż kwiaty posłać bratowéj i życząc, aby miała „Ogródek, żeby się nieboszczka królowa Semiramis, patrząc nań rozpłakała, a może gorzéj z zazdrości.“ Nie zapominał téż o portretach do galeryi swojéj, o które naglił. Febra kataralna, na którą

cierpiał, nie przeszkadzała mu pilno się dworem zajmować.

„Pisałem onegdaj (d. 3 lut.) więc od trzech dni żadnych nowych wiadomości nie przybyło, ani publicznych ani prywatnych. Czasy zaczynamy mieć lepsze, a na końcu tego miesiąca, Berlin zaczyna już używać wiosny.

„Król jest w Potsdamie, zdrów, pomimo łgarstwa gazeciarzów, którzy go od lat dziesięciu ustawicznie morzą, a on z nich sobie żartuje i ma się wyśmienicie. Ja za niedziel kilka, a może jeszcze i w tym miesiącu do Potsdamu wybieram się, spodziewając się niezabawem, jak i dawniéj, być tam zawołanym, na końcu tego, albo na początku przyszłego miesiąca. Oj, coby to tam można pokraść drzewek rzadkich i kwiatów, ale darmo, bo tamtejszy ogrodnik nie był uczynny.“

W marcu jeszcze był Biskup w Berlinie, i pisze d. 3 marca do brata znowu: „Przyczyną powszechnéj biedy, wielość nowych potrzeb, których przed tém nie znano, te zaś tak dalece w zwyczaj weszły, iż co było niegdyś zbytkiem, dziś bez tego obejść się nie można. Słudzy podrożeli, a służba gorsza, towary lada jakie, a cena wysoka. Jednem słowem, powiadają, że nasz wiek rozumny, a ja mówię, że głupi — i mam na to więcéj niż dwadzieścia cztery dowodów. Co lepszego, czy grosz pewny, czy dwa, które nie są? Będzie odpowiedź na Łowicz... Zdaje się to *in*

figuris, ale racz się waćpan zastanowić, uznasz, że lepsza gąska w kojcu niż dudek na kościele, i to jeszcze *in figuris*, ale łatwo WPan u siebie na to komentarz znajdziesz."

Ustęp ten odnosi się do myśli brata, który już o arcybiskupstwo gnieźnieńskie wcześnie w Warszawie zabiegać życzył.

Daléj w liście „O Hetmanie (Branickim, który się miał żenić z panną Engelhardt) tu nie mamy dokładnéj wiadomości, czyli się ożenił. Partya z wielu miar dobra, i dama ma być grzeczna i piękna. Szczęść mu P. Boże, ale w tym wieku już to podobno późno na gniazdo kwilić. Prawda, że to te marjaże...

„Posyłam bardzo podobne *silhouette* króla i kscia pruskiego. Każ je WPan w pierścienie wsadzić, taką oprawą jak antyki, bez kamieni, z obwódką małą złotą na około. Byłbym je kazał tu oprawić, ale zabrałoby wiele miejsca w liście, i port dość kosztowny, więcéjby WPana kosztowało. Ja ztąd po jaskółkach wylecę do domu, czekać będę *expansis manibus*, pożądanego przybycia, które rozweseli pustynię Heilsbergską.

„Z wiadomości publicznych nic osobliwego, warczą, dąsają się, ręce zacierają, plują w bok, po czuprynach się głaszczą, z góry patrzą, a kiedy do czego przyjdzie, nie robią nic. Oj prawdziwie nasz wiek, co głupi to głupi.

Posłałem królowi do Warszawy nowe wiersze

w rodzaju Satyry i mam kilka jeszcze podobnych w robocie, które, da Bóg, za przyjazdem WPan zobaczysz, a *może* i *drugi już dokończony* tom pana Podstolego."

Z Berlina jeszcze d. 15 marca:

„Wiadomości tutejsze dosyć ciche, bajki o zdrowiu królewskiém nie warte najmniejszego względu. Tak dobrze zdrów albo lepiéj niż za młodszych lat.

„Cóż WPan powiesz, gdy mu oznajmię, ale bardziéj jeszcze Jéjmości saméj, iż ten, który u mnie wczoraj jadł i dziś jeszcze jeść będzie wieczerzę, iż ten, który u mnie bywa, ze mną bywa, przy mnie bywa, koło mnie bywa, zowie się... Zgadnij WPan, jak się zowie? Oj! zapewne WPan nie zgadniesz! przecież zastanów się WPan, połóż list, pomyśl, rozmyśl się, weź na uwagę, kombinuj rzeczy, miarkuj okoliczności, głęboko rzeczy roztrząś, jedno z drugiego wnoś *quis? quid? ubi? quibus? auxilijs? Cur? quomodo? quando?* a no? zgadłeś WPan? otóżeś nie zgadł— Siedliski.

„Siedliski-ki-ki i jeszcze raz, ki. Nasz sąsiad, parafianin z Mościsk, dziedzic na Trzciańcu.

„Góra z górą się nie zejdzie, człowiek z człowiekiem się zejdzie.

„Przebył Anglię, Francyę, Włochy, Niemce, teraz tu się znajduje. Był prezentowany u dworu przez Rezydenta Cesarskiego i notabene ma Baranią głowę ową pod szyją i dwie perły w kie-

szeni, a to po ś. p. ojcu, zastawnym sposobem od ś. p. Sanguszki. Daj im Panie Jezu Chryste wieczny odpoczynek — Amen.“

Podróż się zwlekała do Warmii, w końcu marca Biskup siedział jeszcze w Berlinie. Dnia 25 pisze: „U nas tu wiosna już się zaczęła, a z nią ekzercycye wojenne, burzliwe, wrzaskliwe, grzmotne. Widok jednak bardzo piękny i ja się wstrzymać sam od tego nie mogę, żebym na niego nie uczęszczał. Rozumiem, że i WPan, choć nie w tak wielkiéj liczbie, masz u siebie podobne i równie się ze mną bawisz, większy zaś odemnie jeszcze smak czujesz, ile jednego z niemi będąc rzemiosła“ (p. Antoni służył wprzódy wojskowo).

O tych to paradach berlińskich, z tego samego prawdopodobnie czasu, jest list do S. (wyd. Dmóch. XXXI) do S., w którym Biskup ostatecznie konkluduje:

Czy to wojna, czy przymierze,
I co daje, i co bierze,
Na to, czém jest, nie pamięta,
Zgoła, ludzie są zwierzęta.

Porównywa te ruchy wojskowe do fenomenów niszczących w przyrodzie:

Jak Etna ogniami swemi,
Jak nagłe trzęsienie ziemi,
Jak płomień mièszkania zrzący,
Jak ulew nadbrzeża rwący,

Jak żywioły w swoim sporze,
Jak zbujałe wiatry, morze...

Powrót do Warmii zwlekał się ciągle, w liście 27 marca, odkładał go Biskup do końca kwietnia, do początku maja, bolejąc nad tém, że w swym ogrodzie nie zobaczy rozkwitających narcyzów, aurykułów i hiacynthów (z Potsdamu).

„Przerwałem pisanie, a wiesz WPan dlaczego? Oto aktualnie pod mojém oknem ośmnaście doboszów bębni. Skończyli i zaczyna się parada gwardyi, a cóż to za piękny lud! jakaż to sprawność! Jakżebyś WPan na to z gustem patrzał. Ot że król, — imaginuj sobie WPan człowieka siedmdziesiąt letniego, na koniu polskim czarnym, rzeźkim, rzeżnym, młodym, skaczącym, harcującym, a ten co na nim siedzi, jak nasz Rudnicki (Jenerał) skakający przez linę pod Nożdrzcem. Ot że to ten, którego mniemają być w łóżku, konającym, dogorywającym, tlącym się i ostatnie siły dobywającym. Śmiej się WPan z odgłosów fałszywych, a rozumiem, że świadek lepiéj o tém wie niż gazety.

„Połowę listu pisałem przed obiadem, teraz powracam i oznajmuję, żeśmy gadali o Dubiecku. Wie król pruski, iż z Dubieckiem z jednéj strony graniczy Nienadowa, z drugiéj Ruska wieś, z trzeciéj Bachorzec, z czwartéj Śliwnica, z piątéj Hucisko. Przez dwie godziny, kiedy może cała Europa rozumiała, że się interesa Monarchii roztrzą-

sają, my gadali o nieboszczyku ks. Janie, co grał ze mną w Nieśmiertelnice, o pani Boznańskiéj, co nas wychowała, o pani Żółkiewskiéj, co była dwadzieścia trzy razy w Częstochowie, o Józefie Boznańskim, co był moim Marszałkiem pod czas Trybunału, nawet Kazimierz Kowalski z gulą był na placu. Geniusz ten wielki, dyrygujący machiną Europy, bawi się szczególnościami i WPana batalia z ks. Jędrzejem rozśmieszyła go tak, jak gdyby nasz Bukowski opowiadał o Lali, z którą się kuł w pyski, w kaplicy moskiewskiéj. Ten jest tryb naszego życia w Potsdamie. Staruszek wesoły, grzeczny, miły, lubi być bawionym i lubi kiedy ci, co są z nim, dopomagają jego rubaszności. Imaginuj sobie WPan zwycięzcę, prawodawcę, mędrca, śmiejącego się nad pojedynkiem WPana z ks. Jędrzejem, powiadającego najśmieszniejsze historyjki, śmiejącego się trzy godziny u obiadu, dwie u wieczerzy, piszącego książki, dyrygującego nietylko monarchią swoją, ale... Ta jest definicya człowieka, z którym ja mieszkam, a któréj może potomność wierzyć nie będzie.“

Owszem, potomność znakomitego komedyanta w Fryderyku II ocenić umiała.

Dnia 17 kwietnia w nocy nareszcie Krasicki opuścił Berlin, miał jeszcze zabawić dni kilka u księcia Henryka w Reinsbergu, a dnia 2 lub 3 stanąć w Gdańsku, zaś w Heilsbergu na śgo Stanisława. W Potsdamie rzucał króla zdrowego i ma-

newra wojenne, któremi był zajęty „ze wszystkich stron, wedle zwyczaju rozpoczęte.“

W Heilsbergu oczekiwał Biskup odwiedzin obojga braterstwa, naprzeciw których wyjechać miał, *cum subsidio charitativo,* ks. Kalnassy, a oprócz tego wojewody Bełzkiego, w powrocie z Holandyi, mającego odwiedzić przyjaciela.

„Ja, przyjechawszy do domu,“ pisze d. 25 maja, „dotąd się jeszcze dobrze roztasować nie mogę, a muszę go w tych dniach porzucić i jechać do Grudziądza do króla, aby tam z nim obozować dni kilka. Szkoda, że krucyaty ustały, zdaje mi się, żebym wszystkich biskupów w rycerstwie przeszedł.

Zapraszano Krasickiego do Polski: „Z Warszawy,“ pisze w liście d. 14 czerwca, „odbieram nader grzeczne i łaskawe oświadczenia. Pani Krakowska zaprasza mnie do Białego Stoku. Gdyby to w kompanii z państwem tę wizytę oddać, ale ja sobie tylko pochlebiam, a WPaństwo takeście się w swojéj Galicyi zakochali, że o nas prusakach nie pamiętacie.“

Listy do Dubiecka rzadkie czasu pobytu w Warszawie, gdzie i ludzie i praca więcéj zajmowała Krasickiego, teraz są znowu częstsze. Dnia 3 sierpnia tegoż roku (1781) zaczyna tak do brata:

„Bo co innego było w Warszawie, a co innego w Heilsbergu. Na tamtém miejscu takem był roztargniony, zabałamucony, iż ledwie można było

wynaleść momencik ku pisaniu, teraz w domu mam ich podostatkiem, a zatém wracam się do dawnego trybu.

„Z publicznych wiadomości to téż WPanu donoszę, iż książe pruski jedzie do Petersburga. Siódmego tego miesiąca ma z Berlina wyruszyć, w Królewcu jedenastego stanąć i tam dzień zabawi. Ja więc tam także pojadę, żeby go przywitać, a za powrotem także drogę mu zajechać myślę. Politykowie mają się nad czém zastanawiać, ja trzymam z gminem, że te wszystkie monarchiczne wizyty, żadnych nowych obrotów na świecie nie przyniosą. Czas resztę odkryje.

„Skończyłem w czasie bytności mojéj w Warszawie Wojnę Chocimską. Gdym wyjeżdżał, już pierwsze karty były wydrukowane. Każ je WPan zatém sobie zamówić, jabym przysłał, ale transport dalszy, a przeto więcéjby kosztował. Także téż kilka nowych rzeczy przybyło, te były drukowane; to jest wiersze do ks. Stanisława Poniatowskiego o podróży, do p. Lucińskiego podczaszego królewskiego o piwie i miodzie, do p. Rodkiewicza. Z małych rzecze na drugiéj karcie komunikuję to, com pisał do Mniszcha Michała sekretarza lit., ponieważ te wierszyki nie są jeszcze w druku. (Jest to znany: Panie Michale, wiesz doskonale i t. d.).

Przez kilka tygodni chory na palce u ręki, Biskup nie pisał; następny list poczyna od opisu

ciekawego obyczaju, przy obchodzie dnia śgo Wawrzyńca (d. 9 sierp.): „A u WPaństwa w Dubiecku w wigilią śgo Wawrzyńca czy jest ogień w kuchni? W Heilsbergu nie masz, a panny boso processyę odprawują. Ot że najpryncypalniejsza Warmińska nowina.“

Chociaż stosunki z dworem Berlińskim, z królem starym, z księciem następcą i ks. Henrykiem były jak najlepsze, odżywione pobytem w Warszawie, a może naleganiami króla Poniatowskiego wspomnienia własnego kraju, ciągnęły ku Polsce. Starano się tu oględnie o jakąś nową katedrę, myśląc o zrezygnowaniu Warmińskiéj. Na widoku, choć dalszym, było i biskupstwo krakowskie i arcybiskupstwo gnieźnieńskie, chociaż do obu przystęp był trudny, a obietnice dworu bardzo słabe. Wszystko to na dalekim planie jeszcze się ukazywało. W listach następnych są tylko napomknienia.

W roku 1782 dnia 27 stycznia, Biskup pisze, z miejsca chwilowego swojego pobytu we Frauenburgu, do brata:

„Zacząłem się był gniewać, a jakem zaczął ciągnąłem gniew mój aż do dnia wczorajszego, w którym przecie odebrałem list WPana z 11 tego miesiąca z Warszawy pisany na wyjezdném. Uśmieszyła mnie naprzód postać zwierzchnia onego, jakem zaś postrzegł *intus* dwa volumina in folio,

to co wprzód było gniewem, stało się wdzięcznością. Wypłacam się z niéj, i chociaż in quarto, niemniéj uprzejmie i ochoczo.

„Relacya konferencyi z królem JMcią tak dokładna, jakbym listy onego sławnego posła w Rzymie kardynała d'Ossat czytał. Wyrozumiałeś WPan tak, jak i ja, iż nas kochają, a kochają dobrze, bo na fundamencie szacunku, że więc i kochają i dobrze kochają, nie mamy się podobno przyczyny obadwa gniewać. Oj, gdyby mogli co chcą, albo raczéj, gdyby raczyli chcieć a dzielnie, oszczędziłoby się z obu stron wiele przykrości. Że więc chcą, wiemy, żeby zaś tak chcieli, jak sobie życzem, tego prosić należy, w którego ręku serca Monarchów.

„Poznałeś WP. gruntownie i winszuję, żeś tak poznał księcia Stanisława, uznałeś, że com mówił nie było uprzedzeniem przyjaźni. Mało się takich znajduje, osobliwie w młodzieży, w którychby lepsze było co wewnątrz niż z wierzchu.

„Jam w dni kilka wybrał się do Frauenburga i dotąd tu siedzę z ks. koadjutorem Chełmińskim, który dopiero d. 4 lutego ma ztąd wyjechać do Chełmna. Zdrowiśmy wszyscy i niezdrowiśmy wszyscy, bo czasy niegodziwe, a zatém wszyscy bez excepcyi w ustawicznym katarze. Jużeśmy tabaczki wyżyli kilka garncy, a jednakowo i kichamy i katar trwa, a czy się czasy poprawią, albo téż wiosna zawita?

„Dnia onegdajszego byliśmy na solennéj uczcie w Brunsbergu u Jenerała Goltza *in gratiam* urodzin króla pruskiego. Stół był na czterdzieści osób i dobrze jeść, ale jak nam zaczęli trąbić, przetrąbili nam uszy, a tak dobrze przetrąbili, żeśmy prawie głusi. Tryb nasz zwyczajnym sposobem. Loterya dotąd trwa, ponieważ ta gra ks. koadjutorowi najbardziéj do gustu. Siedziemy więc nad ambem i ternem, a staruszek Markwart rzeźko się uwija [1]).

„German zaś z okularami na nosie ślabizuje numera jak może.“ W końcu listu dopomina się Biskup o obietnice: „A owe materyjki fioletowe? a będą? a kiedy będą? a przez kogo? a jak? Oj! proszę, proszę! *date obolum Belisario,* a już notabene dziura na łokciu w mojéj czamarze, która się kłania wraz z tém, co ją zdarł.“

Zajmowały go mocno sprawy krajowe, familijne, nawet kontrakty lwowskie, zamiany dóbr, kupna i sprzedaże, jak świadczy list następujący: (Frauenburg 9 marca 1782).

„Dawno jeszcze nieboszczyk kasztelan Halicki pragnął Komarna, uboga wdówka tandem go odzierży (kasztelan Halicki Józef Bielski, wdówka,

---

[1]) Jest to ten sam ks. Józef Joachim Markwart Warmijczyk, który tłómaczył Bajki Krasickiego na język łaciński: (Fabulae principie poloni versu jambico etc. etc. Varsav. Dufour. 1796) i niemiecki. Należał do zgromadzenia Pijarów.

Konstancya Bekierska, druga jego żona). O Wiszniowiecki! cobyś na to powiedział! Ale to zwyczajny rzeczy ludzkich kołowrot, jednym do góry, drugim na dół iść każe. Może i to Komarno przed Wiszniowieckiemi różnych miało panów. Nie nowina w Polsce widzieć podstarościm pańskiego syna lub wnuka. Majoraty zabiegają temu gdzieindziéj, ale dla powszechności kraju czy Piotr czy Paweł bogaty rzecz obojętna, byleby bogactwa za kraj nie wychodziły.

„Książę Jenerał artyleryi (Kaźm. Nestor Sapieha) partyą jest dobrą dla księżnéj Marszałkowéj (Anna z Cetnerów, wdowa po Sanguszce Józefie Marsz. Lit. zmarłym 1781), ile przy kanclerstwie i dla tytułu i dla konsyderacyi w kraju i dla możności i dla wsparcia krwi. Nie znam go gruntownie, alem ojca był z niemowlęctwa, mogę mówić, najściślejszym przyjacielem. Pochlebiam sobie, iż grunt podściwy wszedł w syna, a byleby porywczość młodości uśmierzać chciał, stanie się i ozdobą, i wsparciem nietylko familii, ale kraju.

„Rzadki to ptak teraz człowiek prawy na wysokim stopniu, tém téż gorzéj dla klatki. Pomyślność zwykła psuć, ale którzy się nią psują, dali uczuć, iż niegodnemi się stali stanu i stopnia, na których je P. Bóg osadził. *Magistratus probat virum.* Niech nasz pan Kaźmierz weźmie za cel onego Leona, który umiał połączyć umie-

jętność z religią, żarliwość o dobro ojczyzny z roztropnością, szacunek Tronu z miłością braci. Temi kroki stał się wielkim nie przez urząd, ale przez siebie samego.„

Mowa tu o Lwie Sapiezie Hetm. i Kanclerzu Lit. O projektach warszawskich, pisze Biskup: (14 marca 1782). „Jeżeli P. Bóg zechce stanie się co WPan koło mnie zamyślasz, ja w mojéj rezygnacyi trwam, zdarzy co Opatrzność Boża, przyjmę z wdzięcznością, nie zdarzy, przestanę z ochotą na tém, co mam, a choćby i to stracić przyszło, *impavidum ferient ruinae.* Mój mnie dobry humor nie odstąpi, bom się umiał wznieść nad igrzyska losu. Z głodu nie umrę, choćby mi wszystkiego brakło, nie wątpię, że znajdą się tacy, którzy dadzą *obolum Belisario.*

„U nas tu oprócz wiatrów i dzwonów cichusieńko; ja jakem w przeszłym liście namienił, wybieram się do Królewca. Wzięła się u nas wiosna bardzo pięknie, już skowronki śpiewały, trawki się pokazywały, skorom ułożył projekt podróży królewieckiéj, wróciła się zima, i kto wie czy sankami nie pojadę.

„Ale, ale, czego przez lat piętnaście nie widzieliśmy, pierwszy się przykład u mnie ziścił. Wygrałem w loteryi quinterno, proszę to Ksawerkowi powiedzieć.“

Była to chwila, gdy sprawa ks. Biskupa Sołtyka agitować się zaczynała. Donoszono o tèm do

Heilsberga. D. 30 marca książę odpisuje: „Dziękuję za komunikowane wiadomości o księciu Biskupie krakowskim, dochodzą mnie z wielu miejsc, ale piszący w zdaniach sobie tak przeciwni, iż dotąd jeszcze pewnego zdania o postępkach kapituły i stanie zdrowia i rozumu pasterza mieć nie można. Komisya wyznaczona oświeci nas, jeżeli tylko i ta jakową prywatą się nie uwiedzie, o czém jednak wątpię, gdyż ludzie godni nietylko z urzędu ale z charakteru i sposobu myślenia są wyznaczeni.

„Wyraziłem był dawniéj o chorobie ks. Prymasa (Ostrowskiego Antoniego, który zmarł 1784 w Paryżu) nic mi teraz nie piszą. Znać iż albo w jednym stanie, albo się téż lepiéj mieć poczyna. Dnia jutrzejszego spodziewam się listów od Kalnassego z Warszawy“ [1]).

Wszystkie te starania pochodziły pono głównie z téj przyczyny, że dochody biskupstwa uszczuplone, na życie wystawne, pańskie i dworne nie starczyły. Poczynały się troski i utyskiwania na niedostatek, ale trybu życia trudno było odmienić. Rodzina zabiegała zawczasu o prymasowstwo lub biskupstwo krakowskie, nie chcąc się dorozumieć tego, że król naprzód rodzonego brata, Biskupa Płockiego, musiał na jednę z tych katedr prowadzić.

---

[1]) Ks. Joachim Kalnassy Kanon. Warm. Sekretarz i prawa ręka Biskupa.

Dnia 4 kwietnia książę pisze do brata: „Wiadomo jest dostatecznie WPanu sytuacya moja, połową intraty długi krajowe opłacam, połową ledwie się sam wyżywić mogę.“

„Co jest w mocy mojéj, udzielam; a ta jest rada, ażebyś WPan korzystał z okoliczności marjażu przyszłego, a o sobie chciał myśleć, *odłożywszy na potém projekta dla mnie.* Rzecz jest pewna, że książe Biskup Płocki (Poniatowski, późniejszy prymas) prymasowstwa chce. Jestem o tém z Warszawy upewniony, z prymasowstwem Biskupstwo krakowskie złączyć pragnie. Zapewne rzeczy i od Moskwy zamówione, i wyprawiony Ghighiotti do Wiednia dla ukartowania rzeczy z papieżem, wielkie więc podobieństwo, iż się projekta nadadzą, a choćby się i nie udały, prymas zdrów i może jeszcze długo żyć będzie, nie źle jest perspektywę jakową nadal ułożyć, ale z drugiéj strony dla niepewnych rzeczy, pewnych opuszczać nie należy. Dla tych więc przyczyn, jak WPan pojedziesz do Biało Cerkwi [1]), Wmość o swoim interesie traktuj i staraj się albo sumą albo przyjęciem długów swój los polepszyć, córki postanowić, a dopiero to ułożywszy, o moich plantach nadal myśl. Z serca to mówię, ambicya mnie i miłość własna nie zaślepia, a szczęście WP. i jego dzieci nad moje przekładam, przy-

[1]) Na wesele Hetmana Branickiego.

zwyczajony jestem przestawać na małém, nie będzie mi i nadal przykra moja mierność, słodzić zaś mój stan będzie wieść o WPana pomyślnościach."

Przestrzegał wreszcie Biskup, aby brat nie bardzo obietnicom wierzył. Czém była ta „mierność," o któréj Krasicki mówi z taką rezygnacyą, zobaczymy to niżéj.

Otóż i nowiny majowe: (Heilsberg d. 5 maja 1782). „Nie wart ten maj, żeby go majem zwać, na dworze śnieg, a *per consequens* ogień na kominie. Czy się świat do góry nogami wywrócił, czy Antychryst się zbliża, czy jakie inne są przyczyny tych zwierzchnych rewolucyj, zostawmy to teologom i astronomom, a ja się do odpowiedzi na list WPana zwracam.

„Refleksye piękne, moralne, spektatora godne i ja też także umiem czynić, ale między czynić a działać jest przedział, a w tym przedziale rów, a na rowie mostka częstokroć nie masz, a przeskoczyć albo nie można, albo się i nie chce."

„D. 15 kwietnia zmarł w Gdańsku opat Oliwski w 78 r. życia. My osobliwie ogrodnicy w żałobie po nim chodzić powinniśmy. Biskup krakowski nie długo wieczny, Biskupstwo nowe w Galicyi czyli Spizkie czy Tarnowskie urośnie. Nie możnaby téż przez Wojewodę Bełzkiego i innych zacząć mocno w Wiedniu negocyacye, żeby się któremu z księży braci dostało?"

Myślano téż o Przemyślskiém biskupstwie, a tymczasowo o Koadjutoryi, o Lwowskiém albo Chełmskiém, choć żadne z nich nie doszło braci Biskupa. Pomoc Wojewody Bełzkiego, na którą rachowano, znać nie była skuteczną.

W czerwcu książę zjechał do obozu królewskiego na manewra pod Mokosów (?), gdzie go doszła sztafeta od brata z wiadomością o postanowieniu córki starszéj pana Antoniego. Biskup odpisuje bratu: „Znajdowałem się z królem. Opowiedziałem mu więc pomyślność naszą i winszował jéj. Gdyby do tego winszowania przydał był ze sto tysięcy talarów, komplement byłby tém wdzięczniejszy. Ale w tym wieku monarchowie umieją tylko zbierać, nie dawać. Niechże sobie zbierają, a my się tymczasem cieszmy jak możemy.“

W liście dość wesołym kłania się od ogrodów Heilsbergskich, do których angielskie przybyły, ogrodom w Dubiecku.

Pomimo tych żarcików przebija się troska i kłopoty finansowe. Wojewodzie Bełzkiemu, chciał Biskup sprzedać jakiś obraz za dwieście czerwonych złotych, żądając tylko gotówki. O królu wzmiankuje (d. 8 czerwca): „Król w zupełném zdrowiu i tak rzeźwy jak dawniéj, mimo wiek podeszły, największe fatygi, jak młody, rzeźko i wesoło znosi...

„O wojnie tureckiéj u nas nieustanne odgłosy, zdaje mi się jednak, że się ta wieść skończy tak,

jak się kończyć zwykły w podobnych okolicznościach inne.“ W kilka tygodni późniéj dopisuje znów: „U nas o wojnie nic nie słychać, a mnie się zdaje, że to będzie owo: *parturiunt montes.*“

Tęsknota do rodziny i Dubiecka, pomimo bardzo ciężkich czasów, skłoniła Biskupa w tym roku do podróży, którą obrócił na Warszawę, aby się tam królowi i ks. Stanisławowi Poniatowskiemu przypomnieć.

Wpływały na to może i widoki jakie na przyszłość lub chęć zbadania położenia na miejscu. Przyjęcie poety w stolicy było nadzwyczaj świetne i serdeczne, a król i wszystko, co go otaczało, siliło się na okazanie czci i przekonanie, że na miłości w ich sercach nie stracił. Do téj epoki wszyscy niemal biografowie odnoszą wiersz Trembeckiego „Gość w Heilsbergu“ zmieniając tytuł na: „Gość z Heilsberga.“ W istocie poezya pod tym tytułem jest cale różną, od téj, którą Trembecki powitał przybywającego Biskupa.

Powitalny ów poemat poczyna się od wyrazów:

Książe! (bo rozum, słuszność, urodzenie zlały
Razem na twą osobę ten tytuł wspaniały).

Trembecki cieszy się, iż gość przybywający wcale się nie odmienił.

Jakoś od nas wyjechał, tak wracasz kochany.

Przybycie tylko jego cudów w Warszawie dokazuje: (dziwy w Warszawie wyrabia).

A między innemi i ten, że Trembecki przychodzi razem do Biskupa, ze „słodkim Organistą,“ to jest z Węgierskim, który mu właśnie przypisał Organy.

Wiersz cały pełen pochwał i największéj czci dla poety.

Nie ty gonisz za sławą, lecz za tobą sława!

Boleje Trembecki nad położeniem kraju, nad niemocą jego.

Ztąd przybyłeś zkąd Polska strapiona. Jest to aluzya do Fryderyka II. Przybywasz, mówi daléj, ztamtąd gdzie ci nie wolno zapłakać rzewnie, — abyś tu naszego króla przykry żal ukoił.

Tu dłużnych twojéj sławie odbierasz życzenia,
Tu ci król, tu cię możni tu i słabi pędem
Szlą serca na ofiary, z lat pomyślnych rzędem.

Dowiadujemy się, że Krasicki przywiózł Sekretarzowi króla ks. Ghighiotti pierścień z diamentu czarnego, z wyrytym na nim Jezuitą (?).

Wiersz poczęty szumnie, dosyć piękny w dalszém rozwinięciu, kończy się jakoś nieforemnie i słabo. Zamykające go wyrażenie:

„Dla ciebie tylko będę oddychał *umyślnie*“ nie bardzo szczęśliwe.

Ze wspomnienia o słodkim organiście okazuje się, że Węgierski tegoż dnia ofiarował Krasickiemu swoje Organy, z dedykacyą w stylu sobie właściwym, która się poczyna:

„Nie księciu i kawalerowi orderów, bo w oczy moje blask ten nie uderza, nie posiadaczowi prawie udzielnemu rozległego biskupstwa, bo kanonikiem Warmińskim być nie myślę, nie fawotytowi i poufałemu przyjacielowi dwóch królów, bo od jednego daleko W. Ks. Mość mieszkasz, a obcego łaska na mało mi się przyda; ale wielkiemu autorowi Myszeidos, ale dowcipnemu krytykowi trybunałów i sejmików w Doświadczyńskim, ale zabawnemu w posiedzeniu, ale jednemu z najpierwszych na parnasie naszym poecie, to dzieło moje dedykuję.“

Węgierski puszcza się potém w długą gawędę, cale nie w miejscu narzekając na mnożenie się niepotrzebne poetów niedołężnych. Jeden z listów Krasickiego (XIX) zdaje się być odpowiedzią na to utyskiwanie.

W chwili przybycia Biskupa, Warszawa była dosyć ożywioną, gotowano się do Sejmu, który miał roztrzygać o losie Sołtyka. Być może, iż przybycie Krasickiego i pierścień ofiarowany ks. Ghighiotti przygotowywały staranie o Biskupstwo Krakowskie. Na miejscu przekonać się mógł jednak, że zbyt wiele było do przezwyciężenia trudności.

Warszawa była w żałobie po niedawno zmarłym Wojewodzie Ruskim; po upadku Tyzenhauza, który zmieniał wpływy, jakim król ulegał, w niepokoju o burzliwe sceny, które sprawa Biskupa krakowskiego zapowiadała; a Poniatowski przez Wojewodzicowę Mścisławską poróżniony z Hetmanem Branickim, był téż w przykrém położeniu. Z Warszawy, jak widać z opisu podróży wierszem i prozą przesłanéj ks. Stanisławowi Poniatowskiemu, Biskup udał się na Willanów, Jeziornę, Górę, Czersk, Mniszew (Ryczywół) Kozienice, Sieciechów, Czarnolas, Gniewoszów, Puławy, Tarnogród, Jarosław, Sieniawę do celu swojéj wycieczki. List, dowcipnie opowiadający całą tę wędrówkę, wszystkim jest znany, równie jak powrót z Dubiecka, na Żółkiew, Krasnystaw i Kock. Oba listy te osobno były drukowane. Krasicki późniéj w tym rodzaju pisał jeszcze wiele innych, między innemi i do Szczęsnego Potockiego z powodu przyobiecanéj, a potém przysłanéj mu wilczury. Wesołe te, leciuchne, zabawne płody muzy miały w swoim czasie nadzwyczajne powodzenie, prawda, że wytworności ich, świetności wiersza, łatwości jego nikt nie dorównywał.

Podróż ta, oprócz pociechy dla serca, odświeżenia pamiątek rodzinnych, rozrywki, zresztą innych nie miała skutków.

W następnym roku 1783, zdaje się, że Biskup pozostał u siebie w Heilsbergu, listów z tego czasu mało. W sierpniu jeden nieco dłuższy pisze do brata: (22 sierp.). „Nie wiem, czyście mieli wiadomość o książce w Hanowerze przed laty kilku pisanéj, w któréj powiadają, że autor przepowiedział trzęsienie ziemi w Kalabryi i nową wyspę, która razem z morza wyszła około Islandyi. Tenże przepowiada, że około Austryi i Morawy wielkie w r. 1786 będą powodzie, Ren wyschnie zupełnie, kanał morski la Manche piaskiem zamulony będzie, a przeto Anglia przestanie być wyspą. Ale mnie się jednak zdaje, że to gdzieś dzwony leją, albo według powieści francuskiéj farbują karmazyn.

„Proszę powiedzieć Jejmości, że wiele odmian w ogrodzie tego roku, zamiast jednéj trzy kaskady, promenady przedziwne, a kwiatów bez liku. W ogrodach pod mostem fontanny za kilkanaście dni już bić będą. Półtora razy wyższe niż są w ogrodzie. Oj! jakże to będzie pięknie. JMPani Hrabina, a chcesz to pani widzieć? przyjedźże pani do Heilsberga.

„O wojnie i pokoju różne tu wieści, skończą się jednakże podobno na tém, że Turczyn się będzie musiał dobrze opłacić, a po co głupi?

„Ś. Bartłomiej nadchodzi, czas rozpoczęcia u nas polowań, pojadę więc na kilka dni do Smolan na końcu tego, albo na początku przyszłego miesiąca,

a jaki plon odniosę, rzetelnie (mimo przywiléj myśliwski) — wyrazić nie omieszkam.

„Moje listy pana Wojewodę Bełzkiego bawią, proszę mu powiedzieć, iż jego odpowiedzi równie byłyby mi wdzięczne i miłe, a winien już na dwa moje listy. A notabene jeden był o wino węgierskie, trunek u wpaństwa *ut quatuor*, a u nas *ut octo*.

„Jak widzę, z Warszawy Marszałkostwo wielkie weźmie Mniszech, nadworne złoży Rzewuski, a to się ma dostać Raczyńskiemu Marszałkowi Rady Nieustającéj. Czyby téż to kto był śmiał wywróżyć przed kilką laty, kiedy przez garderobę na audjencyę przepuszczano do pana Ministra?“

W następnym roku 1784, wiemy tylko, iż ulubione ogrody w Smolanach i Heilsbergu zajmowały Biskupa. „U nas,“ powiada w liście 6 maja, „u nas i pusto i cicho, bawiemy się jak możemy. Ja roboty zwykłe około ogrodów rozpoczynam. Smolański podoba się z czasem. Dopiero to tam pokażą się angielszczyzny! a jakie! Oto takie, o jakie w całéj okolicy będzie trudno. Cóż czynić? trzeba się bawić na starość jak można, każdy w swoim kącie.

„Ja myślę jechać do Tylży, jak będzie ciepło i droga dobra, a tymczasem będę się przejeżdżał z Heilsberga do Smolan, z Smolan do Heilsberga.“

Do tego roku odnosi się ów wiersz Trembeckiego, który ma tytuł:

„Gość w Heilsbergu“ Gościem jest niekto inny tylko to posłanie poety.

Książe, jasnego domu szczepie znakomity,
Któremu większe dajesz nad wzięte zaszczyty.

Żali się poeta, że takiego męża za granicami kraju szukać potrzeba, ubolewa nad tém, iż go stracono. Zanotujmy tu trafny ten wiersz:

Szerząc światło rozsądku, nie słabiłeś wiary.

Ślicznie powiada potém, że Rzeczpospolita odjęcie jéj Krasickiego za „czwartą wyrządzoną sobie szkodę liczy.“ Wzywa go, aby pamiętał o kraju, mieszkając w „bursztynowéj“ ziemi.

Tu się znajdują dwa, tak często powtarzane wiersze:

A cnéj pisania sztuki z dowcipem i gustem,
Tyś pierwsze dał przykłady pod naszym Augustem:
Rządzca ten, gdy swe państwa biegłemi obdarzał,
Ciebie umiał *wynaleść*, a innych postwarzał.

Wiersz ten cały piękniejszy, silniejszy, szczęśliwszy jest od powitania w r. 1782. Poeta nawiedza nim Biskupa, aby w Heilsbergu zaczerpnąć siły, porównywając pobyt tam do odwiedzin Voltair'a w Ferney. Ztąd chciał natchnienia Trem-

becki, aby przemówić do posłow jadących do Grodna o sejm zgodny, a narady rozumne. Główną treścią jest zachęta do przyjaznych stosunków z potężném państwem sąsiedniém, przejednania i zapomnienia uraz dawnych. Wzywa posłów, aby radzili zgodnie, a ułożyli „rząd czynniejszy.“

W przymierzu z jednym sąsiadem, szukał Trembecki „ochrony od Teutonów;“ kończy wreszcie poeta:

Głos mój słaby ustaje, książe wznieś twe tony,
Które naród przychylnie słuchać wzwyczajony,
Kieruj żywszą namową umysły swobodne,
Zaleć zgodę obradom, a staną się zgodne.

Jest to najlepsze świadectwo, jak swego czasu wiele ważył głos Biskupa, umiarkowany, pojednawczy, a rzeczywistą miłością kraju natchniony. On jeden umiał tak do serc i umysłów przemawiać, iż ich nie jątrzył, a kierował niemi.

O ile wiemy, Biskup na to wezwanie, poważniejszym wierszem nie odpowiedział. Z pewnych względów jednak na pół żartobliwy list prozą i wierszami do I. B. (Dmóchowski, XIV), proszący go o donoszenie nowin sejmowych z Grodna, uważać można, jeśli nie za odpowiedź wprost, to za rzecz natchnioną tą samą myślą, która Trembeckiemu dała pióro w rękę. Krasicki prosi p. I. B. aby mu doniósł:

Jako wszyscy zagrzani ojczyzny miłością,
Pałając, godną Sparty, cnotą, żarliwością,
Zapomnieli o żądzach, z których się wyzuli,
Napisz, jako o dobro braci swoich czuli,
Zrzucili uprzedzenia, dobrego się jęli,
Nie podli, nie matacze, wspaniali i śmieli.
Czyniąc, co czynić można, bez trwogi, bez zysku,
Jak mogli kraj dźwignęli z nędzy i ucisku.

Radby się dowiedzieć, że nie po to przybyli do Grodna,

Ażeby brali,
Ażeby zwiedli,
Pili i jedli,
Aby tracili,
Jedli i pili,
Dawnym zwyczajem,
Gryźli się wzajem.

Kończy Krasicki swe życzenia tém:

Kiedy się Wójt pracy ima,
A gromada z Wójtem trzyma:
Idzie wszystko dobrym torem:
Ale gdzie idzie oporem,
Gdy z Wójtem robić nie rada,
Mało zbierze ta gromada.

Sejm ten, pierwszy w Grodnie za panowania Stanisława Augusta, o który tak się król zdawał lękać, gdyż jego skazówce z góry te poetyczne odezwy przypisać potrzeba, szczęśliwiéj się złożył, niż się spodziewano. Wprawdzie nie zaniedbano

nic, aby sobie Litwę pozyskać, posłów mieć powolnych, ale usposobienia sejmujących były w ogóle dosyć łagodne, opozycya ani zbyt silnie, ani w sposób przykry nie występowała — król przeprowadził na nim co chciał i, zamykając obrady, głosił się szczęśliwym.

Z roku następującego 1785 mamy mało wiadomości o Heilsbergu, w listach są po większéj części nowiny domowe i familijne. Z powodu spalenia się Niemirowa, majątku Józefa Stadnickiego, (męża Katarzyny Krasickiéj), Biskup zalecał asekuracye od ognia, już w Prusiech praktykowane. Żalił się, że rodzina zapominała o młodym Fredrze, którego wziął w swą opiekę. „Żal się Boże piękne nazwisko nosić, a myśleć gorzéj niż dzicy ludzie.“

Pani Antoniowa omyłką przesyłając nasionka *poziomek* ananasowych, napisała w liście do Biskupa „*wisznie ananasowe.*“ Na to miłośnik ogrodów odpowiada żartobliwie: „Mościa dobrodziejko, z jak najuniżeńszym pokłonem odebrałem parę ziarnek tego, co to WPani nazywasz ananasowemi wiszniami. Dziwna to jakaś rzecz będzie, gdy się z ziarnek wisznie zrodzą, bez pestki lub zaszczepienia. Kazałem więc jak najprędzéj owe pare ziarnek zasiać i wielkiemi literami na garnku napisać: Wisznie ananasowe. A jeśli z tych wiszeń będą poziomki, oznajmuję, iż ich mam dosyć,

i wielce są rozmnożone, nietylko u mnie, u moich kanoników, u moich plebanów, u moich szlachciców, u moich mieszczan, ale już i Sołtysi zaczynają je mieć, więc przyjdzie kolej do chłopów — a daléj do zagrodników.“

Dobry humor nigdy nie opuszczał Biskupa, jak widzimy, i rzadko kiedy zakłopotany stęknął. Ten humor był dlań najszczęśliwszém natchnieniem i jego cechą jako pisarza.

W następnym roku 1786 wyszły listy i pisma różne, mieszczące właśnie najświeższe owoce niewyczerpanéj werwy ulubionego poety.

Te „wiersze z prozą,“ w których Krasicki celował, swojego czasu z nadzwyczajnym aplauzem przyjmowane — jako dzieło kunsztu są, prawdę rzekłszy, hybrydem i rzeczą ułomną. Nie mogą one mieć nigdy poważnéj, jednolitéj wysokiéj piękności skończonych dzieł artystycznych. Coś to jest na kształt rzeźb kolorowanych, na kształt obrazów wypukłych, na kształt figur woskowych sukniami prawdziwemi okrytych — coś niedokończonego i niezupełnego.

Pomięszanie prozy z wierszem w dramacie Shakespeara jest zupełnie usprawiedliwioném, są postaci w życiu nieuchronne, którym mowa Bogów nie przystała, są bohaterskie, co pospolitym językiem stanu swéj duszy wyspowiadaćby nie potrafiły. Ale w liście, opisie, opowiadaniu ta zmiana formy nieustanna, niczém dla nas nieuspra-

wiedliwiona, oprócz fantazyi autora, razi, niecierpliwi, męczy. Poezya schodzi tu na sługę i czyni wrażenie królowéj, która z kuchni półmiski przynosi.

Lecz poezya listów Krasickiego, czy właściwie do tego tytułu królewskiego ma prawo? Nie wiem. Jest to zręczna, smakowna słów igraszka, w któréj dowcip trefniś gra rolę główną i prawie jedyną, humor sprężyną, lekkość i swoboda całą zaletą. Krasicki używał téj formy hybrydziéj chętnie i często, bo ona do jego charakteru, nieznoszącego więzów i przymusu, najlepiéj przypadała. Podróż z Warszawy w liście do ks. Stanisława opowiedziana, powrót do stolicy, inne listy na pół prozą, pół wierszami pisane, były jednemi z najpopularniejszych pism autora. Mnóstwo wierszyków z nich, jak:

O Ryczywole,
Zamilczeć wolę.

Bracia, nie wszystko złoto co się świeci,
Bije blask często od szychowych nici.

Jak zwyczajnie w mieście,
Za dwóch dobrych, łotrów dwieście, itp.

poszły w przysłowia.

Z jakąż swobodą, lekkością, humorem szczególniéj płyną Krasickiemu te wiersze z prozą! jak to wesołe, zabawne, płoche, i jak doskonale wiek, co się w tém kochał, maluje!

Uczono się na pamięć tych trefnych fraszek. Krótszych i dłuższych męszańców tych jest drukowanych około czterdziestu, a niewydanych znalazłoby się dużo.

W rzucanych na papier od niechcenia pismach do brata, gdy był Biskup w dobrém usposobieniu, męszał wierszyki, nie mogąc się od nich powstrzymać.

Jednym z najdoskonalszych w swoim rodzaju, jest ten obszerny list, z czasów sejmu czteroletniego, który długo chodził bezimiennie, nie będąc przyznawanym Krasickiemu. Organy są polityczną satyrą, z trafnością, dowcipem i wielkim ogniem napisaną. Sejm czteroletni mocno musiał Krasickiego obchodzić, już dlatego, że podstawą nowéj kombinacyi politycznéj, był alians z dworem pruskim, z którym go ścisłe łączyły stosunki. Nic dlań pomyślniejszém być nie mogło nad związek dworu, na którym był wziętym i lubionym, z dworem, do którego czuł synowskie przywiązanie; nie zaślepiało go jednak gorące pragnienie i widział jasno, czém się ta przyjaźń skończy.

Przypomina się bajka:

Wśród najlepszych przyjaciół, psy zająca zjadły.

Organy i dwa listy z podróży są w tym rodzaju najudatniejszemi utworami Krasickiego.

Zaliczyć tu trzeba, mniéj wierszami przeplatane listy o ogrodach, zawierające ich historyą, a zakończone tak dowcipnie:

Więc nowym wysileniem i kształtu i gustu,
Koło chaty ciosowéj, pyramida z chrustu.
Wyspy kilko łokciowéj zakręty przeplata,
Coś na kształt rzeczki, którą stróż codzień zamiata.
Ta mając w spadkach gruzem najeżone łoże,
Chciałaby mruczeć, ale bez wody nie może.

Kto wie, czy sławny ogród na Szulcu Księcia Ex-Podkomorzego, ze swą małpią wyspą nie przyszedł na myśl poecie, gdy to pisał.

Krasicki był, jakeśmy już widzieli, namiętnym miłośnikiem ogrodów, miał w Heilsbergu kaskady i altany, ale przesadę, manierowane tworzenie osobliwych promenad i zdobienie ich dziwacznemi pomnikami, nielitościwie wyśmiewał. Rozpisuje się o tém i w Podstolim, dotyka w liście do kcia Stanisława, gdy za Łazienkami:

Idąc daléj przez ulicę,
Postrzegłem jakąś świątnicę,
Gust pięknéj architektury,
Wieże, baszty, mosty, mury,
Więc się nieco zatrzymałem.

I dowiedziałem się z niezmiernem mojém po-

dziwieniem, że zmówiłem pacierz przed kuchnią, a com dla baszty sądził fortecą, było gołębnikiem. W wierszach różnych, między któremi są i piękne religijne pieśni (Do Ciebie Boże, wznosim nasze modły — Stwórco itd.), są niektóre wykończone pod względem formy i godne poety. Nie stanowią one jednak najgłówniejszéj części spuścizny po nim. Dwie gawędy (Gderania starego Bartłomieja — Marzenia dworaka) już w sobie mają pierwsze zarysy formy i tonu gawęd, które późniéj W. Pol i Syrokomla tak szczęśliwie rozwinęli. Praojcem gawęd tych, jest Krasicki.

W r. 1786 d. 17 sierpnia, zmarł, jak wiadomo, Fryderyk II. Czytaliśmy w listach Biskupa, zbyteczne dla niego uwielbienie, lecz zdaje się, że późniéj ostygł z niego znacznie. Zmuszonym był wprawdzie przypominać mu się, lecz nie spotykamy już w pismach do brata śladów dawnego entuzyazmu.

We wrześniu, książę musiał wraz z innymi dostojnikami państwa jechać do Królewca, dla złożenia hołdu nowemu królowi. W towarzystwie sufragana swego ks. Karola de Zehmen i Biskupa Chełmińskiego ks. Karola Hohenzollern, stawił się w Królewcu, zkąd musiał udać się do Berlina, gdzie u dworu był widzianym bardzo dobrze. Z podróży Bernouilli'ego widać, iż Niemcy wiedzieli, z jaką znakomitością mieli do czynienia. Tłómaczono jego dzieła, honorowano go nad Sprewą

i Królewska Akademia kunsztów mianowała go swym członkiem honorowym. Dyplom wręczył mu na posiedzeniu nadzwyczajném Minister Wojny, Kurator Akademii von Steinitz.

W początkach r. 1787 (28 stycznia) odzywa się do p. Antoniego: „Sam nie wiem, czym powinszował N. Roku, lubo wiem, żem ztąd pisał (Berlin) w r. 1787. Jeżelim więc już raz powinszował, drugi raz winszuję, jeżeli nie, zbieram to wszystko cokolwiek na N. Rok wszyscy powiadać zwykli, a nad tym składem, stawiam napis *szczerze*.

„Daj Panie Boże niebo staréj Boznańskiéj i rozumiem, i sądzę, i spodziewam się, iż dał jéj Pan Bóg niebo, bo była dobra, bo była cnotliwa, bo i naszą matkę i nas kochała, i już za życia jéj dał P. Bóg błogosławieństwo swe na dzieciach, a dzieci niech się z tego przykładu uczą, jak Pan Bóg cnotę i wdzięczność błogosławi.

„Że mój Bobowski (Józef — miecznik Sanocki) i przyjaciel i usłużny i dobry i szacowany, ja o tém żadnéj wątpliwości nie miał, kiedym ten kwiatek widział jeszcze w pączku. Nie zawiodła mnie bystrość mojego widzenia, i bardzo mi to słodko, kiedy słyszę potwierdzenie mojego rokowania.

„Jak więc przyjedzie do Dubiecka, niech wypije za pokutę, iż mnie już dawno nie widział,

ów kielich, co to nazywali Karczoszkiem, a niech go wypije za moje zdrowie, a potém niech nic nie pije, żeby nazajutrz na głowę nie chorował, bo dobre głowy trzeba oszczędzać.

„Bardzo ubolewam nad słabością mojego kochanego i naszego ze wszech miar kochanego starosty Chotynieckiego (Antoniego Dersznìaka na Iskani, który był ostatnim z tego domu). Moje przeczucia wszystkie prawie uiściły się, a ja w tym momencie mam przeczucie, iż się z nim upiję d. 28 lipca w Iskani roku 1789, za wrotami nad rzeczką, którą on nazywa Kanalią.

„A WPani podobno się gniewasz, że ja, obywatel berliński, stołownik królów, książąt, nic o królach ani o książętach, ani o rzeczach ważnych nie powiadam. Ale co ja mam powiadać o królach, o książętach i o rzeczach ważnych? A trzeba powiadać, ot że ja powiem pani o królach, o książętach i o rzeczach ważnych.

„Oto tak. Królowie są to ludzie bardzo wyniesieni nad innych. Patrzą z góry na dół, a my na nich patrzamy z dołu na górę, a że najlepiéj patrzeć wprost, trafia się bardzo często, a ledwo nie zawsze, iż i oni nas, i my ich niedobrze znamy. W kamienicy, która ma cztery piętra, nie dobrze być na czwartém, bo wschodów nadto, a wiatr śwista, a być na pierwszém lada kto przez okno patrzy.

„Berlin bardzo zabawny, rozrywek wiele, cudzo-

ziemców znaczna liczba, król niezmiernie grzeczny, łaskawy, czuły, miły, poczciwy, ażebym się więcéj rozszerzył, rozumianoby może, iż pochlebstwo, bo powiadają, iż łaskaw, a bardzo łaskaw na kogoś, ale ten kogoś schronienia szuka i musi się zamykać przed innemi kogosiami, którzyby mu łeb zawrócili, zdrowie odjęli, żeby tak, jak inni, chciał korzystać ze swego kogosiowstwa. Ale kogoś jednak coś z czasem zrobi, co nie zasmuci jego kogosiów.

„Ttratta ta tarajta.

„Mości panie bracie, a właśnie Ogiński Hetman przyjechał, który mi i zagrał i zaśpiewał ową nutę. Rozumiem po stylu, iż te wiersze zrobił Trembecki, bo to jego styl. Styl, jeżeli nie on, proszę mi oznajmić, kto to pisał, bo rzecz piękna. Sarbiewski coś podobnego o tym powiedział, lubo przed klęską Cecory (?).

Listy do mnie mają być adresowane do Berlina, aż do 15 marca, w ten czas albowiem zaczynają się exercycya wojskowe i król do Potsdamu odjedzie.' Ja zaś muszę go czekać w Prusiech i podobno może w Heilsbergu i Smolanach."

W kwietniu do bratowéj (d. 4 kwietnia 1788 Heilsberg): „Bardzo mnie to cieszy, iż i kasztelanowa Kamińska (niegdyś dla mnie nieprzyjazna) odmieniła sposób myślenia, gdy raczy listy moje czytać. Ten, który do niéj posłałem, jest wyrazem uczucia poszanowania i wdzięczności. Bo wasza płeć lubi kadzidła.

„List WPani męża, obiecywał mi kontynuacyę tego, co w nim było wzmiankowano, ale, że się leniuch zdobył na cztery ćwiartki, podobno ja téj obiecanéj kontynuacyi i za pół roku nie odbiorę, a chciałbym ją mieć jak najprędzéj. Powiedzże WPani swojemu brzuchalowi, iż jeżeli się zdobyć nie może na drugi tak spory list,

Niechże się pierwéj wysapie,
Niech się prześpi, niech wychrapie,
Niechaj spocznie na kanapie.

„A dopiero, przetarłszy oczy, krzyknąwszy, kichnąwszy etc. etc., niech powie, co mi miał powiedzieć. bo inaczéj, ja jego kontynuacyi nie odbiorę, aż chyba z kalendarzem na przyszły rok.

„Znałem ja dziecięciem tę panią Dulskę, o któréj śmierci WPani donosisz. Kto w lat 96 umiera, na krótkość życia skarżyć się nie może, chyba w tém, że przeżyła ojczyznę swoję.

„Piszesz mi WPani, że macie zabawić we Lwowie do końca zapust, jak miarkować mogę, z gazet i innych doniesień, będzie to czas przybycia cesarza do Lwowa, w sławnéj jego podróży do Chersonu. Proszę bardzo, abym w téj mierze jak najdokładniejsze miał wiadomości.

„Nasz pan Jan (synowiec) pisał niedawno do mnie list. Zdesperowany już, iż się wielkiemi dziełami ojczyźnie przysłużyć nie może, chcąc się jednak koniecznie dystyngwować, przedsięwziął uczyć

się chodzić i skakać na linie, żeby przecież i współziomki i następcy poznali, iż Krasickich krew coś zawżdy dystyngwowanego zamyśla.

„Z największą radością pospieszyłbym na wesele mojego drużby pana Ignacego, ale ostatnia Berlińska podróż tak mi dokuczyła, iż *pierwszy raz uznałem starość* (miał lat 52), a powtórzeń takich zaczynam się obawiać. Puścić się w takową podróż nie można inaczéj nam, już nie młodym, tylko po odetchnieniu. Co więc nie będzie przy ślubie, może być przy chrzcinach.

„A zapomniałem wzmianki o ogrodzie. Przyszły mi jabłka astrachańskie przezroczyste i już mi się przyjęły. Róż mam tylko czterdzieści dwa gatunków, a że tak mało, rozumiem, że mnie WPani żałować będziesz. Piszę w Sobotę Wielkanocną w nocy, przed Rezurekcyą i winszuję Alleluja."

W kwietniu (8) roku 1788 humor Biskupa jeszcze lepszy; oto list do brata: „Dobrze to się stało i bardzo dobrze, iż przecież zawitał Czerniechowski posłaniec z tym, co do interesu WP. należy.

Przy łasce Bożéj,
Rzecz się ułoży,

a ułoży wedle żądania naszego.

Gdyby to zamiast reprezentującego, reprezentowany przybył, byłaby radość w najwyższym stopniu. Ale, mój bracie, my dwakroć jubileuszowi, z ciężkością się odrywamy od siedlisk naszych:

Miłe siedliska
Rzeczy są zbliska,
Z dzieci są matki,
Z wnucząt są dziatki,

a rozrzewniony widokiem ojciec i dziad

Plenne chwile czuło trawi,
Pielęgnuje, błogosławi,

„To, nieprzyjazd WPana usprawiedliwia.

„Więc co się na pierwszéj ćwiartce napisało, było za wspomnienie owych wyrazów, którém ja był niegdyś dla pana Ignacego napisał.

„Zwróćmy teraz rzecz i przystąpmy do opowiadania.

„Czerniechowski przyjechał przed dwoma godzinami, a że jutro poczta odchodzi, chciałem WPanu dać najspieszniejszą wiadomość o jego przybyciu, tém pożądańszém, ile że mamy czas do dwudziestego szóstego tego miesiąca.

„To, coś WPan przysłał pod kopertą Kalnassego, przejrzę jako najpilniéj, trzeba albowiem w tych okolicznościach wielce ważnych i starania i pilności i uwagi.

(Interesa prywatne).

„Wojujecie z Turczynem, jako Biskup krucyatę błogosławię, ale mi się coś zdaje, że ta krucyata nieżwawo idzie.

„Pan Jan pisał mi z Mohilowa, iż Turcy boją

się Polaków, zapewne musiał się dowiedzieć Abdul Hamid, iż pan Jan jest kapitanem.

„Co mi piszesz WPan o przyszłém dziele, względem naszego pana Ignacego, ma to moją aprobacyę. Jeżeliby wziął Podhajce, jest to zamek wielki, siedlisko hetmanów, a ztąd może pokuszenie na wielką reprezentacyą, a ztąd wydatek, a ztąd niesposobność, a ztąd.... Xawerka bardzobym chciał mieć u mnie. Starzyśmy, ale jednakowo trzeba też się zobaczyć — przeciąg wielki, siły już nie owe — trzebaż jednak uczuć słodycz braterstwa. A możeby tu drugi klął los, że nas tak srogo przedzielił. Co u modnych przypadek, u prawych zrządzenie Boże.

Czém braterstwo, użyliśmy
Zawżdy szczęśni, to zapłatą.
Czém ojczyzna, straciliśmy
Rozrzewnienie rośnie z stratą.

Mościa pani, co też tu kwiatków książe mój Dessau przysłał! drzew 800.000, kwiatów 1.200.000.“

Inny list z Heilsberga:

„JMPan Bracławski (Jan hr. Krasicki, poseł z Bracławia) pisał też także do mnie z Tulczyna. Wybierał się z p. Wojewodą (Szczęsnym Potockim) na objażdżkę kordonów granic polskich. Już też temu będzie lat blisko pięćdziesiąt, jak 10.000 wojska polskiego razem nie było zgromadzonego.

„O wzięciu Gdańska i Torunia fałszywą wieść mieliście. To być może, iż kordon wojsk tutejszych na granicach W. Polski będzie rozstawiony.

„Ja całą zimę tę strawiłem w Heilsbergu, na tydzień tylko wyjechałem do Frauenburga. Pani Anna (Charczewska) się zaś została, ile że w czasy różne z dziecięciem włóczyć się nie było można.

„Bawiemy się dosyć dobrze i po Wielkanocy Theatrum nasze znowu się otworzy, które w całym kraju dziś sławne jest, ponieważ wyśmienitych aktorów mamy.“

Aktorami tymi była rodzina i domownicy księcia. Wspomniana tu siostrzenica, pani Anna, która z córeczką Urszulą bawiła w Heilsbergu, była znakomitą artystką. Znane są jéj sztychy aqua forti. Rysowała wiele portretów dla wuja i sztuką się zajmowała głównie. W sierpniu, po dość długiém milczeniu, odzywa się znowu do brata. (Dn. 2 sierp. 1788 Heilsberg): „Prawda, że ktoś długo milczał, a więc drugi ktoś długo cierpiał, ale że pierwszy ktoś przyznał się do winy, drugi mu ją ktoś z serca odpuszcza. Ale jednak z tém ostrzeżeniem, stanowi swemu własnym, iżby się do dawnego nałogu nie wracać.“

Wzywał Biskup bratanka Xawerego (syna Antoniego), lat kilka niewidzianego, aby go odwiedził. „Potrzebno i Xawerkowi tutejsze mieszkanie. Pora sejmu, zdaje mi się, iż będzie na rękę, gdzie

razem i ojczystość rdzę galicyańską przetrze i okoliczności mogą coś udziałać.

„Wchodzę i czule w stan troskliwy, w którym zostawacie, ile że nie znam się, widzę, tak jakby się znać pierwéj, a gruntownie na tych, których zaczepiono (??), którzy gazet nie mają, nie czytają Woltera i Rousseau, a bardzo zamaszyści (??).

„My tu się tak bawiemy, jak na ustroniu bawić się można. Annowiny i Ignacowiny odprawione były dość nie źle. Owoce dobre jemy, a pani Anna tak się melonów objadła, iż już ich od kilku dni jeść nie chce, a to, dla zdrowia. W czém trwała będąc, zjadła dzisiaj na obiedzie kapustę z węgorzem i szklankę piwa potém wypiła.

„JMści powiadam, że taż pani Anna w samych tylko kwiatach, granatach teraz chodzi, a co gorsza, zaczyna brakować między pięknemi i piękniejszemi.

„Rudzka podobno i Dobrowolska będą nosić odrzutki.

„O nowinach nic nie piszę, bo tu u nas cicho, boją się nas wszyscy, wszyscy nas proszą, bo pieniędzy nie mają, a jak mój żyd Hirsz powiada, są *Dałes Szejne Purec, nisz tu geld.*

„Mościa dobrodziejko. Nie więcéj, tylko trzy tysiące cybulek z Londynu, Amsterdamu, Harleem, Sardaam, Hamburga, Berlina już są w drodze. Nasion korcami, drzew bez liku.“

Pisząca do rodziny pani Anna, o któréj wspo-

minaliśmy, w liście dołożyła, że książę dzieci nie lubił. Przeczytał to on i do tegoż jéj listu, dopisuje: „Cackać się z niemi, nie jest według mnie, rzecz najpożądańsza, ale pogłaskać, pochwalić, dać cukierek, albo owoc, to bardzo rzecz miła. Nie przestraszajże mną swoje dzieci. Żeby mi się raz wraz naprzykrzały, toby mnie znudziło, ale i w czasie i po troszę, miło na krew swoją patrzeć.“

Jak to tam swobodnie i wesoło schodził czas na zamczysku w Heilsbergu, świadczy list téj saméj pani Anny, „ośmnastego września już do stołu podawano winogrona, a propos tego raz Hatyński (Kan. Warm.) zjadłszy swój kawałek, przypatrywał się bardzo jednéj jagódce, która się była na talerzu została. Na końcu tentacya go tak ruszyła, że ją wziął. Książę to uważał, i gdy już do ust kładł, powiedział mu: *questo si chiama un contentino*. Tak jakoś to śmiesznie powiedział, a znasz Hatyńskiego i jego minę, żem dwa dni z tego zdarzenia się śmiała.“

Stół w Heilsbergu był bardzo, jeśli nie wykwintny, to pilnie dozierany. I w Podstolim Krasicki zalęcał posilne i zdrowe jadło, a nie zbyteczne. W tym czasie właśnie Müller, dawny kuchmistrz, wyjechał, potrzebowano zastępcy. „Jakubowski kucharz,“ pisze Biskup, „po odjeździe Müllera, tak się popisuje, iż we dwójnasób lepiéj i smaczniéj jemy niż przedtém. Niechże

ten kucharz, co z Warszawy przyjedzie, nie uczyni wstydu tym, co go wybiorą. Polskie potrawy żeby umiał in excellence gotować, kiełbasy, kiszki, pierogi, barszcz i rosół, gdyż tutejszy do ciast dobry, a ten, co z Berlina przyjedzie, także nie lada będzie i to bardzo do jego talentów potrzebne, żeby pieczyste dobrze robił, a potrawy jak najczyściéj sporządzał.“

Nalegając o rozmaite przyobiecane przez brata i bratową, dostarczyć się mające rzeczy, kończy list: „kucharza, kucharza i jeszcze kucharza przypominam. Winko, winko i jeszcze winko. Cybule, cybule i jeszcze cybule. Sok lemonjowy, lemonjowy i jeszcze lemonjowy. Kaszy drobnéj, drobnéj i jeszcze drobnéj. Co się tyczy owych rzeczy i activitati activissimi, magnanimitati magnificentissimi, generositati generosissimi.

Fratri fraterrimi
et
Fraterrissimi polecam.

Póki pan w Warszawie, póty nadzieja w Heilsbergu, pan z Warszawy, nadzieja z Heilsberga wyjedzie.“

Pan Antoni te wszystkie polecenia miał spełnić w Warszawie, do któréj udał się umyślnie; a najgłówniéj (o czém list przemilcza) dla starań o Biskupstwo Krakowskie. Ze wszech względów było one pożądane, znużonemu pobytem w miejscu tak oddaloném od swoich, od społeczeństwa polskiego,

wreszcie już, po obcięciu dochodów przez Fryderyka II, utyskującemu na coraz cięższe interesa Krasickiemu. Biskupstwo Krakowskie mogło go wyrwać z téj toni i oswobodzić od codziennéj troski. Brat więc Antoni wysłany był, aby wszelkiemi możliwemi środkami, przez przyjaciół rodziny i osobistych księcia starał się nominacyę tę wyrobić. Omylono się podobno na znaczeniu poczynającego sejmu, którego dalsze rozwinięcie się dla wszystkich było nieprzewidziane. W początkach król ze stronnictwem patryotycznem stał w opozycyi, musiano więc chodzić tak, aby sobie ani jednéj ni drugiéj nie narazić strony.

To, czy inne Biskupstwo, lub jakiekolwiek beneficyum przynoszące dochody znaczniejsze, koniecznie chciał uzyskać książę. W listopadzie pisze do brata:

„Piszą mi, iż ma nadzieję Biskup Wileński Krakowskiego, to my po Wilno; nie uda się Wilno, o Koadjutoryę Krakowską, z dobrą pensyą lub wydziałem dóbr kilkadziesiąt tysięcy czyniących. Nie uda się o Krakowskie, to my o Koadjutoryą Wileńską, zgoła wszystkich trzeba sposobów wręcz bez ogródki tentować. Prymasa prosić, króla mordować, Generała artyleryi budzić. Koniec końców, czy to tak, czy owak, kilkadziesiąt tysięcy intraty, a najlepiéjby było, żeby jakie dobre opactwo zyskać. Róbcie wreście jak chcecie, ale rzecz trzeba żwawo, mocno, ciągle popierać, nie żało-

wać i pracy i sposobów, a ja mam nadzieję, że się rzecz uda. Hohenzollern jeszcze nic nie przysłał ze swojéj strony, kto wie, może Buchholcowi już zalecona, poznaj się z nim WPan i ściśle, gadaj w moim interesie tak, jakeśmy dawniéj ułożyli między sobą, siedząc przy kominku. I z Lucchesinim poznać się trzeba, może ten dopomoże. Królowi i ks. Prymasowi to przełożyć, iż największe moje motivum, żebym miał w Polsce intraty, to jest, żebym chciał przy królu w Warszawie co rok kilka miesięcy przepędzić, a teraz choćbym chciał, nie mogę, bo szczupłość intrat a wydatki wielkie nie pozwalają.“

Uzbrojony w protekcyą dworu Pruskiego, opiekę Buchholtza, poparcie Lucchesiniego, ruszył pan Antoni z Heilsberga, pożegnawszy rodzinę, którą tu zostawiał, d. 5 listopada po południu. Jechał na Kwidzyn, gdzie go zatrzymała u Hoyma sprawa jakaś o kilkadziesiąt tysięcy talarów, które mu przysądzono, na Toruń do stolicy. Warszawę znalazł tak zajętą napływem ogromnym przybyłych z prowincyi, że o pomieszczenie nawet było trudno i musiał tymczasowo przyjąć gościnę u pp. Kowalskich na Szulcu.

Późniéj dał mu mieszkanie Generał artyleryi po hrabi Brühlu (w arsenale) — pełne ślicznych obrazów. Opowiada p. Antoni, że ostatnich dni września, w Radzie miała stanąć konfederacya przyjaźna Rosyi, ale dowiedziawszy się o tém,

Buchholtz, poseł pruski, pojechał do Kanclerza Małachowskiego z oświadczeniem, że król J. M. Pruski nie ścierpi kroku podobnego. Kanclerz pojechał z tém do króla, a król zażądał, aby Buchholtz ten protest podał na piśmie; poseł pruski miał na to odpowiedzieć.

— Nadchodzi sejm, na którym cały naród zgromadzony Rzeczpospolitą panią reprezentować będzie, udam się do niéj, a nie do Rady, która jest tylko téj pani sługą. Groźba ta Buchholtza miała być powodem, że projekt upadł.

Nazajutrz, zaraz po przybyciu, wybierał się p. Antoni do Prymasa, do Gnła Potockiego, do pani Mniszchowéj. Po obiedzie miał być u Marszałka Mniszcha, wieczorem u Potockiego i księcia Generała ziem podolskich i u wielu posłów. Nie tracił więc czasu. Daléj już tak sprawę zdaje z tych zabiegów.

„W sobotę rano byłem u Generała artyleryi Potockiego, z nim rozmówiwszy się o interesie księcia Biskupa, pojechałem po obiedzie do króla. Tam otrzymawszy audyencyę, pomimo nacisku onéj pragnących, czułem mu wyraził podziękowanie za jego względy i dawniejsze i teraz nieodmawiane. Zapytał się mnie, czylim umyślnie o Warszawę zaczepił. Powiedziałem, że bliższąbym mógł mieć drogę, ale chęć ucałowania rąk jego dobroczynnych, tu mnie przywiodła. Na to tysiąc grzeczności usłyszałem, w tych wyrazach: mój Hrabio, pewny

ja jestem, że wasz dom cały jest mi przyjazny szczerze, dawaliście mi dowody tego wielorakie. Miło mi o was wspomnieć, miléj was widzieć otaczających mnie. Potém zaczął.

— „Powiem ci téż, mój hrabio, miłe moje zdarzenie, oto przed godziną poznałem kobietę ładną i grzeczną, a WPana wiele interesująca, Krasickę z domu za Stadnickim będącą. Córka to moja odpowiedziałem na to. On — domyślałem się tego, bo twarz jéj poczciwość ojca i stryja wydawała. Notabene, zjechał się z nią w Królikarni u Tomatysów, gdzie dla widzenia obrazów jeździła i mówił z nią wiele i z Teosią się bawił. Potém mówił mi, że z Anusią (Charczewską) koresponduje i pokazywał jéj rysunek. Nakoniec rzekł:

— „Mój hrabio! przywieź mi Biskupa, niechże ze mną mieszka czas jaki. Słodka mi przytomność jego, chciałbym ją mieć nieprzerwaną. Odpowiedziałem. W mocy to jest W. Kr. M. tak nim za przyjazdem rozrządzić, żeby się nie miał przyczyny śpieszyć z powrotem. Roześmiał się i rzekł. Rozumiemy się. Daj Boże tylko pory, a nie zawiedziecie się poczciwi i zacni Krasiccy na mojém przywiązaniu. I na tém koniec. Bóg by dał, żeby to prawda była. W zamku bawiłem do nocy i pojechałem do księstwa Czartoryskich na śledzie i węgorza, a potém do domu spać. Niedziela. Byłem u dworu rano, gdzie pokazał się projekt patryotów do konfederacyi, w którym na-

przód wyrażają potrzebę skonfederowania się, dla ocalenia kraju, praw i swobód narodowych, przy wierze śtéj Katolickiéj rzymskiéj, przy dostojeństwie króla pana swego, w punktach takowych, ażeby wojsko do 60.000 pomnożyć, podatki nałożyć na kraj, na wojsko tylko expensować. Sancitów żadnych nie wydawać. Jurysdykcye sprawiedliwość administrujące, to jest Trybunały, Sądy ziemskie i Grodzkie, marszałkowskie jurysdykcye, Skarbową komissyą zachować i na końcu panu Potockiemu Generałowi komendę wojska oddać. W tém ukazał się inny projekt dworski, w terminach trochę odmiennych, ale po obranym Marszałku Małachowskim, wysłani delegaci do króla z Senatu, Kasztelan Krakowski, Biskup Łucki i Walewski Wda Sieradzki, i po jednym pośle, wszyscy poszli do króla i ugodzili się o projekt Confederacyi. Cały jest prawie taki, jak patriotyczny.“

Pisze późniéj pan Antoni. „Warszawę zastałem liczną, posłów gorliwych aż nadto, mowy junackie gadają i niektóre prawdziwie piękne. Nad projektem ustawy komissyi wojskowéj siedzą dotąd, nad każdém słowem do zbytku ostrożnie radząc.

„Króla martwią tak dalece, że aż zasłabł i krew mu dziś do dnia puszczano. Onegdajszéj sessyi odpowiedź na Noty posła rosyjskiego czytana była i słyszemy kilka mów przeciw aljansowi. Zbyt wczesne postrachy, kiedy jeszcze siły w projekcie,

wojsko na papierze, a pieniądze w obietnicy. Strona obywatelów poważniéj myśląca nie tak jest zapaloną, roztropność jéj towarzyszy we wszelkich czynnościach i mowach. Bóg wie, co za koniec będzie tego sejmu, od którego należało się było spodziewać uszczęśliwienia.

„Wizyty pierwszego dnia u księcia Generała Ziem Podolskich, gdzie był właśnie i poseł rosyjski. Przychodzi do niego poseł pruski wyznaczony do Petersburga Graf Lucchesini, a przez Sejm tu bawiący się, z tym komplementem. Powiem WPanu nowinę, którą od króla mego mam, że, ponieważ do pogodzenia Porty z Rosyą medjacya króla mego pana przez Imperatorowę przyjętą nie jest, wojska nasze idą w kraj wasz, zaczém gdy WPan łudzisz wieściami fałszywemi powszechność o zgodzie wojujących potencyi, ja, prawdę kochającego króla minister, przeczę temu, i, gdy o pokoju mówić będziesz, ja będę o wojnie. Co tak zmięszało posła, że się znaleść zrazu nie mógł, ile że to mówienie było przy wszystkich, głośno i tonem junackim.“

Bawił, chodząc około sprawy księcia Biskupa, brat jeszcze w Grudniu, zapewne łudzony napróżno lekkiemi słowy. Dnia 8 grudnia donosi: „Odebrałem od księcia sztafetę i z Berlina rozkazy do posła pruskiego, ażeby się za księciem seryo stawił imieniem Dworu swego o Biskupstwo Krakowskie. Wpadłem znowu w matnię interesów

nielada. Godzić muszę tak okoliczności, żeby się i królowi nie narazić i z pruską partyą, to jest patriotami, być dobrze. Dziś już familję królewską widziałem. Pani Krakowska, nasza dobrodziejka, pokazuje się dobrodziejką osobliwszą naszą. Z królem i księciem Prymasem jeszcze jutro potykać się będę, a w poniedziałek z posłami pruskimi, ponieważ ci najwięcéj teraz zrobić potrafią, gdyż na to Biskupstwo Sejm obierać będzie, a oni całą partyą przeciwnych dworowi, absolutnie rządzą. Wielki ten interes na mojém jedynie staraniu.

„W Warszawie to się znakomitszego stało, że Sejm jest przez prawo do tego czasu przedłużony, dopóki wszelkie interesa zakończone nie będą; to jest, urządzenie Komisyi Wojskowéj, uchwalenie podatków, środki zebrania aktualnego stu tysięcznego wojska, i wewnętrzne kraju ustawy. Sejm na dwie partye podzielony, dworską i republikantów. Dworacy nie mają ludzi mównych, druga zaś strona czasem aż nadto gada. Króla martwią, choruje często. I nasz Generał Potocki chorował, ale się teraz ma lepiéj. Za dwa dni może z domu wyjedzie. Mowy niektórych patriotów są bardzo piękne, ale interesa za to idą po malusieńku. Posłów do cudzych krajów w poniedziałek wybierać mają. Do Petersburga albo nasz Generał Potocki albo książę Generał Czartoryski, do Stambułu albo Radziwiłł Wda Wileński albo Sołtan Chorąży Litewski, do Berlina książe Czar-

toryski Stolnik, do Wiednia Wojna, do Paryża Stanisław Potocki.“

Interes księcia Biskupa szedł jakoś oporem, choć oba posłowie pruscy silnie go popierać zaczęli. Spodziewano się wiele i rachowano na ten chwilowo przeważający wpływ dworu berlińskiego; ostatecznie zaś, zdaje się, że szczerze i gorąco nikt sprawy téj nie popierał, przy daleko ważniejszych, które wszystkich zajmowały.

„W Warszawie bałamuctwa więcéj jak roboty, pisze znękany poseł. Opowiem więcéj za przybyciem, a teraz cokolwiek wyrażam. Partya patriotów czasem tak daleko zapędza się, że obawiać się słusznie należy, ażeby zamiast spodziewanego wsparcia ojczyzny nie stała się przyczyną jéj zguby. Średnia droga najbezpieczniejszą była, ażeby i Boga chwalić i djabła nie gniewać. Co dobrego dla kraju robić było, toć Generał artyleryi, za to go okrzykniono... a podobno teraz już przestrzegają się, że za prędko szli i za żwawo.

„Bardzo leniwo Sejm idzie, dopiero komisyą robią, która rządzić ma wojskiem, a ta składa się z artykułów 31. Jedenasty dopiero (d. 12 grudnia 1788) wczoraj skończyli. Oprócz tego, jak przyjdą podatki, zapewne długi czas zabiorą, oraz Etat wojska. Nieochybnie Sejm ten doczeka lata, a tymczasem, gdy się pogodzą wojujące potencye, pewnie my w dawnym zostaniemy nieładzie.“

Ciągnęło się tak do r. 1789; a Biskup nareszcie,

przekonawszy się, że przez najlepsze posły wilk nie tyje, postanowił sam udać się do Warszawy, do króla i przyjaciół.

Podróż ściągnęła się do lata, i ostatnich dni czerwca wyjechał z Heilsberga.

Chwila, w któréj wezwany zapewne przez brata, przez króla pożądany przybywał książę Biskup do Warszawy, po kilku leciech niebytności w niéj, ze wszech miar zasługuje, abyśmy ją bliżéj poznać dali. Krasicki do niepoznania zmienioną zastawał stolicę, stosunki i ludzi.

Z całego panowania Stanisława Augusta był to moment najgorętszego przesilenia. Umysły do najwyższego stopnia rozżarzone cale się z rzeczywistością nie rachowały; kraj, złudzony wielkiemi nadziejami, jakie zdawało mu się dawać pruskie przymierze, na dwa skrajne dzielił się obozy. Lucchesini gromadkę gorętszych podpędzał jeszcze na drogę najniebezpieczniejszych i najśmielszych kroków, których już rozwaga i rachuba żadna powstrzymać nie mogły.

Krasicki przybywał właśnie (d. 4 lipca 1789), gdy gorączka stała się upajającą i niemal powszechną; król zrazu opierający się, wahający potém, już jéj ulegał; stronnictwo pruskie ze zręcznym jednookim Włochem na czele, szło na oślep, chcąc ratować się reformą radykalną, gwałtowną, z re-

publiki czyniąc monarchią dziedziczną, równając stany, oswobodzając włościan, wyzwalając miasta, tworząc stu tysięczne wojsko, tam gdzie go rzeczywiście było zaledwie kilkanaście tysięcy.

Spodziewane przymierze zaczepne i odporne z Prusami, obiecujące złote góry, wszystkim tym działaniom i nadziejom, miało być tarczą i podporą.

Stolica, pomimo wielkiego postępu, jaki uczyniła za panowania Stanisława Augusta, miała jeszcze oryginalną fizyognomią miasta, które się ze średniowiecznych pieluch rozpowijać zaczyna. Stara Warszawa, niewielka, z niepięknym zamkiem, zawierającym wewnątrz najwspanialsze sale i pokoje, świeżo wyporządzone przez króla z największą elegancyą i przepychem; — z rynkiem małym, ratuszem starym, gotyckiemi budowami, ciasnemi uliczkami; otoczoną już była niezmiernéj rozległości miastem nowém *in spe,* w którém pałace, kościoły, klasztory, walące się chaty, cegielnie i browary, magazyny i stosy drzewa mięszały się najdziwniéj z sobą. Najwytworniejsze budowy opierały się o najstraszliwsze brudy.

Było to jakby marzenie przyszłości, rysunek rzucony na papier i niedokończony. Przepych i nędza graniczyły z sobą. Dodajmy do tego ulice, z których zaledwie dziesięć brukowanych było, błota i pyłu pełne wedle pory, niedostatecznie oświetlone tu i owdzie, chodniki zajęte przez budki

i kramiki, zapchane mnóstwem śpiewających ubogich, przekupniów, kaleków, ciżby różnorodnéj. Ludność stolicy, zapewne nie licząc w to przypływających i odpływających gości, rachowano na 120.000 (Jezierski).

Przybywających cudzoziemców uderzała ulic fizyognomia malownicza. Najwytworniejsze ekwipaże, konni w staroświeckich strojach, kozacy, hajducy, janczarowie panów, wojsko fantastycznie postrojone, elegancya europejska najświeższa, wprost z Paryża obok delij i czapek jakby z Persyi przyniesionych; w tém wszystkiém życie ogromne, wrzawa straszna, natłok nieprzebyty.

Ślepy lirnik ukraiński, grający odwieczną pieśń stepową balonowi Blanchard'a, puszczanemu z Mniszchów ogrodu. Jan Potocki, ubrany po arabsku, a obok Stanisław w paryskim fraku. Toż samo w umysłach było, co na plecach: największa rozmaitość wyobrażeń, dobytych z zamkniętéj skrzyni tradycyi i przywiezionych sztafetą z nad Sekwany.

Sejm z całego kraju, z zagranicy ściągał czynnych, ciekawych, przyjaciół i klientów możnych domów, młodzież zabawy chciwa, kobiety pragnące się pokazać światu. Domy Radziwiłłów, Potockich, Lubomirskich, Czartoryskieh stały otworem.

Na zamku do koła króla, już znużonego ciężkiém panowaniem, goniącego ostatkami młodości,

stała jego rodzina bliższa i dalsza. Na czele jéj wszechmocna pani Krakowska (Branicka), Zamoyska, Tyszkiewiczowie, Mniszchowa i wreszcie pani Jenerałowa Grabowska, pół-królowa.

Stanisław August, wśród nieustannych ciężkich prób, na jakie był narażony, postradał już był reszty siły i samoistności; władały nim kobiety, ambasador; teraz zaś poczynał, przeciwko wpływowi pani Krakowskiéj i Prymasa, rządzić Ignacy Potocki, stojący na czele patryotycznego, pruskiego obozu. Co dzień krzyżowały się tu dwa prądy, ważyły wpływy dawne i nowe, król potajemnie szedł za jednym, jawnie za drugim, a słabego pana zawsze ostatecznie najsilniejszy chwilowo porywał i ciągnął z sobą.

Stronnictwo będące za utrzymaniem przymierza z Rosyą, do którego stale należał książę Michał Poniatowski Prymas, pani Krakowska, jenerałowa Grabowska, może z winy ambasadora Stackelberga znacznie było osłabło. Prymas, niezaprzeczenie największych zdolności z całéj rodziny, człek poważny, surowy, smutny, jasno-widzący położenie, popularnym nie był.

Wpływu téż nie miał; słowo przez niego wyrzeczone rychléj rozjątrzyło niż nawróciło. Drugi brat króla, książę Ex-Podkomorzy, bez żadnego znaczenia, płochy, lekkomyślny, próżny, zadłużony, rozrzutny, śmieszny, ciężarem był tylko rodzinie. Lubił król synowca księcia Stanisława,

z którym poufale poprzyjaźnionym był Krasicki, człowieka szlachetnych dążeń i miłego w towarzystwie, ale politycznie znaczącego mało. Kochankiem dworu, kobiet i miasta był inny synowiec króla książę Józef, młodziuchny, piękny, wsławiony raną świeżo odniesioną, i szalenie lubiący się bawić. Stał on na czele młodzieży, zwanéj *tężyzną,* tak jak starszym hulaszczym panom przodował, nieustraszony, gorącéj krwi, wielkiego dowcipu, niemniejszéj zuchwałości Hetman Branicki.

Wpływ rodziny królewskiéj słabnął właśnie, nadwerężyła go siła wypadków, rwąca ku aliansowi pruskiemu, ku radykalnym reformom w samym organizmie Rzeczypospolitéj.

Stronnictwo, które owo pruskie przymierze popierało, widomą swą głową miało Ignacego Potockiego, niegdy ucznia Konarskiego, przeznaczonego do duchownego stanu początkowo, męża zdolności wielkich i charakteru energicznego, ale téż zbytniego zaślepienia, które mu niebezpieczeństwa dostrzedz nie dozwalało.

Po za Ignacym Potockim stał rzeczywisty wódz reformatorów, potężnego umysłu, stworzony do odegrania roli jakiegoś Mirabeau jeżeli nie Dantona, znany już z reformy akademii krakowskiéj, ks. Hugo Kołłątaj. Przy nim się wszystko ogniskowało. Jako narzędzie Potockiego i jego, wielkich zdolności cudzoziemiec, ks. Piatoli pierwsze

miejsce zajmował; za nim stał mniéj widoczny ks. Jezierski i kupka pomocników kryjąca się w mroku.

Ignacy Potocki i Kołłątaj wybrali sobie do współdziałania słynnego z prawości i ofiarności, szlachetnego umysłu, cnotliwego, ale zbyt ufającego wielkim wyrazom, Aristidesa polskiego, Stanisława Małachowskiego. On był Marszałkiem sejmu i szedł, zawierzywszy im zupełnie, z nimi razem w reformie widząc ocalenie kraju, z nimi ufając Prusom i odrodzeniu przez nie!! Obok niego postawiono, nieświadomego celu i drogi, gorącego temperamentu, zabawom oddanego, księcia Kazim. Sapiehę, słynącego łatwą i świetną wymową. Ten szedł raźno, śmiejąc się, do ostatniéj chwili nie wiedząc dokąd go zaprowadzić miano. Starczyło i jemu słowo brzmiące pięknie, a podniecone uczucie szlachetne. Pod lekkomyślną głową, biło w nim serce zacne.

Koło dyplomatów składało się naówczas, ze stojącego dawniéj znaczeniem i wpływem na czele, ambasadora par exellence, Stachelberga, który już był ociężał, stał się mniéj czynnym, a otoczenie jego, zwane dwunastu apostołami, bawiło się więcéj niż pracowało. Stachelberg, niedawno jeszcze wszechmogący u dworu, czuł zmienione położenie, podkopane przez Prusy, gniewał się, ale radzić sobie nie umiał.

Sekretarz jego Koenigsfels, jak inni pomocnicy

ambasadora, którym on wprzód nie dozwalał nic robić bez siebie, teraz na swą rękę nic począć nie mogli.

Angielski poseł Hailes, milczący, dumny, obserwator złośliwy, stał na uboczu, nie mięszając się czynnie do niczego, choć najlepiéj znał położenie.

Buchholtz pruski, już zdawna zasiedziały w Warszawie, żonaty z córką Starosty Hamersztyńskiego Unruha, dyrektora Mennicy, (z którego ambasador zwykł się był dla zabawy, niemiłosiernie wyśmiewać) — Niemiec powolny i ociężały; popieranym być musiał przez dodanych mu z Berlina, Goltza naprzód, potém hrabiego Lucchesini.

Girolamo Lucchesini, Włoch w pruskich usługach, przybył tu z żoną, panią jeszcze młodą, pięknéj postawy, dosyć zalotną.

Najprzewrotniejszy z ludzi, choć o jedném oku, widział więcéj niż ci, co ich mieli dwoje, szukał słabości ludzkich, aby je wyzyskać. Żywy, zabiegły, zręczny, robił z łatwowiernymi co chciał, kłamstwo go nic nie kosztowało, zwrót w przekonaniach nie kłopotał. Pani Lucchesini potrafiła téż zjednać sobie przyjaciół wśród młodzieży, między innymi gorącego, dowcipnego, wielkich nadziei posła inflanckiego Niemcewicza, przez którego i wiedzieć mogli Lucchesiniowie co się w sejmie działo i patryotycznym obozem kierować.

Wspomnieć téż należy w liczbie posłów, choć słowem, starego saskiego, zgryźliwego rezydenta,

Essena, którego pedogra trzymała przykutym w domu, niecierpiącego Polaków, a karmiącego się plotkami, które skrzętnie spisywał. Austryackim był nic nieznaczący De Caché, stojący na uboczu, który raz ks. Czartoryskiego zagadnął o bezczynność stronnictwa austryackiego w Polsce i otrzymał charakterystyczną odpowiedź. Cóż chcesz, jest nas bardzo mało, ja, ty i mój piesek. W istocie Austrya nie starała się nigdy zjednać nikogo i nie miała więcéj nad to, przyjaciół.

Szwed Engeström, młody, przybywający z Wiednia dyplomata, ciałem i duszą był z Ignacym Potockim i młodymi.

Domów otwartych, w których posłowie znajdowali przyjęcie gościnne, stoły nakryte — było mnóstwo.

Na zamku przyjmował król i Marszałek Mniszech tych, których zwano „pieczeniarzami.“ W niedzielę obiad bywał wielki u ambasadora, wieczorem przyjmował książę Prymas, gdzie honory domu robiła pani Oborska, w poniedziałek bywało przyjęcie u króla i marszałka, we wtorek u Małachowskiego, we środy u księcia Adama Czartoryskiego, we czwartki zrazu zapraszał Szczęsny Potocki. Poseł Bracławski, a po jego odjeździe inni, w piątki Ignacy Potocki, przyjmowała też wybranych kółko wieczorami, słynna z dowcipu Kasztelanowa kamińska Kossakowska, pełna fantazyi i śmiałości księżna Dessau z domu Gozdzka,

ks. Marszałkowa Lubomirska i mnóstwo innych domów pomniejszych. U hetmana Branickiego na wrzawliwe wieczory przy kieliszku, na śniadania przedsejmowe schodzili się jego stronnicy i przyjaciele, a często gospodarowała siostra księżna Wojewodzicowa Mścisławska.

Wspaniale téż, po dorobkowiczowsku i bankiersku przyjmowali Tepperowie, zięć jego Szulc, piękną żonę mający pseudo—hrabia Tomatys, u którego przedewszystkiém grano i zgrywano się.

Któż zliczy zresztą wszystkie miejsca narad i zabawy? Sejm więcéj się bawił niż naradzał.

Na wybitnych i jaskrawych postaciach nie zbywało.

Z Ignacym Potockim szli, brat jego Stanisław, uczony dziwak Jan, pełen ognia, dowcipu, wychowanek Czartoryskich, poeta, potroszę artysta J. Ursyn Niemcewicz, zacny kolega jego Inflantski Wejssenhof, poseł poznański Zakrzewski, poseł lubelski Czartoryski, Działyński, Suchodolski, słonimski poseł Sołtan i wielu a wielu innych. Jednym z najżwawiéj czynnych był Niemcewicz, wymową, piórem, dowcipem i wpływem.

Przy Branickim i jego republikanach, broniących staréj Rzeczypospolitéj ze wszystkiemi jéj narościami, stał Rzewuski, dowcipny Benedykt Hulewicz, Moszczeński, dużo mniéj znanych i śmieszny, popędliwy, gardłujący Suchorzewski.

Nieszczęśliwego Suchorzewskiego popychano na

pierwszy ogień, gdzie się narazić było potrzeba, bodaj na śmiech lub na krzyki. Nie zaląkł się niczego, a chciał grać rolę ważną, bądź co bądź. Drugim takim oryginałem, był Jezierski, Kasztelan Łukowski, który niepomiarkowaną wymową i dziwnym sposobem wyrażania się izbę rozśmieszał. Benedykt Hulewicz dowcipował. Od początku sejmu ruch umysłów był nadzwyczajny, nawała pism, broszur, satyr, wierszy, niepoliczona. Pisali wszyscy, czytano ogromnie, a język dawniéj zaniedbany posługiwał jak mógł.

Dowcipny ks. Jezierski pisał na ówczas jeszcze o języku: „My naszego języka używaliśmy właśnie jak w odzieży używają kaftana. Kaftan jest suknią najbliższą ciała, insze odzienie służy dla okazałości i ozdoby, my języka narodowego zażywaliśmy na wewnętrzne potrzeby w życiu społeczném, nigdy go nie pokazując w potrzebach powszechnych towarzystwa, i dla tego kancelarye łacińskie, musztry regimentów niemieckie, mowy na obrądach sejmowych na pół łacińskie i polskie, teatra po włosku lub po francusku, a zatém Polak po łacinie się sądził, srokatym językiem radził, po niemiecku wojował, po włosku lub francusku się bawił, a dla ojczystego języka nie zostało nic więcéj tylko rozmowa jednego z drugim, i kazanie w kościele.“

Tak już teraz nie było, język powracał do praw swoich; a pism w nim taka się moc ukazywała,

że ich, jak piszą współcześni, ani dokupić się, ani przeczytać wszystkich nie było podobna. Tysiące broszur wychodziło pod najdziwaczniejszemi, dla zwrócenia na się uwagi, tytułami: Polak w czui prawdą podszytéj — Cygan cnotliwy gandziarą prawdy nieład chłoszczący. Gandziara prawdy nielitościowego Cygana chłoszcząca. Ksiądz z kropidłem na Cygana z Gandziarą. Fajerka pełna ognia miłości ojczyzny na osuszenie zbyt mokrego kropidła. Postyljon warszawski z trąbką itd.

Wierszy i wierszyków krążyło tysiącami, rozrzucano je w Saskim ogrodzie, w izbie poselskiéj, po fiakrach. W formie zagadek charakterystyka wszystkich osób współczesnych latała po Warszawie. Zagadki te dorabiano, przerabiano, naprawiano i psuto. Były dowcipne, cyniczne i liche. Zebrało się ich kilkaset [1]). Niemcewicz tak w nich scharakteryzował Hetmana Ogińskiego:

Ma wiele cnót,
Zimny jak lód,
Z brylantem chodzi,
Nie pomaga i nie szkodzi.

Zagadka królewska kończyła się słowy:

Polacy króla nie mieli,
Walniejszego do kądzieli,

---

[1]) Mamy ich dwieście kilkadziesiąt.

Wśród czynnych piórem, oprócz Trembeckiego, który się czasem potężnym odzywał głosem, był młody Niemcewicz, który zbliżył się do księcia Biskupa i zawiązał z nim bliższe stosunki. Były to dwa charaktery i dwa talenta, które przystać do siebie musiały. Mało znany, a znakomicie obdarzony był pomocnik Kołłątaja, dowcipny ks. Jezierski i późniejszy przyjaciel Biskupa Dmochowski.

Jezierski w swoim słowniczku, niezmiernie dziś rzadkim, ma niekiedy postrzeżenia i powiedzenia nadzwyczaj dowcipne i trafne.

Oto mała próbka.

„Anglik rozgniewawszy się porywa krucicę, Hiszpan puginał, Polak batogiem każe orznąć, Turczyn do noża, a Włoch przysposobi truciznę i otruje. Moskal tnie z góry, Węgrzyn na odlew, Turczyn ku sobie, a Polak na krzyż macha szablą swoją.“

Jezierski, który zmarł w czasie sejmu, mówił o nim smutnie: „Francya i Polska są dziś najpierwszemi aktorkami, bo pierwsza wyprawiła tragedyą, a druga się do komedyi przygotowała.“

Cały ten obóz zapalczywie idący naprzód, chcący obalić wszystko, nie mógł Krasickiemu, w którego charakterze było umiarkowanie, przypaść do smaku. Przerazić go musiał szczególniéj, właśnie z gwałtownością niesłychaną przeciwko arystokracyi i magnatom występujący w swych prze-

strogach Staszic. Krasicki, co do reformy, w stosunkach z włościanami, dzielił jego przekonania, lecz wyrażał je z właściwą sobie miarą i oględnością.

Położenie jego w stolicy, dawne poufałe z królem stosunki, przyjaźń z ks. Stanisławem, zażyłość z panią Krakowską, a razem i z Branickim i ze Szczęsnym i z Ignacym Potockim, czyniły położenie w stolicy wielce trudném i delikatném. Musiał więc trzymać się neutralnie, w pośrodku, nie zrywając z nikim, nie zrażając nikogo, ale téż nie smakując w tym stanie gorączkowym, który przenikliwemu jego umysłowi dobrego końca nie zapowiadał.

Dogorywał naówczas ks. Podkanclerzy Garnysz, i zdaje się, że miasto Biskupstw, o których myślał Krasicki, ofiarowano mu Podkanclerstwo, za które podziękował.

Téj podróży owocem są wierszem i prozą napisane — Organy, list datowany z Warszawy dnia 1 grudnia 1789. Chociaż drukowane współcześnie, nie wiele się one rozeszły, i Biskup (co treść tłómaczy) nie mógł się do ich autorstwa przyznawać, chociaż łatwo go w nich poznać, z właściwego mu dowcipu, toku wiersza, a nawet sądu o położeniu i proroctwie przyszłości.

Chcesz wiedzieć, co są dzisiaj zgromadzone stany,
To słowem ci odpowiem, że to są organy,

Gdzie każdy klawisz tknięty swą powinność czyni
Organistą zaś teraz na nich Lucchesini.
Miechy przyszłego szczęścia nadzieją odęte,
Kalkuje duma z zemstą za ręce ujęte.

Obraz sejmu jest skreślony bardzo trafnie, obozy jego i stronnictwa odmalowane wiernie. Szydzi potroszę Biskup z obwołanego impetycznie stutysięcznego wojska i narzuconego mu stroju. O komisyi wojskowéj powiada:

Ja nie widzę lepszości w tym układzie nowym,
Tamten bałwan był z drewna, a ten jest gipsowym.

Alians pruski i nadzieje na nim pokładane, sądzi Krasicki, pomimo swych stosunków z dworem Berlińskim, surowo. Widać, że znając lepiéj usposobienia i myśli, wcale weń nie wierzy. Rzuca nawet straszliwą przepowiednię zgody poważnionych, kosztem łatwowiernéj Rzeczypospolitéj. Smutne to, ale pełne znaczenia słowo:

Jak się dzielić nie mają, gdy się dzielim sami?

Organy dozwalają nam poniekąd odgadnąć z jak przykrém rozczarowaniem powrócić musiał do Heilsberga Krasicki. Nie ufał przyszłości, a co do osobistych spraw, wyjechał nakarmiony słodkiemi słowy, obietnicami ogólnemi, zapewnieniami przyjaźni, w którą także nie wiele wierzyć się nauczył.

Nieznany autor bardzo nędznym i bezmyślnym, ale oburzonym wierszem odpowiedział na organy. Ledwie to warte wspomnienia.

Pobyt w Warszawie nie był dłuższy nad trzy tygodnie; w końcu lipca Biskup już się w Heilsbergu znajdywał.

Dnia 10 sierpnia pisze do brata:

„Wiadomo już, co się z Biskupstwem Krakowskiém stało, byle na dobro była rzecz obrócona, zmniejszy to żal duchowieństwa polskiego. To się wygodziło, że ci, co nic albo mało co przedtém mieli, wyjdą z innymi w porównanie. Zagrodzi się przeto niepotrzebnym intrygom i każdy będzie siedział u siebie cicho.“

Jest to sąd beznamiętny, spokojny i prawdziwą miłością kraju natchniony.

„Ubolewam,“ mówi daléj, „nad tém przedwieczném Urbarium (w Galicyi??) nigdy do skutku ani do zmniejszenia nieprzychodzącém.

„Co w téj mierze najnieznośniejszą rzeczą jest, zapewne nie co innego nad ustawiczną i bojaźń i niepewność, jak się rzecz skończy.

„W Prusiech, prawda, iż razem niezmierny cios padł, ale też na tém się wszystko skończyło, a z czasem i uwagą lubo się cios sam z istoty nie zmniejszył, przyzwyczajenie zwolniło ciężaru, i nie tak się już zdaje przykrym, jako był odrazu.

„Powrót mój (z Warszawy) był bardzo miły, dla czasów pięknych, i dość prędki, gdyż własnemi końmi jadąc, czwartego dnia po południu, dosyć wcześnie stanąłem. Porzuciwszy warszawskie górności, zatrudniam się kapustą, marchwią i grochem, ile że bardzo miło się niemi zatrudniać, gdyż nadzwyczaj i obfite i piękne. Jéjmości dziękuję za list osobny, a klnę tego bestyę niemca, pludrasa, szołdrę, takiego owakiego i psiajuchę, który zalał

Holenderskie wanny,
I domek pustelnika i kościół Dyanny...“

Na zimę wybierał się książę do Królewca, gdzie szukał sobie do najęcia pałacu jakiegoś, ale zdaje się, że to do skutku nie przyszło.

Wyjątek z listu z Dubna, pana Macieja do pana Wojciecha (XXIV. Dmoch.) zdaje się odnosić do kontraktów roku 1790, o których doniesienia od brata były bardzo smutne.

„Nie dziwię się,“ pisze Biskup (29 marca), „iż kontrakty były czcze, i w Ewangelii powiedziano: *nemo dat qui non habet.* Może téż téj sentencyi i nie ma w Ewangelii, gdziekolwiek jednak jest, jest to artykuł wiary, i godzien nim być, zacząwszy od Turek aż do Madagaskaru.

„Pewno się spodziewać trzeba, iż śmierć cesarza ulży ciężarów, ile gdy następca toż samo uczynić i względem innych krajów panowania swego

zamyśla. Stało się zaś bardzo dobrze, iżeście z pomiędzy siebie Delegatów z przełożeniem krzywd i uciążliwości wysłali.“

Dla wiadomości dołożymy z tego listu, co Krasicki sam o sobie pisze, iż „po hebrajsku czytać nie umie, a po grecku niedoskonale.“

Zajmowały go stosunki galicyjskie po zgonie Józefa II, i w kwietniu (18) pisze do brata znowu: „Że nowy monarcha dobrze wyprawionych posłów przyjął, nie dziwię się temu. Niederland grzeczności nauczył, luboć o teraźniejszym zawżdy wieść była, iż nie był tak porywczym i ostrym, jak nieboszczyk brat jego, który miał myśli i dobre, a nie brał się do przyzwoitych sposobów, żeby je do skutku przyprowadzić. Już tedy nieśmiertelne Urbarium nie będzie i listów i rozmów galicyjskich ustawiczną, a bardzo nudną i dla słuchających i dla czytających materyą. Trzeba jednak, aby posłowie nie przeskrobywali nadto wielkiemi żądzami, tak jak Prusacy w Królewcu uczynili, względem nowego Monarchy, który, urażony, iż powolności jego na złe użyli, zamiast łask, które im gotów był świadczyć, wyjechał z nieukontentowaniem i obmierził nieroztropnych żądaczów. Tak ja trzymam, iż instrukcye były stosowne do okoliczności krajowych i ściągające się przeto do uszczęśliwienia publicznego, nie zastanawiając się na żadną szczególność (??) słyszałem, iż znaleźli się tak głupi Galicyanie, któ-

rzy się poselstwu temu sprzeciwiali, niegodni są, aby cząstką byli podściwych i dobrze czujących obywatelów.

„U nas téż tu coś na wojnę zanosi się, w gotowości wojska są i dyspozycye wszystkie takowe, jakie przodkować zwykły zaczęciom żwawym. Tak mniemają, iż będzie obóz obserwacyjny nad granicą moskiewską, takiż sam, jak myślą czynić od Czech z Morawii. Komendę najwyższą ma mieć książę panujący Brunswicki, dobrze świadom swego rzemiosła. Pod nim ma kawaleryą komenderować Jenerał Kalkreuter, częścią wojska Graf Henckel, letkiemi poczty Jenerał Fawrat, który w Brunsbergu ma garnizon.“

Aż do października potém nie mamy wiadomości o życiu i pracach Biskupa. Wiemy tylko, iż się zawsze zajmował mocno swoim ogrodem i rodziną swych domowników, Mowińskiego, Karpińskiego, Grudzińskiego, których dzieci żenił, wyposażał, szukał im zatrudnienia. Żenili się ogrodnicy, kucharze, kamerdynerowie, a za to wszystko dobry pan płacić musiał. Zakładano ananasarnią, sprowadzano drzewka, to była rozrywka jedyna.

„Z gazet wyczytujemy“, donosi w październiku (17), „iż będzie komendantem wojsk galicyjskich sławny Wurmser, ma być człowiek grzeczny i ze wszech miar szacowny. O cesarzu teraźniejszym (austryackim) dobre są wieści, nadzieja więc dla

Galicyanów wzrasta dobrego rządu i pomyślnych czasów.“

W życiu Jana Śniadeckiego, podług jego notat i opowiadań, pracowicie ułożoném przez Michała Balińskiego, znajdujemy pod r. 1790, wzmiankę o zrobionéj przez sławnego astronoma z Biskupem znajomości, w początkach tego lata. O bytności Biskupa w tym czasie ponowionéj w Warszawie nie wiemy nic, zdaje się nam ona wątpliwą, i rzecz tę należałoby odnieść do ostatniéj podróży w r. 1789. Nie idzie tu jednak tyle o ścisłe oznaczenie chwili, a raczéj o wrażenie, jakie poeta uczynił na niełatwym do zjednania, chłodnym nieco i surowym sędzią ludzi, Śniadeckim.

„Poznał się z Krasickim“, pisze Baliński, „i potrafił sobie zjednać jego życzliwość. Znamienity ów pisarz, stojący wówczas na czele odrodzonéj u nas literatury, sprawił dziwnym powabem swojego dowcipu i towarzyskości, prawdziwy urok na Janie Śniadeckim. Nie mógł on nigdy zapomnieć opowiadając w starości przygody życia swojego, téj chwili, kiedy pierwszy raz zobaczył zbliska Krasickiego. Jednego dnia po teatrze w Łazienkach, Śniadecki, który bywał u dworu zawsze, udał się do pałacu na wieczerzę. Same damy prócz króla siedziały przy stole. Krasicki zbliżył się i stanąwszy obok pani Krakowskiéj, z takim dowcipem zaczął rozmawiać (po francusku), że wszystkich zajmując, sam jeden przez długi czas bawił

całe zgromadzenie; ani się mogli dosyć nasycić jego miłą rozmową. Sławny ten poeta, był bardzo przystojnym mężczyzną, słodkim i nader ujmującym w towarzystwie. Śniadecki wyszedł zachwycony jego przymiotami i dowcipem i wkrótce bardzo blizką z nim zabrał znajomość.“

Toż samo wrażenie wywierał Biskup na wszystkich. Śniadecki zachował dlań uwielbienie do zgonu i miał za złe późniéj, iż się tak znakomitemu pisarzowi o pomnik nie postarano.

Przypatrzmy się teraz bliżéj nieco, jak na starém zamczysku książąt Biskupów Warmii, życie prawdziwie po książęcemu urządzone było.

Następca na téj katedrze po Dantyszku, Hozyuszu, Kromerze, kardynale Batorym, wziął po poprzedniku swoim Stanisławie Grabowskim, zamek obszerny, na nowo wyrestaurowany.

Opis rezydencyi, jeśli się nie mylimy, najlepszy jest ten, który Krasicki sam, w liście brata, do siostry zostawił (Dmóchowski XXXIX).

Między dwóma rzekami płynącemi blizko,
Wznosi się staroświeckie obszerne zamczysko,
Długim wieków przeciągiem te wspaniałe gmachy,
Dziwią oczy patrzących wyniosłemi dachy.
Co niegdyś budowali Goty i Krzyżaki,
Tu jeszcze tego ślady i ogromne znaki;
Baszt, wież, ganków i sklepień ponura wspaniałość,
Umieszcza z gruntownością dawną okazałość.

Uskarża się jednak Biskup, że więcéj tu piwnic znalazł i śpichlerzów niż pokojów, a izby te, komory, komnaty tak stawione były, że się w nich nie można było lękać, choćby trzęsienia ziemi. Okrywały je sklepienia, obejmowały mury grube tak, że „choć w oknie południe, zawsze wieczór w kącie.“

W wielkich izbach, wzmiankuje, kryte drzwi w podłogach do piwnic prowadzące, a w najgłówniejszéj z nich teraz umieszczoną galeryą obrazów. Obok starego zamczyska był połączony z nim zamek nowy, wygodniejszy i kształtniejszy.

Obie te obszerne budowy ledwie starczyły na pomieszczenie bardzo licznego otoczenia księcia Biskupa. Potrzebował dla serca i dla umysłu towarzystwa, któreby go odżywiało, podbudzało do pracy, po pracy orzeźwiało i zaspakajało mnogie potrzeby ducha i fantazyi. Dziécię niegdyś możnego domu, ze wspomnieniami wyniesionemi z rodzinnych zamków Krasiczyna i Dubiecka, Biskup zmuszonym był niejako żyć na stopie, jaka i jemu i książęcéj stolicy przystawała. Dochody jednego z najbogatszych biskupstw w Polsce, uszczuplone teraz, zaledwie mogły wszystkim potrzebom i zachceniom starczyć.

Heilsberg prawie zawsze pełen był gości, ukochana rodzina, brat Antoni, bratowa, bratanki, bracia młodsi, pokrewni, wychowańcy (jak młody Fredro) otaczali księcia Biskupa; młodzież, któréj

dawał edukacyą, i przyszłość starał się zapewnić, starsze panie z dziatkami, oddaloną rodzinę przypominające, krewni potrzebujący protekcyi, na ostatek starzy, zasłużeni domu słudzy, których dzieci i wnuki książę wyposażał, chrzcił, mieścił.

Oprócz nich odwiedzali często starzy domu przyjaciele: jak Wojewoda bełzki, Hetman Ogiński i inni; przybywali z uszanowaniem jenerałowie i wyżsi urzędnicy pruscy; ciekawość oglądania biblioteki, ogrodów, zbiorów ściągała damy, tak że stół zawsze na kilkadziesiąt osób zastawiany być musiał.

Ogromne zamczysko, w którém sam książę miał apartamenta zimowe i letnie, długie na ośmdziesiąt kilka kroków galerye dla przechadzki, zimowy ogród, oranżerye i trejbhauzy, mieścił w sobie zawsze kogoś z bliższych, hrabinę Antoniową z liczną jéj rodziną, panią Annę Charczewską z córką Urszulką, dwóch kanoników braci, ks. Sekretarza Kalnassego, bibliotekarza dwu księgozbiorów, polskiego i cudzoziemskiego, na górze i na dole i t. p. Bibliotekarz zawiadował razem bogatym zbiorem rycin i różnych osobliwości do historyi naturalnéj.

Mieściła się tu i sala portretowa Biskupów Warmińskich i galerye sławnych ludzi i jadalnie obszerne i teatr i kaplica domowa i mnogie gabinety, składy, apartamenta pomniejsze.

Zamczysko było tak obszerne, że w czasie kon-

systencyi wojsk książę mógł dla kasy hr. Schwerina i urzędników znaleść na niém pomieszczenie.

Zamiłowaniu swojemu w sztuce i rzeczach pięknych, mógł książę dogodzić. Było to dlań potrzebą życia. Sprowadzono mnóstwo gazet, ksiąg, rycin, nowości wszelkich, ściągano kopie portretów. Niemal co roku inaczéj przerabiano mieszkania, coraz je wygodniéj i piękniéj urządzając.

Przez długi czas bawił tu malarz Skuraszewski, zdobiąc wykwintnemi arabeskami i malaturami z antyków pokoje, w których zabytki herkulańskie, rysunki Michała Anioła, przypomnienia fresków starożytnych się rozpościerały. Pokój żółty przed kaplicą był w etruskach, pokój przed buduarem w arabeskach.

W sypialnym pokoju nad kominem odmalowana była „Clytie“ w stołowym nadedrzwiami na tle niebieskiém „L'Education de Bacchus d'après le cachet de Michel Ange.“ Tamże znajdowaly się cztery obrazy Mirysa, reprezentujące dzieci.

Nawiasem powiedzmy, że w galeryi sławnych ludzi, w bibliotece, po pokojach, więcéj pono było sztychów angielskich w ramach za szkłem, niż obrazów, i że książę ograniczać się musiał wizerunkami przez Śliwickiego malowanemi z rysunków kuzynki, p. Charczewskiéj, przodków rodziny swéj i znakomitości narodowych. Nie wymagał więc wiele i wybrednym bardzo nie był.

Nie spotykamy téż tu dużo marmurów, ale głównie

gipsowe odlewy, wedle ówczesnego zwyczaju, farbowane na czarno i bronz reprezentujące.

Gipsowy był téż ów dar, który dnia 18 lutego 1791 roku powracająca z Warszawy pani Zielińska przywiozła od króla polskiego dla księcia. Było to popiersie Jana Kochanowskiego domniemane, jak się późniéj okazało, brata jego, „które król księciu Jegomości, jako wskrzesicielowi dzieł poety przysłał przez księdza Siarczyńskiego.“

„Głowa“, pisze jeden ze dworu Biskupa, „jest piękna, fizyognomia bystra (?), poważna, rozumna, włos na głowie kędzierzawy i gęsty. Nos jak u Wechenitza (?) potężny, wąs suty i bródka maleńka. Postawiono go w drugim pokoju księcia na stoliku pod zwierciadłem, a przy nim złożono, z biblioteki przyniesione dzieła Jana z Czarnolasu, które na przywitanie i uczczenie Biskup tam czytał na nowo.“

Zamiłowanie w sztuce, które naówczas było w klasach ukształconych powszechne, bo i król wielce się w dziełach jéj kochał i wszyscy, co go otaczali, zbierali obrazy, gromadzili sztychy, zamiłowanie w sztuce księcia było téż wielkie, lecz, jak się zdaje, do zaspokojenia nietrudne; gdy je rysunki pani Charczewskiéj, malatury Skuraszewskiego, miniatury Śliwickiego na pargaminie do tabakierek zaspakajały. Śliwicki malował tu księcia Biskupa, Kochanowskiego, Orzelskę, La Marchande d'amours i t. p.

Zbiór rycin był liczny i zapewne piękny, gdy go z zajęciem, przez dni kilka, zbieracz sam i znawca Jenerał Brühl oglądał. Wiemy, że były w nim szkoły malarstwa, dzieło Rembrandta, podróże malownicze, historya naturalna Buffona ilustrowana, dzieła o ogrodaeh i t. p.

P. Anna Charczewska rysowała dobrze, sztychowała aqua forti ze smakiem, musiała i rylca umieć używać, bo wiemy, że na portrecie Karpińskiego, który się sztychował u Groella, kilka kresek dodała; była téż i ilustratorką dzieł księcia, bo król Stanisław August zabawiał się jéj rysunkami do Monachomachii, przy których okazywaniu, odnoszące się do nich miejsca odczytywano. Znaczna część portretów, z kościołów i klasztorów galicyjskich pozbierana dla Heilsbergskiéj galeryi, była z jéj rysunków malowaną.

Oprócz wyżéj wzmiankowanego popiersia Kochanowskiego, inne podobne zdobiły pokoje, mianowicie pani de Sevigné (jeden z najlepszych) P. Gay i Sterna. Wszystkie naówczas malowano czarno. W ogrodzie téż stały liczne posągi: „L'amour jouant“, statua zimę reprezentująca i t. p. Sztuka starożytna, któréj wartość właśnie był Winkelman wykazał, wszędzie chrześciańską i religijną zastępowała. Nawet w archiprezbiteryalnym domu Skuraszewski nad kominem Bachusa wymalował. Kilku w różnych miejscach ich robił.

Malarz ten późniéj, ukończywszy w Heilsbergu

pokoje, powędrował do Londynu, dokąd miał listy polecające do Bukatego. Tu jednak niedługo pogościwszy wrócił do Warszawy, i król mu z łaski, nie dając żadnego zajęcia, wyznaczył pensyą miesięczną, dukatów dziesięć.

Z bronzów wiemy tylko o jakichś włoskich Caffieri'ego.

Nie same tylko sztuki plastyczne gościły na Heilsbergskim zamku; przygrywała muzyka wieczorami. Popisywali się soliści często, flotrowersista Grabowiecki, doskonały skrzypek Lolly, basetlista Wallrath z Heilsberga rodem, który miał grać pięknie, ale przy graniu brzydkie miny robił. Przejeżdżający muzycy popisywali się także: Winterfeld, Putzmacher i mały Giuseppe. Malarz Skuraszewski jako amator grywał z innymi. Muzyka przybywała po obiedzie, wracała wieczorem.

Nad wszystko jednak, nad malarstwo, teatr, muzykę, zajmowały księcia ogrody. Była to jego słabość, fantazya, upodobanie główne, namiętność niemal, dla której łożył i poświęcał wiele. Możnaby się tego już domyślać z listów o ogrodach, z Podstolego, w którym ciągle do nich powraca, z licznych w dziełach napomknień, ale mieć wyobrażenia, do jakiego stopnia książę się zajmował swymi ogrodami, drzewami, owocami, różami niepodobna, nie sięgnąwszy do korespondencyi.

Mieniali się ciągle, sprowadzani z zagranicy ogrodnicy cudzoziemscy, wypisywano tysiącami

cebule z Holandyi, kupowano drzewa i nasiona. W wielkich oranżeryach i trejbhauzach dojrzewały pomarańcze, z których dla dworu biszof ulubiony robiono, ananasarnia była ogromna. Z tych zakładów szły na stół owoce w porze dla nich niezwyczajnéj, szparagi w styczniu, śliwki i wiśnie, gdy jeszcze na dworze śnieg leżał.

Kwiatów było tysiącami. Pod oknami apartamentu księcia, jak pisze jeden z przybocznych, mieściła się cała encyklopedya (sic) drzew.

Ogrody w Heilsbergu i angielski fundowany w Smolanach, jak zamek nieustannie przerabiano, ozdabiano, wycinano, przeistaczano coraz nowym gustem. Były w nich obeliski, altany, statuy, kaskady i wodotryski.

W r. 1791, pisze X. Bibliotekarz, szpalery w dawnym ogrodzie, otaczające promenadę angielską, przecięto na górze pod oranżeryą, kilka tylko dużych drzew zostawując, a z altanki na wzgórzu, prospekt się otworzył na górę na przeciw ẟgo Krzyża.

W listach księcia do rodziny wspomnienia są nieustanne o ogrodach, krzewach, kwiatach, którymi się zajmował z pasyą i znał się na nich doskonale. Słynął téż z gustu i umiejętności w tym względzie, dawał plany na ogrody, troszczył się nimi w Dubiecku i po dobrach familii, zasilając je nasionami i cebulami; odbywał podróże dla zwiedzania sławniejszych w tym rodzaju plantacyj

w Oliwie pod Gdańskiem i w Dessau. Śmiało powiedzieć można, iż go z potocznych spraw nic tak żywo nie obchodziło, jak ogrodnictwo; chociaż rozrywał się chętnie każdym życia widokiem i nic mu nie było obojętném, aż do manewrów wojskowych.

Ogrody jednak szły przedewszystkiém, dla nich sprowadzano Romanów i Eckhardów z Berlina, a wykwitłymi hyacyntami cieszył się Biskup i pysznił.

Do rozrywek należało także i polowanie, któremu jeździł się chętnie przypatrywać. Psiarnia, myśliwstwo, konie utrzymywały się liczne, a powodzeniem łowów interesował się książę, równie jak łowieniem ryb, któremu na brzegach stawu Wesgilskiego często asystował.

Nareszcie, choć podrzędną zapewne, niemałą jednak w tém życiu pańskiém i stół grał rolę, nader wykwintny i obfity. Kuchmistrz i kucharzów było kilku, nie licząc cukiernika, do polskich potraw sprowadzał się osobny artysta. Nowalie na stole ukazywały się ciągle. Wiemy o kilku mistrzach gastronomii, Bachu, Albertsie, Müllerze i dla barszczu a zup polskich sprowadzonym z Warszawy domorosłym jakimś.

Zastawa stołu, w dnie uroczyste była pyszna, z taflami zwierciadlanemi, figurami porcelanowemi, piramidami i kwiatami. Poczta przywoziła ostrygi,

poczta niosła (1791) Strachino di Milano, nad którém smakosze kanonicy unosili się wielce.

W styczniu zwykle przychodziły już na stół ogromne półmiski szparagów, szczawiu, grzyby świeże. Pierwsze ostrygi, których tu pochłaniano moc niezmierną, dostawano w grudniu. Łososie, pstrągi mieniały się codzień z kunsztownie tuszonymi szczupakami.

Con amore opisują dworacy książęcy co jedli na Nowy Rok 1791 „indyki, sarny, zające, dziki, pstrągi, szparagi, bażanty czeskie, gęsi starogrodzkie, kawior. Grochowski kucharz popisał się z wetami i lodami cytrynowemi, owoców było ośm gatunków, a oprócz tego konfitur domowych i marsylskich mnóstwo.

Wina téż musiały odpowiadać potrawom, sprowadzał je książę beczkami z Węgier, a oprócz tego, ulubionego naówczas burgunda i już bardzo wchodzące u nas w modę szampańskie. Wieczorami przymawiano się często o biszof na burgundskiém winie i puncz angielski. Jako trofeum z polowania figuruje raz na stole głowa dzika, olbrzymia, któréj wagę przesadzoną podał w liście ks. Fox, co sam Biskup rektyfikuje. „Już to jednak dobry być musiał dzik“, dopisuje donoszący, „gdy go Bahr z Hawkem niosąc tylko przez podwórze, kilka razy odpoczywać musieli.“

Na zamku dla ciągłych gości i licznego dworu, oprócz codziennych tych uczt, muzyki i innych

zabaw, w karnawale teatr grywano (między innemi grano księcia komedyą). Po modnemu: (Krosienka). Bywały i bale, nawet maskowe. Na jednym z nich, oprócz innych maszkar pociesznych, był Szulmajster Niemiec, but tańcujący, żyd, którego wybornie reprezentował p. Smetny, panie jakieś (z familii) poprzebierane za kozaczki, Skuraszewski malarz pomalowany za murzyna, a Śliwicki jako niemiec garbaty.

Zwykłemi wieczorami zabawiano się w „*bella conversazione*“ w rozmaite gry, loteryjkę, Lombra, Medyatora, Maryasza, Wista, Kallabraka, Halbezwelwe, a nawet Faraona. Ale gra tu nigdy nie przechodziła w namiętność, grano na dydki, i tylko dla rozrywki.

Służba naturalnie musiała być liczna, oprócz Michała Mowińskiego, który już stary był, chodzili około pana domu, Karpiński i Grudzyński, pomniejszych wielu.

Życie się tu wiodło bardzo wesoło i można powiedzieć szczęśliwie, gdyby tak znaczny dwór, tak wielkie wydatki, nie sprowadzały ciągłych pieniężnych trosk i zachodów.

Rzadko spotykamy wzmianki o obowiązkach pasterskich i religijnych księcia, chociaż te zaniedbane nie były; objeżdżał dyecezyą, wizytował kościoły, bierzmował tysiącami. Mało też w listach wspomnień o zajęciach literackich Biskupa, z których się on niechętnie zwierzał pro-

fanom. Otoczony po większéj części cudzoziemcami, lub na pół spolszczonymi ludźmi, jak ks. Kalnassy, Hutyński, Markwart, Fox, książę nie miał właściwie towarzystwa, w którémby o literaturze, zwłaszcza polskiéj, mógł co mówić. Sam więc się nią zajmował, rzadko nawet rodzinie przyznając się do tego, nad czém pracował, więcéj tając się niż popisując z dziełami swemi.

W r. 1791 czytano wiele i rozprawiano o nowinach, które dzienniki z Francyi przynosiły. Obchodziły one żywo wszystkich, chwytano je, przepisywano, równie jak Gazetę Narodową, którą Niemcewicz przysyłał. Do biblioteki płynęły ciągle broszury i nowości od Grölla.

Niezmiernie rzadko z listów familijnych dowiedzieć się coś można o zajęciach księcia Biskupa. On sam wspomina, pisząc do brata o tém tylko, co już wyszło z pod prasy, aby sobie z Warszawy sprowadził.

Wyjątkowo ks. bibliotekarz w liście z 31 paźdz. 1790 pisze o wierszu: „nie pozwalam“ co następuje: „Książę Jegomość przeczytał nam z łaski swojéj wiersze, co wczoraj był napisał z okazyi wierszy odebranych z Warszawy. Ściągają się one do sejmu teraźniejszego i tytuł ich jest: *„nie pozwalam.“* Nie zastanawia się w nich, ks. JMość, jak to sobie już imaginować można, nad jaką czynnością albo rozolucyą szczególną sejmu, ale rzecz biorąc w zgłąb, idzie prosto do samego po-

czątku złego i tam odkrywając jedno źródło po drugiém, z których ono wypływa, mówi za każdém: „Nie pozwalam.“ Żałuję bardzo, że się niemi P. Dobr. przysłużyć nie mogę, bo książę nie chce, żeby się rozeszły, a to dla tego, że są mocne *et que les assertions generales sont susceptibles de toutes sortes d'interpretations, toutafais contraires, meme aux sentiments intimes de l'auteur, surtout de la part des ceux qui ne sont pas bien instruits* (i że ogólne takie twierdzenia ulegają najrozmaitszym wykładom, zupełnie przeciwnym wewnętrznym przekonaniom autora, zwłaszcza ze strony tych, którzy dobrze informowani nie są“).

Z powodu tego wiersza, przy wieczornéj rozmowie opowiadał ktoś anegdotę, zacytowaną w liście o szlachcicu, którego spojono, namawiając, aby do innego przeszedł obozu. Szlachcic padł w ulicy, a gdy przechodzący pies go polizał, zawołał — całuj, nie całuj — nie pozwalam!!

Wiersz „*nie pozwalam*“ o ile wiemy, znanym nie jest.

Jak się tam czas dzielił, iż go stawało na wszystko, nawet na takie żmudne prace jak Zbiór Wiadomości i Komentarz do herbarza Niesieckiego, jest dla nas zagadką. Książę na pokojach często do jedynastéj i dłużéj się zabawiał, zrana w kaplicy bywał na mszy, mnodzy potém zawsze nachodzili go przyjezdni, następowały ogrodowe za-

jęcia, obiad długi, muzyka, gra, wieczerza, nie licząc obfitéj korespondencyi.

Prawda, że chwilki nie tracił książę, ani w domu, ani w podróży, czytając, pisząc, notując ciągle. W powozie miewał zawsze książki, na popasach i noclegach pisał lub dyktował, słowem nie spróżnował ani minuty. A miał też tę niezmierną łatwość pracy, którą daje i talent i wielka w niéj wprawa.

Zamek zawsze prawie był pełen, ściągali się i mnodzy duchowni z dyecezyi, zabiegając o odkrywające się wakanse i beneficya, rodziny ich, arystokracya niemiecka, wojskowi, którzy wiedząc, że książę dobrze był położony u Dworu w Berlinie przyjmowali go z wielkimi honorami i honory mu wyrządzali w przyjęciach uroczystych i jeździli się submitować. Obiady, bale, wycieczki częste do Frauenburga, Gutstadtu, Królewca, Oliwy, Smolan i różnych w okolicy probostw, zabierały też wiele czasu.

Heilsberga nikt nie mijał nie wstąpiwszy.

Tu jednak w Heilsbergu najwięcéj się dzieł narodziło. Jest to przywilejem takich natur i temperamentów, jak Krasickiego, że starczą na wszystko, Nigdy prawie w listach i dziennikach nie spotyka się wzmianki o złym jakim humorze księcia, wesół jest i swobodny zawsze, nawet gdy mu spodziewane biskupstwo krakowskie z rąk się wyślizga. Uprzejmy nieskończenie dla każdego,

pamięta o najmniejszych, obdarza, karmi, poi, rozsyła przysmaczki, myśli o miłych niespodziankach. Żartuje ze swojego wychudłego worka i prosi tylko myśli swobodnéj, aby go nie opuszczała.

Rodzina, słudzy są ciągłéj opieki jego przedmiotem; nie ma tygodnia prawie, żeby ktoś ze sług nie żenił się, nie chrzcił, nie swatał, nie chorował. Książę, lub jego dobroczynna ręka, jest wszędzie; obecnością swą zaszczyca ich wesela, daje śluby, nawiedza chorych, chrzci dzieci, młodym każe tańcować, a w podróży nie zapomina o tém, ażeby zawsze spragniony dwór miał się czém pokrzepić.

Ta wielka szczodrobliwość księcia, o któréj Bartoszewicz wspomina czasu pierwszego pobytu w Warszawie, całe się nie zmienia, choć intraty się zmniejszyły.

Łatwo już przewidzieć jéj skutki, musiały się zwiększać i rosnąć ciężary kłopotliwe, dla których zbycia się, starano w Warszawie o opactwo lub koadjutoryą nadaremnie. Ale że zawsze świeciły jakieś nadzieje, wierzyciele nie byli natrętni, zmiana trybu życia prawie niepodobną, musiało się to ciągnąć z dnia na dzień i ciągnęło szczęśliwie.

Zdrowie księciu służyło wybornie, rzadko jest wzmianka o fluxyi lub katarze, o jakiémś prawdopodobieństwie pedogry i reumatyzmu. Ratowało Biskupa, iż się ciągle ruszał. Odbywał po-

dróże wielkie, szybko, w różnych roku porach, nie uskarżając się prawie. Jednego dnia w Seeburgu 1532 osób bierzmował, drugiego był na polowaniu, a powróciwszy do Heilsberga, stał nad ogrodnikami. Do korespondencyi rzadko cudzéj pomocy używał, mało się kim wyręczał, a pisał wiele.

W r. 1791 (13 lutego) „winszuje Biskup pierwszego wnuka bratu. Syn to był Ignacego, urodzony z Bielskiéj, młodo zmarły, dziadowskie imię noszący Antoni.

„Niech go Bóg błogosławi.
A w życzeniach to ma być przyzwoitém sądzę,
Niech ma wziętość Krasickich, a Bielskich pieniądze.

„Karnawał u nas huczny, u mnie we wtorek bal solenny, co czwartek u Jenerała Grafa Schwerina, co niedziela w Gutstadzie w Jeneralnéj kwaterze wojska pod komendą Jenerała Usedom."

Schwerin dawał obiad *in gratiam* urodzin księcia.

W lipcu (d. 28) zapraszał braterstwo do siebie na zimę, obiecując im pomieszczenie wygodne.

„W zamku samym jest sporządzona szklarnia, a jak Niemcy mówią, Trephauz, długość jego ma 92 stóp, tak będzie wielki, albo i większy może, niż galerya wielka w zamku, gdzie są obrazy.

I podczas zimy więc zażywać z wszelką wygodą ogrodu można i jadać przysmaczki.“

Młodego pana Jana ściągał też, aby się cudzoziemskim wojskom przypatrzył.

„Wszystko teraz ku pokojowi zmierza i wojska po większéj części do zwyczajnych legowisk swoich powróciły, a ja przy téj okazyi utraciłem Jenerała Grafa Schwerina i Brühl, który tu jest jeszcze, wkrótce do Bydgoszczy wyjedzie.“

W sierpniu, chociaż się uskarżał na ból w prawym boku, ruszył oglądać ogrody w Oliwie.

„Po długiém przewłóczeniu, znalazłszy porę wyjechałem do Gdańska i Oliwy, bawiłem tam przez tydzień. Ogród w Oliwie, dawniéj wspaniały, znacznie i rozprzestrzenił i ozdobił ks. Biskup chełmiński. Oglądałem także i okolice Gdańska nierównie jeszcze piękniejsze niż przedtém były. Będąc w Oliwie przypomniałem sobie ów sławny obiad w oktawie śgo Ignacego, kiedy nas grad i stłuczone okna z sali jadalnéj wypędziły. Celebrował gospodarz oktawę śgo Ignacego i był ogród dość pięknie illuminowany. Ale co też to ja za nieuważny! o swoich imieninach piszę, a tu śta Róża nadchodzi. Biorę się więc pod boki i odkaślnąwszy, tak powiadam:

Jaśnie Wielmożna hrabino!
Niech ci lata szczęsne płyną,
A do wszelkiéj szczęśliwości,
Niech płyną i Jegomości,

A do szczęśliwości trzeciéj,
Niechaj płyną i dla dzieci!

„Udało mi się. Odpocząwszy więc nieco po tak wielkiéj pracy, odzywam się do WPana, dziękując za przypisanie do listu Jéjmościnego i za oznajmienie, iżeś się WPan upił w Krakowcu z panem Potockim i za połajanie, że mnie bok boli. Co do ostatniego tego punktu jużem więcéj o tym boku pisał. Jeżeli tenże i WPana bolał, proszę mi powiedzieć coś z nim uczynił, żeby nie bolał. Moja żółtaczka już to drugi raz była u mnie, gdyż w Rzymie będąc, na nią chorowałem, a w ten czas nie miałem zgryzot, i tu, lubo się bez nich nie obeszło, przecież nie były tak gwałtowne, żeby na nie stękać.

„Żeś się WPan z p. Potockim upił i potém chorował, nie musiało być wino dobre, albo téż nie piło się w dobrym humorze, albo téż bardzo się miarę przebrało. Źle ją przebierać, a zwłaszcza gdyś się WPan od tego odzwyczaił. Ks. Marcin zaś powiedziałby, że od tak pięknego nałogu odzwyczajać się szkoda, ale téż trzeba mieć żelazną naturę tego prałata, który im więcéj wypije do poduszki, tém raźniejszy nazajutrz.“

W grudniu (1791): „Winszuję powrotu z polowania, chociaż ja nie polowałem, jednakowo dziki zjadam, bo mam dobrych strzelców. Wyjechałbym i sam, ale czasy są bardzo złe i droga zupełnie zepsuta.

„Cieszę się z dobrego zdrowia WPaństwa, że mniszki dokuczają, to niewielka słabość, i mnie niekiedy mój bok naprzykrza się, ale jużem się do tego przyzwyczaił, nie wiele to mnie obchodzi. Radzę wód zażywać, może w przyszłém lecie obydwa razem wody jakie nawiedzimy, uda się WPan w podróż zagranicę, czyli to do Czech czyli do Spa lub Pirmontu, a powrócilibyśmy po téj objazdce do Dubiecka. Ale jest jeszcze na to czasu dosyć i będziemy te planty układać pospołu w Heilsbergu, kiedy się państwo do niego zbierzecie; bo ja jeszcze wątpię, żeby się chciało delicye domowe porzucać.

„W zimie zła droga, na wiosnę roboty ogrodowe i polne, w lecie żniwo, w jesieni polowanie.

„Zgoła w każdéj porze znajdzie się pretext, żeby z domu nie ruszyć.

„Czytałem list napisany do Tydego, bardzoby się dobrze stało, żeby Hohenzollern dowiódł do skutku to, co przyobiecał. Jak tylko od niego będę miał wiadomość, iż mu się udało, zaraz WPana ostrzegę, i życzyłbym naówczas jak najśpieszniéj tu przyjeżdżać, gdyż skoroby tylko dług WPana był przez króla zapewniony, zarazby się znalazły pieniądze na całą sumę ryczałtem, którebym ja sam dał z kapitałów kościelnych, których mam dyspozycyą do lokacyi, przeszło na czterykroć stotysięcy talarów.

„Spokojność u nas zupełna, ale wojska nie roz-

puszczają, bo na nie wystarczy. Król nietylko nic nie winien, ale ma miliony w gotowiźnie. Bodaj to po Fryderyku Wielkim nastawać, ale takich Fenixów (!) nierychło świat ujrzy."

O wypadkach sejmowych nie ma najmnieiszéj w listach wzmianki, tu jednak przypada ów Hymn na rocznicę, d. 3 maja napisany, na żądanie króla, który w dziełach Krasickiego się mieści.

Mało w ogóle zajmowała go polityka; z pierwszych miesięcy r. 1792 listów braknie prawie, w lutym śpiesznie powołał brata dla interesu, o którym wzmianka była w liście poprzedzającym. „Co się tyczy podróży do wód", dodaje, „ja ją odprawię na końcu czerwca, bo to jest pora do wyjazdu." Bratu, gdy nie widział potrzeby dla zdrowia, jechać nie życzył.

Prawdopodobnie podróż do Karlsbadu odbyć musiał i do niéj się odnosi znany wiersz Węgierskiego „na studnią Neubrun," gdzie pił wody ks. Krasicki B. W.

Ten, co kastalskie zdroje czerpał, gdy był młody,
Czerpał dziś z tego źródła Karlsbadzkie wody,
O wody! bądźcie mu tak jak tamte skuteczne,
Dajcie mu życie długie, bo z tamtych ma wieczne.

W zgodnym chórze powszechnych dla Krasickiego uwielbień, znajdujemy wszystkich owego czasu poetów, pisarzy, statystów, cały, w najrozleglejszém znaczeniu wyrazu, ogół. Nie ma prawie

nieprzyjaciół, niechętnych w żadnym z obozów wielu, na które kraj się dzielił. Wyjątkiem jest odpowiedź na Organy, z któréjby nie ledwie wnosić można, że autor jéj nie wiedział, z kim miał do czynienia. Do tego tak powszechnego uznania, oprócz niezaprzeczonych zasług pisarza, przyczyniła się wielce i to, że się trzymał zawsze zdala od zawikłań politycznych, od stronnictw, od namiętnych porywów i stał pod tym względem na neutralnym gruncie.

Możnaby to wziąć za rodzaj oziębłości i zobojętnienia, gdyby poufne liste nie przekonywały jak mocno czuł nieszczęścia krajowe, na które nie widział ratunku.

We wrześniu, pocieszając brata, pisze w liście (d. 6 września): „Chwała Bogu, u nas tu i wesoło i zdrowo i już suknie rozpuszczać muszę, a z doktorem tylko cośmy się wczoraj nie upili.“

Ku końcowi 1792 roku Biskup znajdował się w Galicyi, odwiedził swój rodzinny Dubieck i czas jakiś bawił we Lwowie.

Coś tu się składało dla pana Jana (syna Antoniego) o czém (d. 4 grudnia) donosi książę w sposób humorystyczny.

„Byłem wczoraj u księżnéj Kalikstowéj (Barbary z Lubomirskich Ponińskiéj) na jéj imieniny, solennie przyjmowany, pieszczony, wielbiony itd. Sama zaczęła o córce, ja w koperczaki, o szacunku pana Jana, ja w uśmiechy — o szacunku

osoby mojéj książęcéj — ja w powagi; o nieprzeciwieniu się mojém — ja w ukłony; o życzeniu, aby to jak najprędzéj doszło — ja w pokory; o błogosławieństwie mojém — ja klap plackiem! A źle??“

Styczeń 1793 roku spędził jeszcze Biskup między Dubieckiem a Lwowem; w lutym już był w swym Heilsbergu, wśród swoich kwiatów i dworu. „Ja“, pisze d. 23 lutego, „w swoim zimowym apartamencie czas zimowy trawię, a mam się gdzie przechodzić, gdy wciąż ośmdziesiąt sześć kroków uczynić mogę.

„W przyszły czwartek sprawię Czomber i cały Heilsberg tańcować będzie.

„Ogródek mój zimowy bardzo się pięknie popisuje, już śliwki niezadługo rumienić się i dojrzewać będą. Zwierzyny radbym udzielił, bo sam i dzików bardzo wiele mam, a kto z nas lepszy myśliwy?“

Z tegoż czasu jest list dłuższy bez daty, ale późniejszy od poprzedzającego, w którym o niedoszłym interesie z Hohenzollernem i o familijnych sprawach, sporo.

„Czerniechowski, oczywisty świadek, uwiadomił mnie o ogromnéj cyrkumferencyi WP., winszuję, ale widzę nie dogonię, a choćbym mógł, nie chcę *atenta calamitate temporum*, boby na suknie zbyt wielki był wydatek.“

Interes niedoszły innych nie wzbudza w Biskupię utyskiwań nad tych kilka wyrazów:

„Czy to dla mnie zarobek czy strata, ja sam nie wiem, ale kiedy się stało, ja mówię jak mój stary Mowiński — *Dobrze jest.*

„W przechwalonéj Galicyi deszcz, śnieg, wiatr, zimno, a u nas od czterech niedziel pięknie, chędogo, zielono, słońce świeci, jakby je kto najął, synogarlica jęczy, a gołąbek grucha, a skowronki aż ochrypły.

„Pani Charczewska pojechała do Królewca tańcować i używać dobrych czasów. Ma dwie niedziele zabawić i wiele sprawunków czynić, osobliwie kupować futra, bo i przednie i bardzo tanie, a odbytu na nie nie wiele. Są téż Damy Emigrantki, ciekawa była je poznać. Tak się tu one wloką, jak dzikie gęsi. Wszystka ta mnogość do Moskwy się ciśnie, gdzie mają w udzielonym sobie kraju osiadać.

„Powiadają u nas i gazety głoszą, iż macie być bardzo hojni i grzeczni w dobrowolnych dla dworu składkach, każdy podobno i w dwójnasób dał, byleby się pożądanego pokoju dokupił, ale długo zdaje się czekać nim łby zapalone ostygną, a tymczasem raz w raz nowe ciężary znosić trzeba. U nas tu jeszcze o tém nic nie słychać ale téż Imperium wojsko nasze opłacać musi, bo macie waćpanowie wiedzieć, że my się bijemy dobrze, ale nie chcemy się bić *gratis*. Piękna rzecz sława,

ale na ten wexel nikt pieniędzy nie da. Odwołuję się w téj mierze do JM. Pana Arędarza WPana.

„I ja radbym był widzieć w moim domu młodych Krasickich, ale oni rozumieją, że Warmia o cztery mile za Kamczatką i że Prusacy ludzi jedzą.

„Ja, około śgo Jana przejadę się po kraju, będę może w Berlinie i w Hamburgu, a powrócę na Drezno, a jak się tak rozmacham, kto wie czy się aż w Rzymie nie oprę. Proszę do Wiednia, zabiorę z sobą.

„Sed debes mixtaces deponere et accipere perukam et sztyblos niemieckos.“

„D. 29 sierpnia 1793 — *Tandem* w Heilsbergu. Od Wiednia samego byłem leniwy, bom już o domu zaczął myśleć, stanąwszy nimem się wyspał, nimem się wyciągnął, nimem się rozpatrzył, kilku dni potrzeba było.

„Właśnie dnia wczorajszego przyjechał Czerniechowski, dobrze byłby zrobił, gdyby był z sobą wziął sukę strzelca, która się w Dubiecku została i która mnie tu potrzebna do pola. Bardzo proszę przysłać przez pierwszą okazyą.

„Ja z łaski Bożéj zdrów jestem, droga mi dobrze służyła, a Heilsberg zastałem i grzeczny i piękny. W niebytności mojéj wiele dobrych rzeczy narobiło się.“

W tym czasie rozpoczął Krasicki obszerną pracę swą, o rymotwórstwie i rymotwórcach, co poświad-

cza dopisek do listu pani Charczewskiéj. „(Dnia 3 października 1793 r.).

„Książę się ślicznie bawi, pisze wiele, dzieło bardzo *zabawne* (?) rozpoczął, życia poetów sławnych wszystkich krajów; przytém próby ich dzieł najprzedziwniéj, najdokładniéj wierszami tłómaczone. Nie będzie człowieka cokolwiek uczonego, coby tego dzieła nie kupił.“

Sam Biskup, jak się zdaje, do tego dzieła wielką przywiązywał wagę. Nie jest to rzeczą bezprzykładną, że autor ceniąc czy umysłowy trud, czy czas, jaki go dzieło kosztowało, wreszcie może i odniesione nad sobą w tworzeniu zwycięstwo, ceni te z pism swoich najwyżéj, które rzeczywiście najmniéj mają wartości.

Zdaje się, że tak i Krasicki przeceniał do zbytku obszerny zbiór, któremu dał tytuł o Rymotwórstwie i rymotwórcach.

Już samo przyjęte tu nazwanie poezyi rymotwórstwem, niewłaściwością uderza. Wiadomości o poetach poprzedza niby teorya sztuki, ogólne prawidła poezyi, za niemi idzie wyliczenie, na narodowości podzielone i przy znaczniejszéj części poetów wyjątki z pism ich w przekładach własnych autora, Dmochowskiego, Trembeckiego i kilku innych.

Wszystko to razem wiele pracy kosztować musiało, w tych latach późniejszych było rozrywką

dla niemogącego spocząć Biskupa, ale wartości wielkiéj zbiór nie ma.

Prawidła i określenia rodzajów poezyi są nader ogólnikowe i nie sięgają głęboko w naturę twórczości poetycznéj, po większéj części formą się ograniczają, powierzchownie ujętą. Poezya dla Krasickiego, jak dla innych prawodawców z téj epoki, nie była płodem koniecznym czasu i kraju, ale owocem pewnego usposobienia i ukształcenia, przychodzącym sporadycznie, zjawiającym się tu i owdzie, bez ścisłego związku z epoką, ziemią i powietrzem, które go zrodziły. Ztąd téż niepewne a niejasne określenie rodzajów, a pomięszanie z sobą tak różnorodnych produkcyj jak Ilias Homera z Voltairowską Henriadą.

Część ta teoretyczna nie ma już dziś wartości żadnéj, a świadczy o ubóstwie pojęć czasu, czasu, który gdy sam tworzył, co z jego natury płynęło, miał pewną siłę sobie właściwą, gdy tłómaczyć chciał choćby swą własną twórczość, okrutnie bałamucił. Gdy szedł za natchnieniem i Krasicki w Bajce i Satyrze tworzył rzeczy doskonałe, gdy na wzór i pod strażą źle pojętych prawideł silił się na Wojnę Chocimską, dawał dowód niemocy.

Po wstępie mdłym idą rymotwórcy greccy, króciuchno wspomnieni, a głównych z nich próby poezyi.

Nie można mieć za złe Krasickiemu, że Hymn

do Apollina przyznaje Homerowi, gdyż współczesna krytyka jeszcze mu go nie odjęła.

Tłómaczenia własne Biskupa wszystkie noszą na sobie cechę raczéj tłómacza niż oryginału, podobne są tonem, językiem, barwą. Wiersz gładki i zręczny, ścisłość nie wielka. Za grekami idą łacinnicy, w przekładach Dmochowskiego, Trembeckiego, Choinowskiego, Molskiego, Wiśniewskiego i t. p. Poeci łacińscy aż do Sydonyusza Apollinarisa i Prudencyusza doprowadzeni.

Za tymi następują polscy, dział to ciekawy, bo do pewnego stopnia daje miarę erudycyi Krasickiego w tym przedmiocie, która na swój czas była wcale niezwyczajną. Począwszy od Bogarodzicy ale po łacinie Sarbiewskiego, idą Krzycki, Dantyszek, poprzednik Krasickiego na katedrze Warmińskiéj (którego list z rękopismów w Heilsbergu przywodzi); Janicki, Klonowicz, Samborczyk, Treter, Rej (wypisany tu rodzaj satyry jego na marnotrawcę i skąpca; wybór dobry), Kochanowski Jan, Piotr, Jędrzéj i Mikołaj, Szymonowicz, Sarbiewski, Otwinowski, Kochowski, Twardowski (oba krótko), Ustrzycki, Grochowski, Bardziński, Potocki (napomknięty), Morsztynowie, Lubomirski Stanisław, Zimorowicz, Gawiński, Chrościński (ceniony przez Krasickiego), Zawadzki, Jabłonowski, Załuski, Konarski (wiersz łaciński), Poniński, Leśniowski, Drużbacka, Skop, Rzewuski, Minasowicz, Korotyński i Naruszewicz.

Dla czego obok niego nie znalazł się Trembecki, trudno rozwiązać. Jest to jednak skazówka oceny współczesnéj. Łacińsko-polska poezya wielce podniesiona, o wielu poetów umieszczonych i opuszczonych, upominaćby się można. Sądy są nader zwięzłe i niewiele mówiące, niekiedy brak ich całkiem.

Za Polakami idą Włosi, którym Dantes (sic) przoduje, wyliczeni aż do bardzo poślednich, Francuzi, Niemcy (gdzie Fryderykowi dano miejsce, choć tylko po francusku pisał), Anglicy i Hiszpanie, poeci wschodni i Chińczycy nawet.

Rzecz to poważna a traktowana lekko, swojego czasu nawet nie miała wielkiego rozgłosu i nie przyniosła pożytku. Możnaby się w niéj domyślać natchnienia, tak jak widać współpracownictwo Dmochowskiego. Zawarto tu jego tłómaczenia, czuć duch i manierę jego.

Zdaje się, że w tym samym czasie i latach następnych, tłómaczył Krasicki wiele. Na czele tych przekładów stoi Ossjan, w którego autentyczność zupełnie wierzył i ten mu wielce do serca przypadał. Mglistość poety, ton jego smętny, patetyczny, deklamacyjny, podobały się wielce Krasickiemu, który go „z pośpiechem“ (powiada Dmochowski) przełożył, ale nie bardzo wiernie. Nad tą pracą, równie jak nad innemi tłómaczeniami i przerabianiami, nie widzimy potrzeby rozpisywać się.

Były to rozrywki, gdy już czas i okoliczności do Bajek i Satyr nie dostarczały treści, a smutek okrążający kazał szukać w pracy ulżenia. Tłómaczenie Plutarcha, dokonane z przekładu łacińskiego, bo sam Krasicki do niedostatecznéj znajomości języka greckiego się przyznaje, nie ubiega się nawet o przelanie form oryginału. Czyta się ono dobrze równie jak Lucjan. Podziwiać potrzeba pracowitość człowieka nieznużonego, szukającego zajęć, aby o czasach obecnych módz zapomnieć.

W końcu tego roku, w liście do brata (dnia 18 grudnia 1793): „Zapewne pan J. będzie w Łancucie u księżnéj Izabelli Lubomirskiéj Marszałkowéj. Proszę i bardzo proszę, żebyś sam WPan pojechał i mojém imieniem nawiedził a pozdrowił księżnę i powiedział jéj, że to musi być jakiś czarnoksiężnik, który nie pozwala nam się widzieć i że ja wsiądę na hypogryfa albo na końcu w Ballon, żebym koniecznie tego dokazał, iżbym się z nią mógł widzieć. Oglądaj WPan ciekawie wszystkie piękności Łańcuta i o wszystkiém relacyą uczyń. Jak będziesz przysmaki jadł i nowalie, jednę zjedz za siebie drugą za mnie, toż samo wypijaj, a opowiadaj jak ja zazdroszczę i żałuję, że tego wypełnić nie mogę.

„Ja z łaski Pana Boga zdrów, wesół i czerstwy, reumatyzmy nie równie mniejsze a bólów w boku już nie słychać.“

Z listu pani Charczewskiéj dowiadujemy się, że

(czerwiec) gazety polskie w Prusiech, w r. 1794 były zakazane i listy nawet nie dochodziły; wiadomości więc z Warszawy tak jak nie miano w Heilsbergu. Książę się dla zdrowia do wód wybierał. „Zdrów jestem, a jadę (pisze 1794 roku 10 czerwca), bo mi podróż zabawna i zdrowa, a że reumatyzmom pomocna, które mam honor mieć raz w raz, od lat podobno pięćdziesięciu, więc może gdzie będę brał kąpiele. Gdyby można było w Bachurcu, ale cóż kiedy jesteście za światem.

„Wyjeżdżam za tydzień, 16 Junii. Wprzódy d. 13. (św. Antoni) wypijemy za zdrowie pańskie kielich wielki duszkiem, do ostatniéj kropli — wytrzęsę ją na dłoń i chłysnę.

„Może będę zimował w Berlinie, może w Królewcu, proszę do mnie pisać do Heilsberga.

„W mojéj podróży Hamburg odwiedzę, gdzie stolica kwiatów, drzew. Co ja ztamtąd przywiozę! Co to ja zasadzę! Co to ja będę mógł dać! Co to ja będę miał pokazywać! Co to ja będę szczepił! Co to ja będę sadził! Co to ja będę — Rybejko! straszna rzecz.“

Nie sprawdziło się co pisze, że miał wyruszyć w czerwcu, w lipcu jeszcze przyjmował u siebie owego excentrycznego autora rękopismu znalezionego w Saragossie, Jana Potockiego, a wyjechać miał dopiero d. 10 sierpnia do Karlsbadu.

W liście, w którym o tém donosi z Berlina

d. 10 lipca, wyrywa mu się mimowoli wyraz boleści i smutku, natychmiast przytłumiony zwykłą, jakby obowiązkową wesołością.

„Co się też to na świecie dzieje!

„Daj Boże, ażeby się złe skończyło, a jeżeli zupełnie nie może, niechże przynajmniéj mniéj będzie złego niż jest. Co daj Boże, Amen. A my jednakże będziemy weseli, na złość temu wszystkiemu, co się dziać będzie.“

We wrześniu z Berlina donosi: (1794, 1 wrześn.) „W miejscu kwiatów, drzew, gustu odpisuję, powróciwszy z Werlitz, najpiękniejszego ogrodu Niemiec, a może przewyższającego wszystkie angielskie. Przeciąg jego więcéj jak cztery mile, zgoła kraj cały w najprzedziwniejszéj ozdobie, nad rzeką Elbą. Gospodarz mój ulubiony przyjaciel ks. Anhalt-Dessau, przez ośm dni dawał mi przepyszne festyny i widowiska. Ah! JW. Hrabio!

„Co to tam za polowanie! Pędziłem dwakroć jelenie. Psów angielskich co nie miara. A-ja-ja A-ja-ja Alali-a-la-li! A tu Waldhorny, a one trąby, a one klarynety, a strzelców, pikierów, myśliwców bez końca, a wszystko z galonami. A dopieroż konie — au! au! au (zmazany wiersz).

„Rybejko, straszna rzecz, czy kaci nadali tego Niemca. Powiadam panu mości panie, że to taka rzecz, przysięgam Panu Bogu, że już niepodobna! — — — Jam zdrów z łaski Boga, ubolewam nad słabością umysłu brata, ale kto ma honor

mieć pedogrę, nie powinien się skarżyć na jéj nawiedziny. Wszędzie bieda i ucisk.

Cóż czynić, kiedy się Los dla nas wspaczy
I smutną grozi koleją,
Czyli się srogiéj poddać rozpaczy,
Czyli się wzmagać nadzieją?
Płynący w fali, kiedy maszt pryśnie,
Widzi, iż łódka ma zginąć,
Niechże pogody promyk zabłyśnie,
Sili się brzegów dopłynąć.
Straszy zdaleka uprawne role,
Wzmagająca się ulewa.
Idzie starowny oracz na pole,
I co uprawił, zasiewa.
Nie wie czy zbierze, na co pracuje,
Nie wie czy zyska pogodę,
Jednakże słodycz nadziei czuje,
I wróży sobie nagrodę,“

Znane są następstwa, jakie za sobą rok 1794 pociągnął, zmieniło się położenie, kraje Rzeczypospolitéj, w których leżało Arcybiskupstwo gnieźnieńskie, miały przejść pod panowanie pruskie. Niegdyś Prymasowska stolica opróżnioną właśnie była. Dziwny skład okoliczności dawał ją teraz niemal w ręce Biskupowi Warmińskiemu, ale w jakże smutnych dniach żałoby! Stosunki z Berlinem, położenie u dworu, znany charakter łagodny Biskupa, ułatwiały nominacyą na to niegdyś najwyższe dostojeństwo polskiego kościoła.

Widzimy go w początku roku 1795 w Berlinie, gdzie zapewne powołanym był z powodu arcybiskupstwa. Dnia 15 lutego 1795 r. w liście do brata nie ma jeszcze wspomnienia o nominacyi, która musiała nastąpić dnia 16 lutego. Krasicki pisze pod tą datą do p. Antoniego.

„Ja tu (Berlin) siedzę spokojnie i z daleka się, *po mojemu*, na rzeczy patrzę, coraz powtarzając z Kochanowskim:

Niech drudzy za łby chodzą a ja się dziwuję.

„Niemasz nic innego do czynienia w tych czasach niespokojnych, gdzie tylko tego żądać należy, ażeby przecie odpocząć i być dla siebie.

„Słodką się nadzieją cieszę i uprzedzam przyszłe użycie, które przecież kiedykolwiek nastąpić musi. Wszyscy powtarzać powinniśmy kościelną modlitwę: Da pacem Domine in diebus nostris. Większa część tych dni w ustawicznych odgłosach zamięszania przeszła, niechże przynajmniéj reszta, spokojność przyniesie. Używajcie jéj, tego i sobie i swoim życzę.“

We dwa dni po tym liście, w sposób oryginalny uwiadamia brata (d. 17 luty): „Zgadnij WP. co jest za przyczyna jeszcze insza pisania mojego, oto ta, iż mi potrzeba węgierskiego wina.

„Proszę bardzo takiego, któreby było stołowe; białe brzoskwinowate, choćby miała beczka kosztować 25 albo 30 czerw. złł. zamówić dla mnie

beczek sześć. I antałków choćby jeszcze lepszego ze dwa albo ze trzy.

„Oprócz tego zaś starego, wytrawionego, drjakwią pachnącego, choćby i sto czerwonych złotych kosztowało, beczkę lub dwa antały. Konieczna tego potrzeba. A to dla czego? Oto dla tego, iż prosi oto *Książę Nominat Arcybiskup Gnieźnieński,* z serca kochający brat.“

Otrzymawszy bullę papiezką, wyruszył Arcybiskup najprzód do Łowicza, gdzie stanął dnia 11 sierpnia. Gazeta Warszawska tak o tém donosi: „JO. Książę JM. Krasicki Arcb. G. bytnością swoją miasto Łowicz, stolicę całego księstwa, w dniu dzisiejszym udarować raczył. Jak upragnione były chęci obywatelów miasta tego w oczekiwaniu przybycia kscia pana swego, tak głos radości odezwał się w ich sercach, skoro jego ujrzeli osobę.“ Tym stylem donosi, iż magistrat powitał przybywającego mową p. Urbańskiego Radzcy; i szumnym panegirykiem szczęśliwą przyszłość dla miasta i archidyecezyi zwiastuje.

W październiku, jeździł się już rozglądać w Skierniewicach, zkąd miał ruszyć do Gniezna i tam czekać na brata. Z listów widać niezmierne zajęcie, pośpiech i zaprzątnienie. W Gnieźnie znalazł go w istocie, pilno powołany brat Antoni, i pisząc ztąd do żony, cieszy się przyjęciem, jakiego doznał wszędzie Arcybiskup.

„Książę nasz dosyć zdrów i bardzo czynny, kraj

go cały adoruje, kapituła, sławna wiekami z zuchwałości, bo z panów samych złożona, nietylko że księcia kocha, ale stara się uprzedzać jego rozkazy i oślep idzie na jego zawołanie. Dziwić się prawdziwie należy, jak książę umie ich do siebie przywiązać i najpiękniejszemi przykładami zachowuje ich w obowiązkach powołania swego.“

Z Gniezna, wyruszył Nominat do Poznania, na dni kilka, ztąd udał się do Berlina, gdzie dnia 24 listopada po południu przybył. „Z nowin tutejszych“, pisze, „niezawodnie potwierdzam panu, iż podług ukończonych układów, król JMość Pruski odbiera Warszawę. Więc ja tam wyjeżdżam, do mego przepysznego pałacu, ale nie zaraz, bo zimno, a katar i reumatyzm takiż sam w pozłacanych pokojach, jako i w karczmie.

Kiedy się nie wie kiedy, jak i jako boli,
Lepiéj sobie spoczywać zletka i powoli.

Powoli więc i zletka do Warszawskich świętéj pamięci wspaniałości wybierać się przyjdzie, gdzie da Bóg, gdy się osiędzie, lepsza ozdoba nad pozłoty i marmoryzowane mozaiki będzie JWPan Hrabia mój wielce miłościwy pan i brat, a co większa rodzony.“

(D. 2 grudnia 1795 Berlin). „Skarżyłeś się WPan, że ja nie pisuję często (co, za pozwoleniem WPana, była nieprawda), więc ten list umyślnie piszę, w cztery dni po pierwszym napisanym i pytam

się go, jak się podróż odprawiła. Wiele razy upiliście się z Czechowskim? w jakim stanie Janowiec był znaleziony? Kiedy się przybyło do Dubiecka? Jak tam był WPan przyjęty? Czy pili za zdrowie księcia JMości? Czy moje taranty, wino dobre do Skierniewic przywiozą? Czy mam się spodziewać ananasowego wina i innych wytrawionych dobrych starych i Wpańskich? Czy się JMości koronki podobały? Czy panna Leonora kontenta z Łowickiego jarmarku? a nadewszystko czyli cała JW. procedencya, syny, córki, wnuki i wnuczki zdrowi? A choć to przeciw respektowi JW. familii czyli krowy, byki, cielęta sławnego folwarku JWPani w dobrym są stanie? Ja z łaski Bożéj zdrów i odpoczywam.

J. Ksiądz Pleban."

D. 19 grudnia, opowiada w liście o Frankfurckim jarmarku, który w podróży pod koniec nawiedził. „Nie kupiłem nic, oprócz mniemanéj tabaki francuskiéj, na któréj oszukaliśmy się wszyscy.

„Ja tu (Berlin) dawnym zwyczajem, użyczam się niekiedy wspaniałościom stołecznym, a ile możności spokojnie sobie w domu odpoczywam.

„Zaczynamy karnawał, który będzie bardzo wspaniały i huczny. Bawi to drugich, ale mało tego, któremu się to już wszystko (jak mówią) przejadło.

„Moskale z Warszawy wychodzą, już w moim pałacu gotowy dla WPana apartament i wcześnie

zapraszam. Nie będzie Warszawa tak wspaniała jak była, jednakże u mnie zabawić się będzie można.“

Dnia 26 marca 1796 wyszedł, drukowany w Berlinie, List Pasterski do archidyecezyi przy objęciu jéj, na którym Krasicki pisze się: Ignacy z Siecina i Krasiczyna s. p. r. hrabia Krasicki z Bożéj i apostolskiéj łaski Arcybiskup Gnieźniński, Książe, Legatus natus itd.

W tym roku przewożenie się z Heilsberga do Skierniewic, urządzanie na nowo, rozmieszczenie galeryi, biblioteki, zbiorów, rozpoznanie się na miejscu w Łowiczu i Skierniewicach, sprawy archidyecezyi, uregulowanie różnych zaległości w Warmii, nie dozwoliły pojechać do Karlsbadu. Książę pił w domu wody egierskie i wybierał się tylko do Krzeszowic, które, od niedawna na wzór wód zagranicznych urządzone, zasłynęły.

W styczniu musiał być Biskup w Berlinie, ztąd następujący list, dowodzący dobrego zawsze humoru, słał do brata. (Dnia 6 stycznia 1796).

„Diaryusz prozą i wierszem prawdziwie mi przyniósł ukontentowanie, znać że pan odpoczywając przy ciepłym kominku i piwko pieniste łykając w dobrym humorze pisał. Niech ten raz, raz wraz trwa, to najistotniejsza szczęśliwość, a zatém jéj w długi czas życzę.

„A nie mówiłże ja, że ta nieszczęśliwa kolasica figiel jaki wyrządzi. Oddaj WPan tę kalekę do

szpitala, zbądź, zamieniaj jako tako, żeby znowu zawodu nie zrobiła. Ową moję paradną, także najprzewielebniejszego ojca Dangla, już trzy razy naprawiano.

Powiadano to zawsze, powiadano wszędzie,
Co było niedorzeczy, niedorzeczy będzie.

„Wracając się do rzeczy od *niedorzeczy*, ostrzegam jak najuroczyściéj.

Iż jeżeli gdzie oko potrzeba mieć czułe,
Pierwsza czułość na żonę, druga na szkatułę.

„Jaśnie Wielmożną WP. Dobrodziejkę przepraszam, iż mi się to wypsnęło, ale nie ja to powiedział, nauczyłem się tego na jarmarku w Łowiczu, w wigilją śgo Mateusza apostoła.

„Wracając się tedy od śgo Mateusza apostoła do szkatuły, rozumiem iż starożytnością swoją zasłużyła na względy i może w niéj umieszczona zostanie szacowna od złota, srebra aż do miedzi kollekcya JWPani dobrodziejki.

Zbierać rzeczy szacowne, piękna jest robota,
Najszacowniejsza jednak od srebra i złota.

„Jak to powiedział nieboszczyk P. Bobrykiewicz, panie świeć nad duszą jego.

„Zdaje mi się, że kto do sklepu idzie, pierwéj worek odwiedzić powinien.

Gdyby się to wtenczas stało
Gdy się w Opatów wjeżdżało.

Nie byłoby ambarasu:

Bo gdy pustki w worku czują,
I żydowie posponują.

Chwałaż Bogu, iż się szkoda znalazła, bo już nie wiedziałem, jak się z Opatowa wydostać.

Więc już nie jestem przelękły,
Kiedy trzy butelki pękły.

„Lepiéj to niż worek, ś. pamięci pani Bobrykiewiczowa raz wraz powtarzała synom, wnuczkom, prawnuczkom swoim:

Dzieci szanujcie pieniądze,
To za rzecz istotną sądzę.
Dobre są wszelkie tytuły,
Lecz gdy tytuł bez szkatuły,
I Jaśnie Wielmożność zgaśnie,
Zgaśnie dzieci, a tak właśnie,
Jako knotek gdy bez łoju.

A póki to tych wierszów? Rozszalało się pióro, nie wiem sam zkąd mi się biorą. A dali Bóg i to wiersze. Więc prozą ściskam, Nowego Roku winszując.

Ojcu, matce, córkom, synom,
I księdzu proboszczowi i wszystkim parafianom.
Dość na mnie staruszka."

W lutym (19) jest jeszcze w Berlinie i pisze: „Kiedy kto staremu urodzin winszuje — przymawia. Ale że nie młody staremu tę grzeczność wyrządził, nie ma miejsca przymówka, a wreście gdyśmy już dziady, pozwólmy młodszym, żeby nam jeszcze przez lat dwadzieścia przymawiali.

„Król mi dał *annum gratiae,* to jest intratę jeszcze roczną Arcybiskupstwa po mojéj śmierci. To prezencik nieszpetny. Nie byłbym go pragnął dla siebie, ale dla WP. i dzieci dogodny, bo jest fundusz na opłatę długów, które, gdy odstąpicie procenta, zarazem uspokojone będą, a więc jest to toż samo, jak gdybym Ruską wieś darował, (wieś graniczącą z Dubieckiem). Jestem w negocyacyi wynalezienia kapitału, ażebym WP. i innych od razu na fundamencie téj już pewnéj hipoteki zaspokoił. Można, to przeczytawszy, wypić kielich za moje zdrowie.

„Wyzwałeś mnie WPan na wiersze, odstrzeliłem wyzywającemu, teraz gotuję coś na kształt Monitorów i co niegdyś tygodniowe pisma wychodziły z Warszawy, będą się teraz drukować z Łowicza. A że to aż na przyszły rok, kiedy się drukarnia wyporządzi.“

Wydawszy list pasterski, Arcybiskup po W. Nocy miał wyruszyć z Berlina i w połowie kwietnia być w Skierniewicach. Za bulle z Rzymu, zwykle bardzo kosztowne, ustąpiono znaczną część opłat. W marcu miał się dobrze i donosi bratu

(8 marca): „Kto pisał WPanu, żem chorował zełgał, kaszlałem tak, jak cały Berlin przez kilka dni i na tém się skończyło.“

Pismo mające się drukować w Łowiczu, o którém już zamyślał Arcybiskup, wychodziło późniéj przez czas krótki, pod tytułem: „Co tydzień“, wspomnimy o niém niżéj.

Wyjazd z Berlina nastąpił w oznaczonéj porze; w Skierniewicach spodziewał się Arcybiskup odwiedzin hrabiego Hoyma, który miał zjechać na jaki dzień dla wypoczynku po trudach warszawskich kilko tygodniowych.

Zaledwie stanąwszy w nowéj swéj rezydencyi, o drukarni w Łowiczu a ogrodzie w Skierniewicach już myślał, starając się o ogrodnika. Ztąd robił wycieczki do Warszawy na krótko. Zdrowie zapewne i znużenie sprawiło, że pierwszych dni czerwca wyjazd do Wrocławia i do wód został przyśpieszony.

Przy nowosiedlinach i zupełnie zmienionym trybie życia Arcybiskupa, dłuższe pisma do rodziny, pisywane z Heilsberga, ustają. Zastępują je czasem już dyktowane, zawsze znacznie krótsze.

W r. 1797 w lutym bawił Krasicki w Berlinie, zakłopotany swemi finansami, których Arcybiskupie dochody, zdaje się, nie polepszyły. Wydatki się zmieniły, ale nie zmniejszyły. Cztery tarantowate konie zamówione w Galicyi przez brata, jak się okazuje, na prezent dla Hoyma były prze-

żnaczone. Tymczasem książę ofiarował mu coś innego, równie kosztownego, i tarantów już niepotrzebował; każąc się nie śpieszyć z niemi. „My tu“, pisze, „po uszy w plejzyrach, i gdy kończę, idę na bankiet do zamku.“

Weselszy nieco jest list marcowy (dnia 16 m. 1797) z Berlina jeszcze: „Na samém wsiadaniu na mój koń dereszowaty (ten sam com go kupił w Birczy na jarmarku od pana Rzepeckiego), na samém więc wsiadaniu odebrałem list pański, dość prędko doszły, bo 6 marca pisany.

„Wyjeżdżam z Berlina tą drogą, tym sposobem, tym kształtem, jako dnia onegdajszego już namieniłem.

„Grzecznieby to było, gdyby i ojciec i syn odwiedzili i mnie i króla i Carewiczów, którzy mają być w Warszawie. Nie sztuka to dławić dziki, konać żubry, pędzić jelenie, ale:

„Rzuciwszy w kniejach zniszczone zwierzęta, oglądać wojska, króla i książęta.

„To mi to połów i godne umysłu wspaniałego widowisko.

„To wyraziwszy, jestem — dziś w Berlinie a jutro w karczmie.“

Na maj zjechał Krasicki do Skierniewic, gdzie już ogród „jak ciasto na drożdżach rosnął,“ dzieląc się między Warszawą, a wiejską rezydencyą. Ztąd, gdy ogromne upały nieco ustały, ruszył, jak zwykle co roku do Karlsbadu. Wyjechawszy d. 6 sierpnia

ze Skierniewic potrzebował dni czterech do Wrocławia. Tu miał tylko przenocować, ale na usilne nalegania ministra Hoyma, musiał parę dni z nim zostać. Z Wrocławia, w porę bardzo brzydką, złemi, kamienistemi drogami ciasnemi, dostał się ledwie do Pragi z kłopotem wielkim, bo i Landara Danglowska w końcu się złamała. Przesiadłszy się do kocza, nie czekając na jéj naprawę, Arcybiskup pojechał oglądać starą czeską stolicę.

Byćby bardzo mogło, że się tu z nim spotkał profesor Meisner, którego powiastka schodzi się tak dziwnie z Dziekanem w Badajoz Krasickiego.

Podróż do Karlsbadu trwała od 6 do 21 sierpnia. Zdrowie księcia, jak donosił sekretarz jego Michalski, wcale było nie złe, humor, jak zwykle, wesoły i wyborny. Na wody się nie gniewał. Goście w Karlsbadzie w tym roku mniéj było, ale Polaków dużo, między innemi księżna Maciejowa Jabłonowska, Starościna Olbromska, Hrabina Olędzka z mężem, Jenerał Raczyński z Poznańskiego, Gajewski i t. d. Krasicki po jednemu, po dwóch, ściągał do siebie na obiady.

Plan już na resztę roku był ściśle obrachowany. Do dnia 11 września trwała kuracya karlsbadzka, potém dni kilka egerskie wody, i pośpieszny powrót na Drezno do Berlina, gdzie koniecznie stanąć było potrzeba na imieniny królewskie. Tu zabawiwszy dni kilkanaście na zimę wybierał się do Skierniewic i Warszawy.

W październiku jednak jeszcze go znajdujemy w Berlinie, zkąd pisze: „Winszuję pokoju, ze wszech miar miłym będzie, tak jest pożądanym całemu narodowi ludzkiemu. Miłym zaś będzie wam Galicyanom, témbardziéj, ile że zmniejszy ciężary podatków i furażów. Ja musiałem się tu zabawić przez ten miesiąc, przeciągnę jednak siedzenie przez następujący, aż się zima zupełnie wzmoże. Czasy mamy piękne i ostryg używamy w obfitości. Zabawy się niedługo rozpoczną.“ Prawdzi się na mnie dawne przysłowie, pisze w listopadzie (d. 28). *Homo proponit.* Śmierć króla zatrzymała mnie i zatrzyma w Berlinie dłużéj niż sobie ułożyłem. W marcu więc, albo na początku kwietnia, do domu wrócę.

„Pierwiastki nowego króla obiecują szczęśliwe panowanie. Młody ten król ma stary rozum. Nowość panowania, ciekawość, rozmaite szczególnych zamiary i powszechne okoliczności, wielką liczbę ściągają tu i swoich i cudzoziemców. Ja, według mego zwyczaju, wśród zgrai siedzę samotny i powtarzam z Kochanowskim:

Niech drudzy za łby chodzą, a ja się dziwuję.

„Dobra duchownym odbierają, ja przy Skierniewicach utrzymanym będę, a jeszcze kwota pieniężna nie ze wszystkiém uregulowana. Mniéj będzie niż było, trzeba téż mniéj wydawać niż się wydawało, a tak co los ujmie, oszczędność przyda. Zdechł mi jeden z moich tarantów, proszę

mi na wiosnę ze dwóch przyprowadzić, ale pamiętać, żeby były równéj miary, dla większego zaś bezpieczeństwa, każ WPan napisać do Tydego, żeby miarę najwyższego i najmniejszego z pozostałych przysłał.

„W styczniu 1798 r. jeszcze Arcybiskup jest w Berlinie i pisze do brata: (D. 6) „po przeszłym, bardzo zwyczajnym, lepszego się przecież roku spodziewać należy, a raczéj życzyć i sobie i drugim, bo rodzaj ludzki tak zgłupiał (uczciwszy uszy), iż ledwo spodziewać się może, iżby przyszedł do rozumu, aczkolwiek bądź:

(Powtarza po raz trzeci ów ulubiony wiersz Kochanowskiego: niech drudzy za łby chodzą).

„My sobie w kącie dziwujmy się, a jednakże miejmy się na ostrożności, iżby nas w ukryciu nie znaleziono. Ja siedzę na wielkim świecie, bo mnie zima napadła, skoro skowronki śpiewać zaczną, zabiorę się do Skierniewic, żeby przecież na wolném powietrzu odetchnąć.

„Rasztadskie konferencye wszystkich zastanawiają, musi się to przecież na czémś zakończyć, a jak się zakończy, daj nam Panie Boże użyć spokojności.“

Odkładając tak powrót, dla zimna i złéj drogi, dla straszącéj zdaleka pedogry („chociażem ja na sejmach i sejmikach nie bywał, kulikami nie jeździł“) zasiedział się Arcybiskup w Berlinie do pierwszych dni kwietnia.

Karnawał téż w tym roku się przedłużał i dnia 2 kwietnia jeszcze był bal u hr. Arnima, na którym chciał, a raczéj musiał się znajdować dla pożegnania królowéj i rodziny królewskiéj. Król już był w Potsdamie.

Zatrzymawszy się krótko w Poznaniu i Gnieźnie, około dziesiątego stanął Krasicki w Skierniewicach. „Już ci, co w Skierniewicach, to w Skierniewicach — pisze do brata — ale nimem się do nich dostał, przekląłem podróż najniegodziwszą w świecie. Od samego Berlina miałem ustawiczny deszcz, śnieg, wiatr, a błota po uszy. Zgoła tak się gniewam, iż muszę przestać, bo gdybym się daléj zapomniał, na témby się skończyło, żebym list podarł.

„Jeszcze się dotąd z domem poznać nie mogę, a zwłaszcza, że czasy zimne nie bardzo pozwalają wychodzić. Zakrzątają się ludzie jednak około ogrodu i już zaczyna być u nas zielono, o czém wątpię pod Karpatami u was siedzących, za parawanem od południa.

„Jeszczem się z Nieborowem nie widział, książę Radziwiłł Wojewoda (Michał, Wojewoda Wileński ostatni, zmarły 1831 r. żonaty z Przezdziecką) siedzi w Litwie, gdzie znaczne dobra pupila! (Dominika syna Hieronima Podkom. lit. z księżną Turn et Taxis, zmarłego z rany otrzymanéj pod Hanau 1813 r. d. 11 listopada w Lauternach. Żonę miał Teofilę Morawską, rozwiedzioną ze

Starzeńskim. Córka za ks. Witgensteinem). Znaczne dobra pupilla od kredytorów wydobył w głębokiéj Litwie od Birżów, włości niezmiernéj, gdzie posesorowie dawniéj ledwo nie corocznie odbierali z zastawu sumy swoje, a dziedzic łapę lizał.

„Dawno nie miałem listu od WPana, może mnie goni który z Berlina, a ciekawy jestem bardzo wiedzieć o czynnościach szczególnych kontraktowych. Kto co kupił, a kto co sprzedał, kto oszukał — śmieje się, a kto głupi, oszukanym został i płacze.

„O Wojewodzie bełzkim, co robi, jak się ma i Staroście. Urzędowskiéj, jaki teraz stan i powodzenie. Powiadali nam tu, że się Marszałek Potocki z księżną Wirtemberską żeni. Ja to biorę za romans, ale w teraźniejszym czasie, można wszystkiemu wierzyć i nie wierzyć. A pan Jan jak raz w Wiedniu zasnął, tak śpi sobie spokojnie.“

Zdaje się, że w tym roku i zajęcia i może uszczuplone znowu dochody podróżować nie dozwoliły. Przyczyniło się zapewne do tego, że śmierć króla pruskiego i wstąpienie na tron Fryderyka Wilhelma III zmuszało jechać dla hołdu do Królewca, gdzie Arcybiskup na znak łaski order Orła czerwonego otrzymał.

Z dworem królewskim potém wrócił do Warszawy, asystując uroczystościom, jakie z tego po-

wodu odbywały się tu w czerwcu. Parę listów datowane są ze Skierniewic.

W lipcu (28) kończy pismo do brata: „że pan Maciéj bez wiadomości rodziców do wojska oddany, tego chwalić nie można, ale jeżeli ma chęć do wojowania, przeszkadzać mu nie należy. Prawda, iż to rzemiosło niebezpieczne, ale w tych okolicznościach jedyna to prawie droga zostaje młodzieży do usłania sobie karyery, do sławy i do szczęścia. Starsi nią szli, a jednakowoż je Pan Bóg zachował, żeby i dawniéj młodzież polska tak myślała, nie bylibyśmy tém, czém jesteśmy.“

W październiku pan Antoni odwiedził brata w Skierniewicach i między innemi, pisze do żony: „Byłem w Warszawie trzy dni dla pożegnania się z księżną Sułkowską. Zastałem zdrową, lubo mówiła, że chora, ale tego nie znać było i po twarzy i po chodzie i po mowie. Wyprawiła do Krakowca trzy bryki roślin, drzew i kwiatów, które Au, sławny warszawski botanista, przywiózł z Anglii.

„Samo pakowanie, jak mi powiadała, kosztowało złotych 400. Między innemi były tam drzewa cynamonowe i gwoździkowe, a zatém musiały być i muskatołowe gałki, bo i to specyał niepośledni. Księżna Radziwiłłowa, która, będąc w Warszawie, odwiedzała te osobliwości, opowiadała drogość niezmierną onych specyałów; z tych niektóre miały oznaczoną wartość do 40 czerw. złotych.

Uczciwszy uszy wszystkich botaników, wolałbym ja krowę niż taki kwiatek.

„Jak byłem w Warszawie, powiadano, że Kasztelanowa Kamińska miała wolę tam przybyć i mieszkać. Wątpię ja o tém, chciałbym się jednak prawdy dowiedzieć, proszę więc dąć mi w téj mierze informacyą.“

W grudniu musiał być Arcybiskup, wedle zwyczaju w Berlinie, bo ztamtąd datowane są listy brata, który mu towarzyszył. Na karnawał spodziewano się zjazdu bardzo licznego, synów króla angielskiego Augusta i Adolfa. Z Polaków wzmiankuje Jenerała Bronikowskiego, żonatego z Krasińską, bogatą z Galicyi jedynaczką, która pierwsza z Paryża „tamtejsze mody przezroczyste przywiozła.“

W r. 1799 w sierpniu Arcybiskup, rzadziéj teraz pisujący, odzywa się do brata (14 sierpnia).

„Od dni kilku w Nieborowie księżna Jenerałowa, księżna Wirtembergska bawią i zapewne wraz z gospodynią czynią plany, jak najbardziéj jeszcze ogrody zdobić, ruiny stawiać, kioski kształcić, botanikę zwiększać, a worek wypróżniać.“

„Na tę zimę zamyślam w Warszawie osiąść, bo mi się zbyt długa a niewygodna podróż do Berlina uprzykrzyła. Jeszcze nie mam najętego domu, i dla tego sam na kilka dni odwiedzę to świętéj pamięci stołeczne miasto. Nigdyby się spodziewać tego nie można, żeby było jeszcze tak

ludne i żywe, osobliwie w zimie. Zewsząd się zjeżdżają i dość wesoło a prawie ze zbytkiem żyją.“

W liście z października są wspomnienia ulubionego mu Dubiecka, w którym dla Xawerząt, Leończąt, Maciucząt, Józefiąt, radził oficyny rozszerzyć.

„Mamy jesień bardzo piękną, a ja zasadziłem drzew, tak cudzoziemskich jak swojskich moc niezliczoną. Teraz, gdy to piszę, kręcę się na stołku cały obsypany bąblami, a doktór śpiéwa Te Deum Laudamus, a ja go łaję, bo się drapie jak żyd. Że on się jednak lepiéj na tém zna niż ja i opowiada, że to bardzo dobrze i pięknie, toć i ja toż samo, jak sroka, za nim potakiwać muszę.“

List to ostatni.

Bartoszewicz, w swéj biografii Krasickiego, maluje go nam, po przeniesieniu się do Skierniewic i Warszawy, jako człowieka złamanego, przybitego, żyjącego już tylko wspomnieniami, zamiast dawnych dowcipnych poezyj tłómaczącego Plutarcha i Lucyana, zbierającego materyały do wielkiego dzieła o Rymotwórstwie i Rymotwórcach. Co do tego ostatniego widzieliśmy, że je w Heilsbergu jeszcze rozpoczął.

Wiek i smutne kraju położenie musiały zapewne wpłynąć na przyćmienie wesołości dawnéj i do-

wcipu, kłopoty osobiste nie mało się do tego przyczyniały, lecz, jak widzieliśmy z listów ostatnich, Arcybiskup miał zawsze humor dobry i ze stoicyzmem znosił, cokolwiek go spotkało. W charakterze jego było godzić się z każdém położeniem, nie opuszczać rąk nigdy, umieć się zastosować do konieczności, jakie los narzucał. W Warszawie i Skierniewicach widzimy go, prawie do ostatnich chwil życia, niezmiernie czynnym, radującym się ogrodowi skierniewickiemu, który rośnie jak na drożdżach, zakładającym już drukarnię w Łowiczu i tygodniowe pismo, mające z niéj wychodzić. Nie widać w tém złamanego niedolą człowieka.

Smętne wspomnienia króla, zamku opustoszałego, w którym się z nim tyle chwil wesołych przebyło, przesuwały się jak obłoki po tém czole pogodném, po umyśle mężnym, do zgonu czynnym, na pozór lekkim, a na raz obranéj drodze trzymającym się z żelazném wytrwaniem.

Ówczesna społeczność warszawska, bardzo liczna, z wielce rozmaitych złożona żywiołów, ożywiona i zabawiająca się aż do zbytku, szalejąca potroszę, przyjmowała z wielką czcią i współczuciem księcia poetów, z pięknego gmachu dawnego pozostałą kolumnę. Krasicki téż wcale od niéj nie stronił. Znajdował tu dawnych przyjaciół, znajomych, znalazł i współpracowników. Miał na myśli rozbudzić tu życie literackie, do naukowych prac

zachęcić. Pomagał mu do tego Dmochowski, którego wielce polubił i który się stał powiernikiem jego i pomocnikiem. Dopomógł mu Arcybiskup do powrotu do kraju.

Z nim razem i kilką jeszcze współpracownikami, rozpoczął drukować w Łowiczu zapowiedziane „Co Tydzień“ w rodzaju Monitora, na którego wstępie powiada:

„Jest nas pięciu, którzy myślimy, dwóch, którzy gadamy, a jeden co pisze.“

Tym jednym był sam Arcybiskup, znać tu jego pióro i dowcip, a wstęp tak żywo jest stylizowany, jak za najlepszych czasów.

W dalszym ciągu rozwlekła nieco gawęda przypomina wprawdzie Monitora, lecz do tygodniowego pisemka jest jéj za wiele. Przeplatają uwagi, bajki i powiastki.

Ma to pewien wdzięk naiwny, a jest świadectwem życia z tego czasu, gdy się ono całe w czcze i puste szały zabaw przelało.

Zasługą jest Arcybiskupa, że chciał je na inną wprowadzić drogę. Nie przestając na tém, dopomagał Dmochowskiemu do wydawnictwa Nowego Pamiętnika Naukowego i czynnie się krzątał, chcąc około siebie skupić ludzi zdolnych, tworząc w dawnéj stolicy nowe ognisko światła.

Szczątki Stanisławowskiéj epoki, rozbitki rozproszone, garnęły się około księcia.

Ówczesna społeczność warszawska na poły roz-

łamana, gromadziła się w części około pałacu pod Blachą, około księcia Józefa Poniatowskiego i pani de Vauban, w części około poważniejszego grona, z którego francuska emigracya i jéj przyjaciele szydzili. Wątpimy bardzo, ażeby Arcybiskup mógł bywać pod Blachą i przypomniał się małéj znajomości z ks. Józefem, do którego się nigdy nie zbliżał. Charakter towarzystwa, które go otaczało, dwuznaczne położenie pani domu pod Blachą, którą rzadko pani Tyszkiewiczowa wyręczała, nie dopuszczało bliższych stosunków.

Z jednym ks. Stanisławem Poniatowskim był Krasicki poufałym i poprzyjaźnionym, a tego w Warszawie nie było.

Sposób życia dogorywającego tu księcia Ex-podkomorzego, około którego do najpóźniejszéj starości jakieś damy się kręciły, nie dopuszczał téż Arcybiskupowi uczcić w nim brata króla.

Nie wiemy, czy bywał u pani Tyszkiewiczowéj i u Jenerałowéj Grabowskiéj, zamieszkałéj naówczas w Warszawie, lecz odwiedzał często panią Maryę ze Świdzińskich Lanckorońską, kasztelanowę połaniecką, czcigodną staruszkę, i Wielopolską starościnę krakowską, bywał z upodobaniem w domu Ex-podstolego Koronnego Stanisława Sołtyka, gdzie się poważniejsi ludzie zbierali. Tu się spotykał z Chreptowiczem, z Aristidesem Małachowskim, z Tadeuszem Czackim, z Albertrandim, dawno sobie przyjaznym.

Z tego kółka wyszła pierwsza myśl założenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk, któreby nigdy do skutku nie przyszło, gdyby Arcybiskup całą siłą wpływu swojego nie poparł go w Berlinie i nie wyrobił potwierdzenia.

Faktem jest, iż ono winno było swój byt Krasickiemu, który do najpierwszych członków jego należał.

W Skierniewicach, w Łowiczu, w Warszawie, gdziekolwiek przebywał, pomimo ciężkich czasów, dla samego dostojeństwa swego trzymać musiał dwór pański, książęcy. Zbierano się na obiady, wieczory, na naukowe rozprawy. Krasicki zawsze, jak pisze Wdz. Nakwaska, trochę zalotny, dowcipny, żywy mimo wieku swojego (w 1799, miał lat 64) rej wiódł i powagą dostojeństwa i sławą, która imię jego otaczała, i znaczeniem i niewyczerpaną umysłu siłą nieopuszczającą go nigdy.

Między wszystkimi literatami ówczesnymi Dmochowski, niegdyś duchowny, niegdy przyjaciel i pomocnik Kołłątaja, był jego ulubieńcem, powiernikiem w pracach, prawą ręką. Możnaby się zdziwić, znając przeszłość jego, iż Arcybiskup mógł się tak zbliżyć do niego i wybrać go za przyjaciela; ale to właśnie było cechą charakteru Krasickiego, że był wyrozumiałym, pobłażającym, że się ludzi nie obawiał, rachując na wpływ, jaki na nich wywierał, i nie wątpił, że każdego nawrócić, jednając go sobie, potrafi.

Pomimo wszystkich klęsk, jakie na kraj spadły, w Warszawie nie czuć i nie widać było zwątpienia i upadku. Miasto się poruszało i było przepełnione.

Bawili się szalenie jedni, pracowali drudzy, krzątało się co żyło, młodzież dokazywała do zbytku. Pruskie władze przez szpary patrzały na to życie, szafujące się dosyć pusto, dosyć bezużytecznie. Nie tamowały tego wyczerpującego, gorączkowego ruchu. System wynaradawiania, już w Galicyi za zasadę przyjęty, tu jeszcze był nie nastał, a raczéj objawić się czynnie nie miał czasu. Położenie Krasickiego u dworu w Berlinie, stosunki poufałe z całą rodziną królewską, od czasów Fryderyka II utrzymywane, dawały mu tu wyjątkowe znaczenie, mogące nieraz wpłynąć na łagodniejsze obchodzenie się i wyrozumiałość.

Podnosimy ten moment ostatni życia Arcybiskupa, bo on jest dla nas probierzem jego charakteru. Nic to nie znaczy, że w listach do rodziny jest zawsze żartobliwym, wesołym i na pozór lekko rzeczy biorącym; było całego jego życia cechą, że z myśli i prac poważniejszych, z uczuć głębszych, nie spowiadał się przed nikim. Okrywał się tą pozorną obojętnością, tą żartobliwością, aby nikt nie zajrzał, co się w duszy jego działo. Pospolity człowiek w podobném położeniu czułby się złamanym, rozstrojonym, zniechęconym do wszelkiego w pracy udziału, byłby spoczął na

dawnych laurach; Krasicki dawał przykład krzątania się w granicach możliwych, granice te wpływem swym rozszérzać się starając. Najwyższa to zasługa, że w tym momencie, gdy pod Blachą czas marnowano na bałamutne trzpiotanie się, on inny kierunek nadawał umysłom i, skupiając ludzi czynu, torował drogę do pracy możliwéj a pożytecznéj.

Nie widzimy go ani złamanym, ani bezsilnym. Wprawdzie na te lata ostatnie przypadają dzieła, więcéj wymagające trudu niż natchnienia. Plutarch, Lucyan, Ossyan, rzecz o Rymotwórstwie, Niesiecki, lecz na starość nie mógł się czém innném zajmować. Plutarch ów był także ulubionéma czytaniem króla Poniatowskiego, zastawano go nad nim w chwilach, gdy najbardziéj działać było potrzeba (1792), gdy największe zdawały się grozić niebezpieczeństwa (1794) i dla Krasickiego te obrazy przeszłości ludzkiéj, losów przemiennych stanowiły niejaką pociechę. Lucyan był dlań rozrywką, rozmowy umarłych w formie dramatycznéj tłómaczyły myśli jego, zbaczające z historyi starożytnéj ku własnéj. Mamy w nich zdanie o Kazimierzu Wielkim (w żywotach także), o Zamoyskim, o Sarbiewskim. Kazimierza porównywał w paralellach z Alfredem angielskim; Sarbiewskiego z Horacym; Zamoyskiego z Pawłem Emilyuszem.

Pracowała myśl jego ciągle.

Prawda, że już mu ów wiersz dawny, leciuchny, iskrzący się, żywy, barwny, nie tak płynął, jak niegdyś, ale wiek ma prawa swoje.

Chociaż w listach żadnéj o tém wzmianki nie znajdujemy, wiemy z innych źródeł, że już w r. 1798 arcybiskup zmuszonym był trudne swe i zawikłane interesa począć regulować i układać tak, aby spokojnie życia mógł dokonać.

Heilsbergski pobyt, dwór zbyt liczny, podróże, wydatki na zbiory, w których się kochał, obrazy, książki, ogrody, zmusiły go do zaciągania długów, które w końcu dokuczliwemi i niepokojącemi się stały. Dla spłacenia ich gotów był Arcybiskup ograniczyć jak najściśléj swe wydatki i zażądał, jak się zdaje, pośrednictwa króla pruskiego, który dekretem d. 25 lipca 1798 r. naznaczył komisyą do uporządkowania długów.

W sierpniu rozpoczęła ona swe czynności, a kanonik Siegl, jako pełnomocnik wyznaczony przez Krasickiego, ofiarował wszelkie dochody arcybiskupstwa na rzecz wierzycieli, excypując tylko 24.000 talarów na utrzymanie domu. W tymże roku, ku końcowi, wezwano wierzycieli do wykazania pretensyj swych, które wyniosły przeszło 169.000 talarów; kanonik Siegl podwyższył kompetencyą dla Arcybiskupa do 41.454 talarów.

Nie wchodząc w drobne szczegóły téj likwida-

cyi, która się przeciągnęła po za kres życia Arcybiskupa, powiemy tylko, że za wdaniem się króla w 1799 r., bank berliński obowiązał się część należności wypłacić, z których wierzyciele dobrowolnie ustąpili od ćwierci do połowy.

Tymczasem Arcybiskup zamieszkiwał w Skierniewicach i Warszawie na przemiany, znacznie zmniejszywszy dwór swój i sposób życia. Zdaje się, że zwykłym trybem na zimę, w r. 1800, wyruszył do Berlina, chcąc się dworowi przypomnieć.

Tu na kilka dni przed śmiercią dokończył Listy o Ogrodach i umarł, jak pisze Dmochowski, niemal z piórem w ręku.

Zasłabł w początkach 1801 r. i śmierć go zaskoczyła d. 14 marca. Szczegółów zgonu nie mamy. Ciało tymczasowo złożone zostało w kościele śtéj Jadwigi.

Spoczywało ono tutaj do roku 1829, i dopiero ks. Arcybiskup Wolicki, przy pomocy ks. Antoniego Radziwiłła Namiestnika W. ks. Poznańskiego, przeprowadził je do kościoła katedralnego gnieźnieńskiego, gdzie uroczyście przy obchodzie żałobnym złożone zostało.

Stratę znakomitego męża, uczuł kraj mocno; dla Warszawy szczególniéj była ona dotkliwą, bo tu go nikt nie mógł zastąpić. Zostało po nim jako ostatnia spuścizna Towarzystwo Przyjaciół Nauk, które było jego dziełem, i którego on w początkach był duszą.

Na posiedzeniu jego d. 12 grudnia 1801 roku, Franc. Dmochowski pierwszy w pochwalnéj, obszernéj mowie podniósł znaczenie Krasickiego w literaturze i zasługi jego jako pisarza. Był on spadkobiercą rękopismów po zmarłym, które późniéj w zbiorowém ogólném dzieł wydaniu ogłosił.

W téj mowie wspomniał Dmochowski o udziale Arcybiskupa w założeniu towarzystwa: „Należy się od tego zgromadzenia najwyższa wdzięczność zmarłemu, że imię swoje w regestr jego najskwapliwiéj zapisał, że w początkach zaraz, największą gorliwość, względem jego ustanowienia, *utwierdzenia* i skutków okazał."

Charakterystyka, którą w pochwale swéj skreślił Dmochowski, jest w ogóle trafną i wierną, tam gdzie mówi o nim jako o człowieku, panegiryczną nieco, gdy sądzi pisarza.

W r. 1802 na posiedzeniu 16 listopada, Molski czytał odę na śmierć Krasickiego, która z innemi jego pismami w niepamięć poszła.

Jeszcze spoczywało ciało poety w podziemiach kościoła śtéj Jadwigi, gdy w r. 1810 Jan Śniadecki pisał do Staszica.

„Myśląc o Koperniku, który nic nie potrzebuje do swéj sławy, trzeba, żebyście panowie pomyśleli o Krasickim, najpiękniejszym dowcipie swojego narodu, a wedle mego zdania, swego wieku. Im częściéj czytam jego dzieła, tém więcéj zajęty jestem podziwianiem dla tak pysznego ta-

lentu. Są podobno jeszcze niewydane jego pisma, któreby trzeba z wielkiém staraniem zebrać i ogłosić. Familia wystawiła mu nikczemny nagrobek w katedrze krakowskiéj, ale naród winien mu wspaniały monument, jako człowiekowi, który stworzył w Polakach gust i zrobił szczęśliwą rewolucyą w myślach i sposobie pisania. Dmochowski napisał piękną jego pochwałę, ale nie powiedział w niéj wszystkiego, co o tym wielkim człowieku i pisarzu powiedzieć można.“

Najlepszą i najtroskliwiéj ułożoną biografią Krasickiego, winniśmy nieodżałowanemu Bartoszewiczowi [1]).

Rozpatrując się pilniéj w literaturze Stanisławowskiéj epoki, musimy w końcu uznać, iż na żadne wielkie, monumentalne dzieło, wysokiéj artystycznéj, wiekowéj wartości się nie zdobyła.

Nie było to jéj zadaniem i przechodziło siły.

Epoki jak ta nie budują, burzą tylko, a co najwięcéj jeśli gruz uporządkują. Moralne i materyalne warunki nie dopuszczały jéj nic stworzyć. Najdzielniejsze téż umysły, pojmujące posłannictwo wieku, zmuszone były iść na plac i wywracać, częstokroć to nawet, co za fundament nowéj budowy posłużyć mogło.

---

[1]) Biblioteka po Krasickim wcieloną została do Uniwersyteckiéj w Warszawie; ze sprzedaży pozostałości w Berlinie zebrano (okrągło) 4.478 tal. Za obrazy w Skierniewicach 2.382 tal., meble i drobiazgi 7.546, malowidła, biusty i bronzy 13.682 tal.

W umysłach nie ma nic, coby do tworzenia usposabiało. Niepokój ogarniał społeczeństwo i tę jego część, co po walącéj się budowie płakała i co do ruiny miała przyłożyć rękę. Waliło się wszystko, podkopano starą wiarę, instytucye dogorywały skoszlawione i wypaczone, sam byt był zagrożony.

Z zachodu wiał silny prąd destrukcyjny; wszystkie klasy społeczeństwa czuły się na swych stanowiskach zagrożonemi, król niepewnym na tronie, senat na krzesłach, sejm na ławach, wojsko w przestarzałym rynsztunku, który trzeba było porzucić i rycerstwo żołnierzem zastąpić. Własność kraju, starostwa i królewszczyzny, *panis bene merentium*, stawszy się przedmiotem frymarku i marnotrawstwa, musiały zmienić naturę i przeznaczenie. Właściciele ziemi drżeli, zaniepokojeni będącą w powietrzu reformą stosunku patryarchalnego z włościanami, klasztory się chwiały, miasta domagały się praw.

Wszystkie stare węzły pękały. Literatura czynna, posłuszna swemu zadaniu, cała musiała utonąć w teraźniejszości. Nie miała téj swobody, która dozwala duchowi lecieć i bujać w świecie ideałów; cisnęła ją rzeczywistość i trzymała przykutą do ziemi.

Całe też piśmiennictwo epoki jest młotem, co rozwala ruinę, poezya nawet musi się stać sługą téj idei; wszystkie pisma są jéj narzędziami.

Trembecki, Naruszewicz, nadewszystko Krasicki są ludźmi swojego wieku, a gdy znużeni przestają być nimi, gdy książę Biskup chce opiewać wojnę Chocimską, brak mu głosu i siły. Naruszewicz tłómaczy Tacyta i dziwi się, że go nikt nie czyta. Mógłże kto napawać się stylem dziejopisa, gdy szło o życie?

W chwili, gdy walka przychodzi do kulminacyjnego punktu i samopoznania, w czasie czteroletniego sejmu, okolicznościowe pisma sypią się gradem, spadają ćmą niepoliczoną. Skarży się na pismaków Trembecki, drwi z téj gawiedzi Węgierski, wołając „piszą kasztelany!“ ale to nic nie pomaga, piszą nawet ci, co pisać nie umieją, kamienie krzyczą.

Rodzajem poezyi, do którego natura i usposobienie pociągały Krasickiego, był wiersz lekki, dowcipny, humorystyczny, ironią słodką zaprawny, napastujący głównie przywary i wady wieku.

Poważnym, wzniosłym, uroczystym nie umiał być, a ile razy próbował zanucić z tego tonu, stawał się prawie zawsze chłodnym, wymuszonym, niezręcznym. Pierwszemi pewnie próbami poezyi, któremi go młodzieńcza muza natchnęła, musiały być bajki i listy; pierwsze szczególniéj, w których jest częstokroć nieporównanym. Czterowierszowa jego bajeczka zwięzła, wyrzeźbiona, skończona, jest całym poematem. Nic ująć, nic łodać.

Myśl bywa powszednia, stara, zużyta, bo na znalezienie jéj nie silił się umysł, biorąc ze skarbnicy doświadczenia wieków; kunszt poety nadaje jéj świeżość, barwę i wdzięk.

W nich nawet język, który w pisarzach wszystkich Stanisławowskiéj epoki zdradza zerwane tradycye i wskrzeszanie umarłego, jest niemal zawsze żywy, śliczny i niewyszukany.

W mnogich dziełach Krasickiego rozróżnić potrzeba, co ma wartość historyczną i artystyczną, co pozostanie w literaturze, od tego, co dla potrzeb i gustu chwili napisane, dziś straciło dla nas urok i znaczenie, będąc pamiątką tylko języka i stylu.

Bajki i Satyry niezaprzeczenie stoją na czele, stanowią najdroższy klejnot w téj spuściźnie. Obok nich niektóre poezye, nieokreślonego rodzaju, zawsze nieco satyryczne. Po za temi daleko idzie Myszeis, Monachomachja, a w ostatku chybiona wojna Chocimska, tłómaczenie poetów itp. Na czele pism prozą stoi pan Podstoli, jeśli nie formą, to treścią i wybornemi obrazkami, które go zdobią. Daléj Doświadczyński, Historya i powieści mniejsze, między któremi są bardzo ładne.

Wiersze z prozą, rzecz o rymotwórcach, rozmowy umarłych, żywoty na wzór Plutarcha, komedye, inne prace erudycyi kończą ten spis długi. Gdyby z całéj téj pozostałości zostały tylko bajki. satyry i Podstoli, jużby Krasicki niemi pierws-

przyznane mu miejsce między pisarzami Stanisławowskiéj epoki utrzymał. Reszta jest tym balastem życia, wedle wyrażenia Goethego, potrzebnym, aby się utrzymać na falach. Nie mógł być bezczynnym poeta i szukał zajęcia w pracy powszedniéj, dla zatrudnienia umysłu. Sam jednak, w liście do Bełżanina przyznaje, iż wiek mu odjął siłę.

Gdy wiek rzeźki władał piórem,
Szły te rzeczy nie oporem,
Była jazda i dość żywa,
Teraz Pegaz odpoczywa.

A spoczywający ów Pegaz pasł się na historykach, herbarzach i zielonych łąkach poezyi Ossyana. Godna uwagi, że rozpocząwszy artykułami Monitora, skończył wielce do nich podobnemi w pisemku: *Co tydzień*. Z pozostałych po nim rękopismów, wiele pono z różnych względów drukowanemi nie było. Niektóre z nich potrącały o osoby i wypadki, których tykać albo nie było można, lub nie wypadało.

Nie szukajmy w Krasickim ani głębokiéj filozofii, ani jasnowidzenia przyszłości, ani zaciekania się w te prawdy zdobyte wiedzą badawczą, które po nad ziemię i życie podnoszą. Krasicki idzie po ziemi zawsze, jest dziecięciem swego wieku, nie opóźnia się i nie zostaje w tyle po za ruchem ego, ani go wyprzedza, równo z nim mierzonym

postępuje krokiem, posłuszny temu jedynemu zadaniu pisarzy narodowych, przeznaczonych, aby wywierali wpływ ogromny na współecznych — zadaniu być wiernym tłómaczem idei wieku, pragnień i prądów swojego czasu.

Nie jest to ani Rabelais, ani Montaigne, ani wiekuiście i wszędzie wielki Shakespeare; człowiek w Krasickim jest wcieleniem epoki, maluje to, co zna, pisze co czuł i przeżył, jest ciągle w żywym związku z żywym światem, ma jego ton, poślubia jego mowę, przybiera lekkość, stroi się w dowcip, który był bronią per excellentiam XVIII wieku. Spełnia doskonale swe zadanie, spełnia je prawie bezwiednie, z naiwnością i posłuszeństwem tych tworów natury, które z ziemi, powietrza, słońca otaczającego rosną całe, oddając co z nich wzięły, nie zmieniwszy ani w truciznę, ani w excentryczne jakieś tajemnicze pierwiastki.

Powtarzamy raz jeszcze, człowiek to swojego wieku, tłómacz swojego czasu, reprezentant swéj epoki; to czyni go tém, czém był, pisarzem niezmiernego znaczenia, choćby się ono nam, dziś nie zdawało usprawiedliwioném. W téj zgodności pisarza z epoką leży cała tajemnica popularności, wpływu i trwałego znaczenia w literaturze. Sam sobą, on przedstawia w pełni koniec XVIII w. w literaturze naszéj. Żaden z jemu współczesnych mierzyć się z nim nie może.

Naruszewicza czuć celą zakonną, z któréj wyszedł; obcy jest światu, zna historyą i książki, widział trochę ludzi, ale w nim pulsa żywotne całego społeczeństwa nie biją.

Trembecki przedstawia nie czas swój, ale typ swój i siebie; mistrz we władaniu jezykiem, nie ma w sobie myśli i woli, coby ten język zużytkowała, natchnienie dlań zastępuje gniew, oburzenie, wola pańska, dworacza usłużność, fantazya, chwilowy kaprys. Uwielbia i pluje naprzemiany, nie ma ani poczucia teraźniejszości, ani jasnego pojęcia celu i drogi. Wszystko mu obojętne.

O innych zaledwie przy Krasickim wspomnieć się godzi. Karpiński jest to tęskliwy kochanek Justyny, liryk bolejący nad sobą, który ze światem ani się godzi, ani go rozumie. Śpiewa wdzięcznie małym głosem, drobne serca zeschłego dzieje. Kniaźnin ma téż coś z jego natury chorobliwéj, ale bujniéj na gruncie puławskim urosłéj, ma nadewszystko zmysł artystyczny więcéj rozwinięty niż talent, któremu on służy. Węgierski bawi się poezyą, ale jéj nie bierze na seryo, kładnie ją jak żabot i fryzurę, aby mu się na ulicy dziwowano; jest ona dla niego rozrywką, popisem, narzędziem pomsty, może środkiem uprzyjemnienia życia. Krasicki jeden czuje, rozumie i spełnia swe powołanie pisarza. Pracuje życie całe, na każde niemal pytanie swego czasu znajdując odpowiedź w głębi ducha. Wszystkie wielkie zaga-

dnienia epoki, jeśli nie są rozwiązane u niego, to przynajmniéj dotknięte i wskazane; począwszy od emancypacyi włościan, od otrzęśniénia się z fanatyzmu i ciemnoty, aż do kwestyi stroju i mody.

Ta encyklopedyczność Krasickiego płynie z przejęcia się swém posłannictwem. Nic mu nie jest obcém, radby rolne gospodarstwo równie zreformować jak klasztory, wychowanie jak ogrody, szlacheckie dwory i szlacheckie zarybione sadzawki.

Dręczy go ta żądza podołania wszystkiemu. Jest ona przyczyną może, iż zbyt często jest powierzchownym, ale porusza rolę odłogującą, trzebi zagony, zdziera darnie z instynktową wiarą, że na nie przyjdzie ziarno i zejść musi.

W całém znaczeniu wyrazu jest to pisarz świadek swéj epoki, pisarz przedewszystkiém, więcéj nawet niż biskup i duchowny, więcéj niż poeta. Kończy na rewizyi szlacheckiego herbarza, na encyklopedyi i kalendarzu, bo wszystkiego dotknąć musi, nic nie chce zostawić nieporuszoném. Pisze od pierwszéj młodości do ostatnich dni życia, pisze w Sans-Souçi i Heilsbergu, w Berlinie, w Skierniewicach, w Dubiecku, dzień i noc, na wszelki sposób, wierszem i prozą, jak człowiek, który się do tego urodził i wziął na siebie posłannictwo. Niezmordowany, nieznużony, chwili nie jest bezczynnym, ustać nie może, znużyć go niepodobna, śmierć dopiero z ręki mu pióro wytrąca.

Wszystko, co pisze — a znak to jest wielki — echem szerokiém odbija się w sercach i umysłach. Między nim a czytelnikami istnieje ten tajemniczy związek, który nie zawsze nawet łączy geniusze ze światem.

Cała społeczność czuje w nim siebie, i on się czuje w całém społeczeństwie swojém; żaden typ jego epoki obcym mu nie jest, jakiéjbykolwiek płci był i wieku. Dość spojrzeć na karty Podstolego.

Po dwóchset latach pustki i milczenia, Krasicki znowu tworzy tę całość, jaka istniała za czasów Kochanowskiego, gdy śpiewak i naród jedném byli; gdy między społeczeństwem wykształconém a poetą z łona jego wyszłym serdeczny trwał związek, gdy nad przywiezionemi z zagranicy wierszami Kochanowskiego stary Rej z radości płakał, a gromada mu przyklaskiwała. Około książki Krasickiego kupi się nie jedna klasa, ale wszystkie stany. Mówi językiem dostępnym, rozumieją go wszyscy, i ci co nigdy nie bywali w świecie myśli, w ślad za nim doń wkraczają ze swobodą i łatwością, któréj się dziwią sami.

Po dwóchset latach naród i pisarz znowu sobie podają dłonie, jedno serce w ich piersiach bije. Wielkie to zaprawdę posłannictwo wzbudzić do życia, a kto je spełnił tak godnie, temu się imię wielkiego należy.